

SI2v 5198.61.10 (1-2)

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

HARVARD COLLEGE LIBRARY

Bought with the income of  
**THE KELLER FUND**

---

Bequeathed in Memory of  
JASPER NEWTON KELLER  
BETTY SCOTT HENSHAW KELLER  
MARIAN MANDELL KELLER  
RALPH HENSHAW KELLER  
CARL TILDEN KELLER



[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

# Athenaeum

TOM I. - 11



[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

# ATHENAEUM

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

PISMO POŚWIĘCONE  
HISTORII, LITERATURZE,  
SZTUKOM, KRYTYCE  
i t. d.

WYDAWCA  
J. I. KRASZEWSKI.



*Непомнен*      *Литература*  
W I L N O.

---

W DRUKARNI TEOFIŁA GLÜCKSBERGA  
KSIĘGARZA I TYPOGRAFA WILĘŃSKIEJ CESARSKIEJ MEJ  
CHIR. AKAD. I SZKÓŁ BIAŁORUSKIEGO NAUKOWEGO WYDZIAŁ

1841.

Δ  
SI2v 5198.61.10 (1-2)

✓  
[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)



Keller fd.

**Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu egzemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno 1840 roku 25 Września.**

***Cenzor Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego***

**JAN WASZKIEWICZ.**

*Spis treści*

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

I.

**H I S T O R J A.**

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

## ELEKCJA MICHAŁA WIŚNIEWIECKIEGO.

— o —  
**Z pamiętników Kaspra Hrabiego  
Chavagnac a)**

„ W tym czasie właśnie umarła Marya Gonzaga królowa Polska, na której zgonie tak uczuł Król Kazimierz, że przedsięwziął zrzec się Korony. Zaledwie o tém wieść doszła do Wiednia,

a) Cały tytuł rzadkiego dzieła, z którego następny wyjątek umieszczamy, jest taki:

*Mémoires de Gaspard Comte de Chavagnac. Maréchal de camp dans les armées du Roy, Général de l'artillerie, Sergent de Bataille de celles de Sa Majesté Catholique et Lieutenant Général des Troupes de l'Empereur et son Ambassadeur en Pologne. A Amsterdam. Chez Jean Malherbe dans le Stilsteeg. 1700. 24 pp. 504. Wyjątek nasz zajmuje od str. 290 do 323.*

wszyscy ministrowie, którzy mieli przyjaciół lub krewnych, mogących się dobijać o koronę polską, poczęli starać się wszelkiemi siłami, o pozyskanie protekcyi Cesarza. Ja, czule kochając xięcia Lotaryńskiego, doradziłem mu, aby i on o tém pomyślał. Znalazłem go tak niedecydowanym w téj mierze, iż pospieszyłem natychmiast do Cesarzowej wdowy, która właśnie była u stołu, aby się z nią rozmówić.

Lecz usłyszałem ją, dającą rozkaz, aby nie wpuszczano Hrabiego Chavagnac, aż w czasie wetów; ciekawy byłem dowiedzieć się dla czego. Jedna z dam dworu powiedziała mi, że to był dzień urodzin Cesarzowej, a zwyczaj był w Wiedniu tego dnia zastawiać przed Cesarzową tyle jaj, ile miała lat, co się jój wcale nie podobalo. Pozwoliłem sobie ze wszelkiem winnemi uszanowaniem pożartować trochę z tego; poczem prosiłem o posłuchanie w bardzo ważnej sprawie. Przeszedłszy do gabinetu Cesarzowej, przełożyłem jój szczęśliwy skład okoliczności, w którym mogła być wielce użyteczną xięciu Lotaryńskiemu, mającemu obietnicę jój protekcyi, i nieraz doznającemu dobrodziejstw Cesarza, za jój wstawieniem się. Dodałem, aby ją więcej zachęcić, że tym sposobem, mógłby się ożenić z Arcy-xiężniczką Eleonorą, jój córką, ku której xiężę czuł wielką skłonność i z którą ożenił się później, po śmierci Michała króla polskie-

go, pierwszego jej męża. Cesarzowa dziękowała mi za podany wniosek, i w téjże chwili poszła o tém mówić z Cesarzem, który, chociaż go natarczywie oblegali książęta Aversberg i Lobkowitz, dał jednak słowo, że jeśli za kim, to za księciem Lotaryńgii się ogłosi.

Po tych pierwszych próbach, książę całkowicie się zdecydował; ale dla doprowadzenia rzeczy do skutku, potrzeba było, pieniędzy gotowych najmniej dwa kroć sto tysięcy talarów, których książę nie miał. Musieliśmy się poradzić ojca Richarda Jezuity, spowiednika książęcego, zazdrośnego o niego jak o Kochankę, jakim by sposobem ich dostać. Ten zaczął filozofować, ale rady nie dawał, porwałem pióro i obrachowałem pensye księcia, pieniądze które ja i jego przyjaciele mogliśmy mu pożyczyć, wszystkiego nie było więcéj nad osiemdziesiąt tysięcy franków. Postanowiliśmy żeby książę odezwał się do starego księcia, o pomoc, a przynajmniej o klejnoty matki, jeśli by nic więcéj dać nie chciał; tym czasem zaś radziłem posłać kogo do Warszawy dla zjednania przyjaciół i tworzenia partyi. Tak uradziwszy, przedstawiliśmy projekta Cesarzowej i dwóm Ministrom Nostitz i Schvarzenbourg, którzy pochwaliwszy je, wyjednali u Cesarza, że się na nie zgodził.

Ułożywszy więc wszystko, wysłano do polski pewnego Irlandczyka, którego księcia wyswa-



tał Hrabia Taff, Podpółkownik jego Regimentu; sam zaś książę wyjechał z moim synowcem de Lugarde, który był do mnie w odwiedziny przyjechał z moimi dworzanami la Mothe i des-Roches. Dojechali pocztą do Strasburga, gdzie książę znalazł Kuryera od starego księcia Lotaryngii; z oznajmieniem i radą, aby się wrócił do Wiednia, a nie jechał do Lotaryngii, (coby mogło Króla nie spokoić), z obietnicą przysłania wexlów na dwa kroć sto tysięcy talarów.

To przyrzeczenie zatrzymało księcia w Strasburgu; zkąd napisał do ojca, prosząc aby go nie opuszczał w tém położeniu. Książę stary przysłał mu zapięćdziesiąt tysięcy talarów klejnotów matki jego, z któremi i nadzieją innych pomocy, wrócił bardzo rad ze swój podróży.

Tego dnia którego miał przybyć, Lobkovitz i Aversberg, nieprzyjaciele jego, tak bardzo prosili Cesarza, aby się ogłosił za księciem Neyburskim, iż uczynił jak chcieli. Gdym o tém przed wjazdem do Wiednia powiedział mu, tak się zdziwił, że chciał wszystkiego starania zaniechać; żaląc się, iż Cesarz, który dotąd nigdy słowa swojego nie złamał, zaczął od niego, niemającego innój protekcyi.

Perswadowałem mu ile mojej możności, aby się nie zrzekał starania o koronę, póki by się z Cesarzową nie widział. Ta, radziła mu pokryć niechęć i widzieć się z Cesarzem. Na po-

sluchaniu, które otrzymał, Cesarz Jego Mość raczył mu powiedzieć, że był zmuszony ogłosić się za xięciem Neyburskim, dla bardzo ważnych przyczyn, lecz że dowiedzie mu swęj przychylności, czynną pomocą. Xiąże się tém zaspokoił, i pozostało nam tylko znowu, starać się o pieniądze.

Cuny, dworzanin starego xięcia, przybył nareszcie z wexlami na sto tysięcy talarów, lecz z rozkazem nie oddawania ich, aż po obraniu xięcia Królem; co go tak okropnie rozgniewało, że byłby dworzanina brzydko skrzywdził, gdybyśmy z Cesarzową niezapobiegli temu.

Pomimo wszelkich starań naszych, nie podobna było od Cuny więcej wyciągnąć, nad dziesięć tysięcy talarów, i klejnoty, które mogły być warte pięćdziesiąt tysięcy talarów. Cesarzowa także zastawiła klejnotów za sto dwadzieścia tysięcy liwrów u Pestalozzego, bankiera dobrej sławy, który jęj pożyczył nakartkę trzydzieści tysięcy florenów, i tak dostawszy pieniędzy, zaczęliśmy serjo myśleć o wyprawie xięcia. Szczęściem miałem w ówczas dość koni, a tak kochałem tego szanownego xięcia, że mu z serca dał dwadzieścia dwa konie; Margrabia Grana, darował mu sześć bardzo pięknych, reszta zaś dworu, gdzie miał wielu przyjaciół, tyle mu ich nadawali, że w krótcie miał ich dosyć; ekwipaż piękny i liczny

Powodzenie naszej sprawy, zależało w wielkiej części od tego, jak sobie postąpić miał poseł Cesarski na Elekcyi; xiąże więc nie żałował starań sam i przez przyjaciół działając, abym ja był mianowany posłem.

Cesarzowe obie, młoda Królowa, dzisiejsza xiężna, tak potrafili działać na umysł Cesarza, że ja mianowany zostałem na poselstwo z rozkazem mówienia za xięciem Neyburskim, lecz pomagania tajemnie we wszystkiem xięciu Karolowi. Zaledwiem odebrał instrukcye, natychmiast jak najspieszniej do Warszawy wyjechałem. Jużem był na granicy polskiej, dawszy wprzód znać o sobie, gdy otrzymałem od Cesarza przeciwne rozkazy. Xiąże z przyjaciółmi i Regimentem swoim, stał na granicy Szląskiej w miasteczku Turnawiec (?) *a*) gdzie mu dodano straż honorową dla czci, i czekał on na xięcia Vexein, mającego być posłem od starego xięcia. Ale ten, że nigdy słowa nie dotrzymał, czy to przez zazdrość względem synowca, czy to przez skępstwo że nie chciał ponieść kosztu na utrzymanie xięcia Vexein w Warszawie, niedozwolil mu wyjechać. Xiąże Karol w największym był kłopotcie, nie mając nikogo, komu by powierzył poselstwo, z zupełnem zaufaniem, że jego sprawę szczerze popierać będzie.

---

*a*) Tournavitz.

W téj ostateczności pomyślał xiaże, że nikt mu tak niepotrafi usłużyć jak ja; napisał o tém do Cesarzowój i do Cesarza, a gdy ten zezwolił, dano mi rozkaz złączenia się z xięciem Lotaryńskim w Turnawcu, i zdania moich not i instrukcyj Hrabiemu Schaffhouse, który na mojem miejscu, mianowany został posłem dla Neyburga. Zaledwem przybył, gdy xiaże, ściskając mnie, rzekł, że w nikim na świecie nie ma takiego zaufania jak we mnie, że mię przeprasza iż tak sobie bez mojej wiedzy postąpił. Odpowiedziałem na te grzeczności jakem był powinien. Ale że to potrzeba było teraz ukazać się posłem od kandydata i pretendenta do tronu polskiego, że należało występować bardzo wspaniale, musiałem powiększyć swój dwór znacznie.

Posłaliśmy czterech ludzi tym czasem nim by Sejm nadszedł *in cognito* do Warszawy, aby sądować usposobienie umysłów. Myśmy się zabawiali polowaniem w Turnawcu, dokąd xiaże swoje psarnie sprowadził; trzymał stół otwarty na dwadzieścia cztery osoby, ja na dwanaście. Odwiedzała nas, a raczej najeżdżała drobna szlachta polska, skłonna do pijatyki; musieliśmy dla ich natręctwa uprosić jednego z dworzan Hrabiego d'Angel, aby im stół otworzył i traktował. Zdalny był do tego, bo pić mógł cały dzień; a ludzi tych trzeba było menażować, bo i oni jak najwięksi panowie, mają głosy na

elekcji. Prawda, że nie wiele ich przyjęcie kosztowało, bo byle im dano wina, piwa, soli i chleba z koprem, kontenci byli; poczem każdemu z nich ofiarowano blisko talara i wracali szczęśliwi. Tak nas odwiedzało i wytrzymać musieliśmy całe Województwo Krakowskie.

Upływały nam dni dość spokojnie, gdy Cesarz napisał do xięcia, że właśnie układał operę, w której sam miał śpiewać, i rad był, że widzieć ją przybył. Xiąże nazajutrz wziął pocztę z Hrabią Jaff, mnie poruczając zupełnie sprawy swoje w Polsce.

Nadszedł czas Sejmu; wyjechałem sześcią tygodniami wprzód, wziąłem z sobą powodnych koni dwadzieścia, dwunastu dworzan, dwunastu lokajów, sześciu paziów; reszta ekwipazów w stosunku do tego. Sekretarzem moim był xiądz Riguet, a Radzcą, Jezuita Richard.

Za przybyciem mojem, panowie Senatorowie dali mi posłuchanie i przyjęli bardzo uczciwie, naznaczywszy kwatere w ..... a) Nie traciłem czasu na negocjacyach; postrzegłem zaraz że xiąże Kondeusz miał silną partyę, na czele której stali Arcy-Biskup Gnieźnieński, zastępujący Króla, (sic) wszyscy Lubomirscy i Potoccy, Senatorowie Rey i Jabłonowscy, jeden Wojewoda Ruski,

---

a) Niepodobna z rozumieć oryginału, który pisze — „après m'avoir nommé charissé pour mon quartier.“

drugi Wojewoda Podolski, wielki Podkomorzy Koronny i Leszczyński Kanclerz Koronny; tylko Xiążę Dymitr i Podkanclerzy (a) nie trzymali za nim, zresztą wszyscy Biskupi byli za Kondeuszem a żaden z Senatorów nie chciał Neyburga.

W Litwie, miał xiążę Kondeusz Kanclerza Paca, dom Sapiehów. Podkomorzy Radziwiłł ogłosił się za Neyburgiem.

Posłałem Kurjera do xięcia z oznajmieniem, w jakim stanie były rzeczy, że xięcia Neyburskiego nie potrzeba się było lękać, ale cudem chyba da się wywrócić przygotowana Elekcya xięcia Kondeusza.

Tymczasem Kanclerzyna Pacowa, francuzka rodem, przysłała do mnie brata swego Hrabiego de Mailly z tém, że bardzo się dziwiła, iż jakkolwiek jój krewny, nie odwiedziłem ją. Nie wiedziałem ja o połączeniu naszym z tym domem, które zresztą zaszczytne było dla mnie, bo byli w pokrewieństwie blizkiém z xiężną; ale gdybym nawet i nie był im powinowatym, w takim zdarzeniu, należy z całych sił starać się i przyznawać do pokrewieństwa wszystkich. Poszedłem ją odwiedzić, a chociaż wiedziałem że

---

a) Tłumaczym tytuły jak są, tu pisze „Vice - Chancelier de Colne“

była za Konduszem, przyjęła mnie jednak grzeczniej niż można było krewnego. Mąż jej, Kanclerz ofiarował mi swoje usługi i zapewniał najmocniej o przyjaźni, dając mi do zrozumienia, że się ogłosi za xięciem Lotaryńskim; dawał mi rad bez końca, ale usłuchałem tych tylko, które mi się dobre zdały.

Stary xiąże Lotaryński przysłał swemu synowcowi przez kawalera d'Harcourt wielki dyament ceniony czterykroć sto tysięcy liwrów i niejakiego Visaucour, czлека zręcznego do interesów, ale takiego filuta, jak ten który go przysłał. Xiąże sądząc że mi pomoże, przysłał mi go, z czegom się niezmiernie ucieszył, bom miał tylko Hrabiego Zany, mało doświadczonego człowieka, ojca Richard, któremu suknia do negocjacyi zawadzała, wreszcie niejakiego Manfredi, włocho, dawniej pocztmistrza, którego wierności w usługach dość ocenić nie mogłem. Jakem tylko użył przysłanego mi Visaucour, chwycił się zaraz wywracać com ja przygotował już, powiadając wszędzie, że sumienie obowiązywało go wyznaczyć, iż stary xiąże synowcowi do utrzymania przyzwoitej jego przyszłemu stanowi wystawy, nie pomoże, i tym podobne rzeczy, mogące łatwo polaków zrazić Wieczorem potem opowiadał mi, że cudów dokazywał, a jam się z niczem nie tail; i nazajutrz wywracał co ja zbudowałem.

W przeciągu tygodnia ostrzegł mnie o tém Hrabia de Mailly, przysłany od siostry; a że w tym kraju wdzięczność okazuje się pieniędzmi, dałem mu trzysta pistolów za oznajmienie. Naradzałem się z Hrabią Zany i Ojcem Richard co tu robić. Zany radził go zabić, Jezuita zamknąć, ja bez wiadomości Xięcia Karola, ani na to ani na drugie nie godziłem się; lecz zwoławszy zdrajcę, spytałem go dla czego tak postępował. Zdziwił się niestęchanie, ale widząc że wszystko odkryte, a lękając się czego złego, wyznał że takie miał rozkazy Xięcia pana swego.

Oznajmiłem o tém Xięciu Karolowi, który dozwolił mi z nim zrobić co by mi się podobało, a ja wypędziłem go jak tajdaka; z wielką pracą pozyskałem ledwie na naszą stronę Podkanclerzego Koronnego, który napisał był książkę, okazując że należało obrać polaka, lub Xięcia Lotaryńskiego. Senat także promulgował prawo, którem odrzucano kandydatów, starających się pieniędzmi pozyskać koronę. Lecz korona polska jak inne wyborowe godności, bez tego się obejść nie mogła, żeby pieniędzy nie rozsypywano, starając się o nią. Pozyskałem także Wianowskiego (sic) a) Hetmana Polnego i kilku Starostów, między innemi Podoloskiego(?) największego łotra

---

a) Patrz w końcu objaśnienia.



w świecie, bo brał pieniądze od Kondrusza, od Lotaryńskiego, od Neyburga, trzech jedynych pretendentów, i wszystkim trzem narównu dopomagać obiecywał.

Posel Neyburski z niewielką swoją partyi ludźmi, codziennie puszczał paszkwile szkodliwe przeciw Xięciu Kondruszowi; ja com lepiej znał jego osobistą wartość, boia był świadkiem odważnych jego czynów, mówiłem o nim tak dobrze jak mogłem i powinienem był, nie szkodziąc sprawie Xięcia, którego stronę trzymałem.

Tak się rzeczy miały, gdy zwołano Wojswództwa na wybór Króla. Kondrusz porozumiewawszy że Xięże Lotaryński będą blisko, musiał sobie ująć część szlachty, wysłali niejakiego Jakuba Pihion, dla mówienia wczasie Sejnu do zgromadzonych. Zaledwie ten odjechał, pewien zwany Piotrowski (Petreski) niegdyś Jezuita, przyszedł do mnie o czwartej nawa i ofiarował mi, że może wyrobić ekklazję Kondruszowi. Był to biedak, okryty nie wiele wartym łachmankiem, ale bardzo zręczny i dowcipny. Odpowiedziałem mu, że tego nie żądałem, że szkodzić Kondruszowi nie chcę, ale staram się tylko aby wybrano Xięcia Lotaryńskiego. Na te słowa rzekł mi: Widzę że się Pan nie chcesz otworzyć przedemną. Potem prosił abym mu pożyczył sto czerwonych złotych; zezwoliłem na to, to jest dałem mu je. Nazajutrz wszedł na Sejm, a że był do-

hrym mówca i miał tam głos, okazywać zaczął, że należało ekskludować Kondrusza, który pieniędźmi zjednął sobie prawie całą szlachtę i więcej połowy Senatorów.

W moment exwalo się tysiąc głosów, że należało go ekskludować; i ta ciżba bezrozumna z szablami w ręku poszła do Senatu, wołając na Arcy-Biskupa Gnieźnieńskiego, aby ekskludował Kondrusza jako korruptara. Tym sposobem zwyczajnie odrzucają z liczby kandydatów tych, którzy przekonani są o pozyskanie głosów pieniędźmi. Arcy-Biskup który był zakłąt się, że prędzej się da ukrzyżować, niż na innego Króla jak Kondrusz pozwoli, uczuł gorliwość swoją zmniejszającą się na widok tysiąca szabel wzniesionych, grożących i natychmiast ogłosił ekskluzję Kondrusza. Tłum szedł potém zawsze z dobytą szablą, do Sobieskiego, od niego do Wielkiego Kanclerza, a od Kanclerza do Morsteina, nmuszając do podpisania ekskluzyi. Morstein chciał był uciec, ale widząc że go szukają i śledzą a więcej się lękając od innych, podpisał prędzej jeszcze niż wszyscy.

Dowiedziawszy się o tém, szedłem do Paca Kanclerza, który mi powiedział: — Ach! Kuzynku, cóżes to najlepszego zrobił, popsułeś sobie interessa, ekskludując Xięcia Kondrusza. Protestowałem się, że to nie było za moją sprawą, że nikt w świecie dowieść mi nie potrafi, abym

nawet przeskadzał w czémkolwiek jego elekcyi. On zaś dodał—Nikt tego nie mógł inny uczynić, bo Neyburg nie ma pieniędzy; ale jeśli jesteś niewinny, nie masz się czego lękać, choć pewnie całe stronnictwo Kondeusza, obróci się przeciw temu, który był przyczyną jego ekluzyi.

Posel Neyburski, który w tém także nie miał udziału najmniejszego, jakby ztamtąd było mil tysiacy, począł się jednak z tego chwalić, i szedł z prośbą do Kondeuszowskich, aby na jego stronę przeszli, nie mając już względem nikogo obowiązków. Pac dał mi o tém znać, zaprosił mnie do siebie i od téj chwili dawał mi bardzo dobre rady, których słuchałem, i najlepiej na tém wychodziłem, bo wszyscy Kondeuszowscy cisnęli się do mnie. Bardzo mnie cieszyło jego ze mną postępowanie, chciałem mu ofiarować pięćdziesiąt tysiacy talarów, a żonie tak się to podobało, że jeszcze bliższym niż kiedykolwiek uważała mnie krewnym; lecz ten pełen uczciwości człowiek, nie chciał ich przyjąć, powiadając, że gdy Xiaże Lotaryński zostanie Królem, tysiacy będzie miał sposobów, zawdzięczenia jego usług.

Audjeneye posłów zbliżały się; byłem u wszystkich. Najwspaniałej przyjmował Marszałek Sobieski, dwór jego był niemniej liczny; jak wiele zamożnych Xiażat. Potém zwołano wszystkie Rycerstwo. Zgromadza się ono w pole i tam posłowie mówią do niego od swoich panów.

Podkancleerhy i Pao radwili mi obrac sobie miejsce na ostatku; i tak się stało. Kuzynka moja, Pácowa, chciała abym się przypatrzył wjazdowi posła Neyburskiego, z domu jój na przedmiesciu, w którym była galerya; życząc abym wszystko pilnie uważał, i mój wjazd uczynił również świetnym i bijącym w oczy. Nakazawszy moim ludziom pilną na wszystko dawać baczość, udałem się do wskazanego mi ogrodu, sam, bez ludzi i powozów, aby nie być postrzeżonym i poznanym.

Ledwie tu pół godziny przesiedział, ujrzałem więcéj trzydziestu kobiet wyższego towarzystwa, wytwornie ubranych, wchodzących na galeryę. Zdziwiły się widząc obcego jakiegoś, samego a dość przyzwoicie ubranego. Najpozorniejsza z nich, po niejaktém wahaniu, zagnalona ciekawością, przystąpiła do mnie pytając po polsku, z jakiej przyczyny tu się z najdowałem i ktobyhm był. Dałem znak głową, że przykro mi było, iż odpowiedzieć nie mogłem, nierozumiejąc krajowego języka. Zawołała drugieję z pań, która o to samo spytała mnie po Niemiecku; ale chociaż lat dwadzieścia byłem w Niemczech, nie mogłem się tego języka nauczyć. Potém towarzyszącego jój pana prosiła aby do mnie mówił po łacinie — i tego języka nigdym się nie uczył. W końcu nadeszła młoda osoba niezmiernie piękna, która powiedziała do mnie, że ponieważ

nie rozumiałem języków któremi domnie mówiono, muszę więc być francuzem; — że matka jej Xiężna Radziwiłłowa, miała wiele szacunku dla tego narodu i dla tego chciała wiedzieć, co mnie tu sprowadziło, pochlebiając sobie, że potrafi być użyteczną odczoiłtaczowi, okazującemu się nie ordynaryjnej Kondycyi.

Odpowiedziałem Xiężniczce Radziwiłłównię ze wszelkiem wianem jej uszanowaniem; przyznając się tylko że byłem był szlachcicem francuzem, którego ciekawość widzenia Elekcyi króla polskiego sprowadziła; dziękowałem Xiężnie za jej łaskę, oświadczając wdzięczność. — Wdaliśmy się w dalszą rozmowę i Xiężniczka powiedziała mi, że jej matka będąca partyi Neyburga przybyła dla widzenia wjazdu posła, paczłem dla nich podaną będzie w galeryi kollacya; uwiadomiła mnie także, że niektóre z przytomnych pań były za xięciem Lotaryńskim.

Poselstwo przeszło; nie było nic osobliwego, byłem pewny, że mój orszak i wyjazd przynajmniej temu co do wspaniałości nie ustąpi. Tylko co, przeszła kawalkata, zastawioną bardzo wytworną kollacyą nastole ciągnącym się przez całą długość galeryi. Wypytywano się mnie tyle i na różne sposoby, że w końcu domyślać się począł kto byłem; powiedziały mi te Panie że muszę być Hrabią de Chavagnac, a Xiężniczka Radziwiłłówna, posadziła mnie u stołu przy sobie

i drogą jej jak to ja pięknej pani, umiejęcej po francusku, która była Wojewodziną Sandomirską; mąż jej trzymał zupełnie naszą stronę. Gdyśmy usiedli, powiedziała mi, że dobrze trafiłem, bo Xieźniczka Radziwiłłówna, była gorliwą je-szcze stronniczką Xiecia Lotaryńskiego; niż jej matka Neyburga. Odpowiedziałem, iż mnie to mocno cieszy; że Xieże Lotaryński, o którym mi mówiła, bardzo był szczęśliwy i bez wątpienia musi zostać Królem, mając za sobą głosy dwóch najpiękniejszych w świecie kobiet, które mu będą szczęśliwą wróżką; że co się tycze mnie słyszałem o nim wiele bardzo dobrego, i czułem ku niemu skłonność nie znając go.

Przerwała nam rozmowę xieźna Radziwiłłowa i wzięwszy wielki kubek złoty, włożyła wien kawałek cukru spory i piła do mnie zdrowie Neyburga. Podziękowałem z największym uszanowaniem, lecz prosiłem Wojewodzinę aby jej powiedziała, iż błagam o pozwolenie wypicia wprzód zdrowia jej i dam przytomnych. Podziękowała mi, kazała przynieść drugi kubek, zawsze z cukrem; i wypilem zdrowie jej, potem przytomnych pań, potem Neyburga. Xieźniczka Radziwiłłówna piła do mnie zdrowie xiecia Lotaryńskiego, które, wprzód jej wypiwszy, spełniłem. Wtém, przyszedł do mnie Hrabia Zany, wraże porządnie ubrany, dałem mu znak aby udał, że mnie nie zna; zrozumiał wybornie; panie

zrobiły mu miejsce u stołu i tyleśmy pili za zdrowie ich i pretendentów, że jeśli się nie mylę w rachubie, znalazło się w końcu w moim żołądku, że trzy butelki wina i pewnie jaki funt cukru.

Ale cóż robić w takich okolicznościach, trzeba pić przez politykę; jednakże ja i Zany bylibyśmy niewytrzymali, gdyby wreszcie poselstwo nie przeciągnęło nazad. Wszyscy ruszyli do o-kien, a potem panie się rozjechały. Towarzyszyłem xieźnie do jej karety; xieźniczka polecała się mojej przyjaźni, a Wojewodzina Sandomirska powiedziała, że mając mnie za poufalego przyjaciela Hrabiego Chavagnac, prosi abym mu od niej oznajmił, iżby znajdował się o drugiej z północy w kościele..... a) w kaplicy Najświętszej Panny zapewniłem ją, że Hrabia nie chybi.

Po odjeździe dam, poszedłem do Kanclerzynie Pacowej, opowiedziałem jej mają przygodę. Smiała się z niej bardzo i rzekła, że w dzień mojego posłuchania trzeba wystąpić jeszcze lepiej, sprosiwszy wszystkie te panie i inne jej przyjaciółki. Odpowiedziałem, że to uczynię, Czekam końca audyencyi. Biskup Beziers, posł

---

a) l' Eglise des Escalopies .. nie wiadomo co to ma znaczyć.

Francuski, nie chciał mieć posłuchania, z powodu, ekskluzyi xięcia Kondeusza.

Posłuchanie Neyburga i wjazd jego był mierny; orszak składało sześciu lokai ubranych szaro z srebrnym galonem, za niemi szła kareta z trzema dworzanami.

Nadszedł dzień posłuchania mojego. Marszałek wielki, przysłał po mnie karetę i dwóch posłów rzeczypospolitéj, wedle zwyczaju. Siadłem do niej z xiędzem de Riguet i kazałem iść za mną czterem moim karétom mocno złoconym, w których było czterech dworzan, przy każdej z nich dwunastu lokai, w liberyi domu zielonéj, ze złotemi galony na wszystkich szwach. Sześciu paziów moich jechało konno tak samo ubranych, tylko że galony wszędzie były podwójne. Za nimi jechało dwudziestu stajennych w jednakiéj barwie; wszyscy z wielkimi pękami piór czerwonych, białych i zielonych, których tylko stajenni nie mieli. Ci prowadzili w rękę dwadzieścia najpiękniejszych jak być mogło koni, ślicznie ubranych i osiodłanych.

Kanclerzyna Pacowa nie zapomniała przybyć do domku swego na przedmieściu z zaproszonymi damami. Była tam xiężna Radziwillowa z córką, którym przejeżdżając ukloniłem się. Xiężniczka spytała matki czy wjazd Lotaryński, nie piękniejszy jest od Neyburczyka. Stara



księżna odpowiedziała jej: Szalona jesteś, zważasz tylko na błyskotki. Wszedłem do Senatu; nie umiając po łacinie, kazałem napisać mowę księździe Riguet, którą wszyscy bardzo chwalili, powiedział ją tak dobrze, że wołano i dawano oklaski. Wróciłem potem mimo okien tych pań, które mię obsypały życzeniami powodzenia. Z tą samą ceromonją karetą Marszałka Wielkiego odwiozła mnie do domu, gdzie zaledwie przybyłem, siadłem do jednej z moich karet i pośpieszyłem do pań, które przyjmować miałem.

Znalazłem je wybierające się do pani Kanclerzynie, po chłodnikach które im moi słudzy podali a które się bardzo podobały. Kollacya której się spodziewały, pokazała się wytworną ucztą. Kanclerz nie radził mi siadać do stołu z paniami, aby nas nie spoiły, lecz życzył zająć stół w kątku z Hetmanem wielkim Litewskim, jego krewnym, gdziebyśmy swobodnie o interessach mówić mogli. Tyleśmy pili za zdrowie pań, księcia Łotaryńskiego i moje, że o drugiej z północy, nie wiele mieliśmy ochoty skorzystać z muzyki, która przybyła. Robiłem jednak z siebie co mogłem i gdy towarzystwo całe wesoło się zabawiało, wykradłem się dla negocyacyi, które mnie gdzie indziej powoływały.

Nazajutrz synowiec Marszałka Sobieskiego, dzisiejszego Króla, przyszedł do mnie od Marszałkowej Sobieskiej, prosząc abym się z nią wi-

dział, tak, aby o tём nikt nie wiedział, mając być wpuszczony tylnemi drzwiami. Zgodziłem się na to chętnie i zaraz po obiedzie siadłem do powozu bez lokaja, z nim tylko. W pół drogi, dobyteń zegarka, aby zobaczyć godzinę, była to kosztowna sztuka, ozdobiona kamieniami i wartująca najmnień trzysta pistołów. Towarzysz mój prosił o pokazanie, a gdy chwalić zaczął, zmusiłem go do przyjęcia, po niewielkich ceremoniach. To tak go uradowało, że nie mógł wytrzymać i powiedział mi: Zmuszasz mnie pan swojém slachetném postępowaniem do wdzięczności; w dowód jój, oznajmuję mu, że Biskup Beziński Poseł francuzki będzie w czasie rozmowy ukryty, podściłać jój z za obicia; strzeż się W. Pan i uważaj co mówić będziesz. Sobieska jest rodem francuzka, córka hrabiego d'Arguien, bardzo przywiązana do interessów swego kraju, pełna zręczności, dowcipu i od dzieciństwa nawykła do interessów i negocyacyi.

Przyjęła mnie Marszałkowa jak najgrzecznień; mówiła z początku o rzeczach obojętnych, poczęła potém unosić się nad wspaniałością mojego wjazdu, i powiedziała mi, że francuz tylko potrafić mógł wszystko tak pięknie urządzić. Potém wymawiała się, że mnie do siebie wezwwała, lecz miała rozkazy królewskie. (Króla Francuzkiego) dla mnie. Odpowiedziałem że będę im ślepo posłuszny, byleby mnie do zła-

mania zasad honoru nie zmuszały. Spytała mnie potém, czy życzę sobie aby książę Lotaryński był Królem. Odpowiedziałem iż za tém i dla tego przybyłem.

Kiedy tak, rzekła, posłuchaj pan moich propozycji i dozwól mi je do końca wyłożyć. Przyrzekłem nie przerywać jój mowy i słuchać spokojnie.

Zaczeła od tego, że jeśli książę chce, aby mu wszystko dobrze poszło, powinien dać jój mężowi Ekonomię Samborską, czyniącą sto tysięcy liwrów dochodu, że dla niej potrzeba ofiarować wielki dyament wartujący cztery kroć sto tysięcy franków, którego kawaler d'Harcourt przywiózł od starego księcia; dla Potockiego Chorążego koronnego sto tysięcy franków, dla Biskupa Beziarskiego przyrzec nominacją na Kardynała; że potrzeba było aby książę Lotaryński ożenił się z siostrzenicą nieboszczki królowej Maryi, a nakoniec dodała, iż Król życzy sobie aby uczyniony był traktat, którego ja podpisać mam za księcia a Biskup Beziarski za Króla, przeciwko Cesarzowi; za co nagrodzić mnie ma łaską Marszałka Francji i wielkimi pensjami dla utrzymania świetnie tej godności.

Gdy skończyła, począłem mowę jój roztrząsać artykułami: ofiarowałem mężowi jój Ekonomię Samborską; wielki dyament dla niej, z warunkiem, że go będziemy mogli wykupić za sto

tysięcy talarów; sto tysięcy liwrów dla Potockiego; Kardynałski kapelusze dla Biskupa. Co się tyczy małżeństwa Xięcia, o tém stanowić nie mogłem, bom przyrzekł Senatowi, iż nie inaczej jak za zgodzeniem się Rzeczypospolitej zawrę małżeństwo, w tém zaś ona i mąż jej mając tyle wpływu i znaczenia łatwo potrafią uczynić jak zechcą. — Nakoniec, co do traktatu przeciw Cesarzowi, dziwiło mnie, że Król względem tego rozkazy przez nią nadesłał, wiedząc, że nie zostawałem w służbie Xięcia Lotaryńskiego, ale Cesarzkiej. Sam Xiążę znajduje się, dodałem, o mil tylko czterdzieści, można z tém do niego postać, bo ja do tego artykułu żadnej nie mam władzy. Nie wątpię, że król potrafi nagrodzić tych, którzy mu służą wiernie, ale mam nadzieję, że nadto mnie zna z dobrej strony, aby mógł sądzić że łaskę Marszałkowską zechcę pozyskać podłością i zdradą względem mojego pana.

Rozmowa nasza trwała blisko siedmiu godzin, w końcu których odjechałem nie nie zrobiwszy, bom na ostatni warunek nie chciał się zgodzić. Siadałem już do stołu, gdy tenże synowiec Marszałka Sobieskiego, przyszedł do mnie odstryja swego, z wyrażeniem nieukontentowania, jakie mu sprawiły propozycje jego żony, z prośbą abym się znajdował o północy u Wójewody Podolskiego. Poszedłem tam. Wypart się tego co żona mówiła i zawarliśmy umowę po-

dobną do wprzód ułożonej, wyjąwszy małżeństwo xięcia i traktat przeciwko Cesarzowi. Powiedział mi, że każe spisać umowę na czysto i przysła mi ją przez swego Kapellana, dla podpisania u Podkanclerzego Koronnego.

Nazajutrz, była to wilja elekcyi, korzystałem z czasu i odwiedzałem Panów Senatorów. Spotkałem się z Kapellanem Sobieskiego, który mi powiedział, że pan jego nie miał czasu kozać umowy przepisać, lecz ufa memu słowu. Żona to jego była tego przyczyną, bo zapomniała wyrobić jeszcze cokolwiek dla brata swego, kawalera d'Arguien, a że dzień Elekcyi wypadł na Boże Ciało, starała się o odłożenie jej o dzień jeden z przyczyny święta, aby miała czas wymódz jeszcze co dla niego. Wojewoda Podolski, którego miała za sobą, nie znalazł lepszego sposobu dla odroczenia Elekcyi nad proponowanie obioru Piasta, to jest polaka. Wiedział on dobrze, że nigdy polacy nie wybiorą Litwina, a Litwini Polaka, bo dawniej bywało to przyczyną wielkich zamieszek w kraju, (??) a tak, sądził że dla tumultu odłożą Elekcyę i Marszałkowa będzie miała czas wymódz namnie jakie zechce warunki. Wyszedszy od niej poszedł Wojewoda do swoich i rzekł im, że idąc napadnięty został przez rój pszczoł, które go przeprowadzały aż do pola elekcyi, tłumacząc, że to znaczyło widocznie, konieczny wybór Piasta.

Natychmiast wszyscy zawołali: **Piast! Piast!** i z Województwa do Województwa rozszedł się ten głos. Któs krzyknął: **Neyburg!** i rozsiekano go w momencie. Inni wołali: **Lotaryńczyk!** ale za wrzaskiem słyhać ich nie było. Litwa opierała się, ale nie poradzić nie mogła — Polacy byli cztery razy liczniejsi. Marszałek Sobieski widząc tumult, chciał się wymknąć, ale posłano za nim trzy poczty jazdy, żeby go rozsiekąć, jeśliby nie wrócił. Kanclerz Pac, który chciał podnieść głos i ogłosić Xięcia Lotaryńskiego, postrzelony z muszkietu, z którego ktoś do niego wymierzył i suknią mu tylko przedarł. Inni Senatorowie przerażeni, obwołali Królem Michała Wiśniowieckiego, który jak był niewiedzieć jakim Senatore, tak potem i Królem. Pochodził on z ich dawnych królów rodu, ale wcale się zaszczytu tego nie spodziewał i kiedy go ogłoszono, opierał się prosząc, żeby mu dali pokój. Ubogi był tak, że przycisniony potrzebą, czterema dniami wprzód, prosił mnie o dwieście talarów, które mu kazałem natychmiast wyliczyć.

Taki był skutek mojego poselstwa; zdawało się ze wszystkiego, wszelkie podobieństwa wskazywały, że Xiążę Lotaryński byłby obrany, gdyby nieprzewidziany obrót rzeczy, nie pozbawił go korony, którą byłby potrafił piastować, godniej od wszystkich królów w świecie, a mnie szczęścia przyszłego, większego nad wszelkie nadzieje.

W nocy przybył do mnie Marszałek Wielki Sobieski, proponując mi detronizację króla; odpowiedziałem mu, że miałem polecenie przewodniczyć elekcyi, nie detronizacyi, że może posłać do Turnawieć do Xięcia Lotaryńskiego. Nie mógł się pocieszyć, po tym niespodzianym razie. Arcy-Biskup Gnieźnieński był w rozpacz, a Kanclerz Pac szalał. Gdy mu mówił o xiążce Podkanclerzego, zalecającej Piasta, śmiał się ze mnie i mówił mi, że gdyby był się Podkanclerzy domyślał najmniej przyszłości, byłby zniszczył co napisał. Wreście sądzić można jaki to był król, gdy nazajutrz po jego Elekcyi, nikt się nie chciał przyznać, że go wyniósł na tę godność.

Wszyscy tak byli pewni, że Xiążę Lotaryński zostanie obrany, iż Burmistrz Warszawski przychodził do mnie z zapytaniem, w jakiej części miasta chcę mieć mieszkanie. Domy tam są z drzewa i nad brzegiem wisły, w trzy tygodnie zbudować mogą pałac xiążęcy; są zupełnie gotowe, które tylko złożyć trzeba, i taki mi miasto ofiarować chciało. Kapitałisci na prostą moją kartkę przychodzili mi ofiarować dwa miliony szelągów. Potocki idąc na pole Elekcyi wstępował do mnie, chciałem mu dać obiecane sto tysięcy franków, odrachowane na stoliku; ale on tak był pewny swego, że odłożył wzięcie ich do powrotu. Gdy tak wszystko się szczęśliwie składało, moje to chyba nieszczęście naprowadziło

biędzy Xięciu; a raczej tajemne zrządzenie Opatrzności, która chcąc go wypróbować ciągłemi przeciwnościami na tym świecie, zachowała zasłużoną nagrodę na drugim.

We dwa dni potém wyjechałem z Warszawy, ale nie wprzód aż widziałem i pożegnałem króla, który takich mi rzeczy nagadał, że ich powtarzać i pisać nie warto. Wróciłem do Turnawiec, gdzie zastałem Xięcia, który wyszedł na przeciwko mnie, i tyłą mię przyjął grzecznościami, jakbym go był królem zrobił.....

---

*Nota.* Ciekawy ten wyjątek, noszący na sobie charakter prawdy, wystawia w nowém świetle towarzystwo wyższe w Polsce w końcu XVII wieku. Niepochlebny zaiste obraz! ci dostojni Dygnitarze, Senatorowie. Xiążęta, panowie, frymarczący koroną, jak towarem, wołający prawie bezwstydnie: kto da więcej! Rola, jaką tu autor daje kobietom, nastrocza także wiele uwag: widzimy tu Marją Sobieską wprzód jeszcze intrygantką niż królową; widzimy; że kobiety nie były obce polityce, jak powszechnie u nas trzymają, że pomagały szczęśliwie mężom do dobijania targów. Żywy obraz arystokracji polskiej w XVII wieku, już pokalanój wpływem obczyzny: bo Pani Pacowa, Pan Sobieska, francuzki obie.



Oto jest objaśnienie względem imion Senatorów niedokładnie wspomnianych, lub poprzekręcanych u Chavagnaca :

Arcy-Biskup Gnieźnieński, *Mikołaj Prażmowski.*

Marszałek Litewski, *Krzysztof Zawisza.*

Kancelarz Koronny, *Jan Leszczyński.*

Kancelarz Litewski, *Krzysztof Pac.*

Podkancelerzy Koronny, *Jędrzej Olszowski.*

Podkancelerzy Litewski, *Karol X. Radziwiłł.*

Marszałek Nadwor. Kor. *Jan Klem, Branicki*

Marszałek Nadwor. Lit. *Teodor Lacki.*

Hetman Koronny, *Sobieski.*

Hetman Polny Koronny *Dymitr Xże Wiśniowiecki*

Wda Bełzki etc.

Wspomniany u Chavagnaca *Xięże Dymitr*, jest to ten ostatni Hetman Polny.

*Jędrzeja Olszowskiego* książka wydana za obiórem *Pia*sta lub *Xięcia Lotaryńskiego*, nosiła tytuł: *Censura Candidatorum sceptri Polonici*, 1669, 8. wyszła bezimiennie.

*Wianowski*, którego Chavagnac pisze, że pozyskał na swoją stronę, jest to ten sam *Xięże Dymitr Wiśniowiecki*, o którym wyżej.

*Wojewodą Sandomirskim* był podówczas *Jan Tartó*, żona jego *Anna Czartoryjska.*

*Wojewodą Podolskim*, który złym fortem *Xięciu Lotaryńskiemu* chcąc pomódz, zaszkodził, był to *Alexander Stanisław Betzecki.*

---

## II.

### **Potwierdzenie praw i swobód Tatarom Litewskim, uczynione r. 1568, d. 20 Lipca.**

**Żygmunt Awhust i t. d.**  
Oznajmujem sin listom naszym nynieśnim i na potom buduczim, czto pierwej sieho za predkow naszym i za szczastliwopanowania naszoho nadany i upriwilewany wolnosti i swobody Kniaziem, Ułanom. Chorunżim, Marszałkom i wsiem Tatarom, kotoryje osielosti swoi w Państwie naszym Wielikom Kniażestwie Litowskom majut, ino tych czasow buduezi nam Hospodaru na Sojmie Wielikom Walnom Horodeńskim, opowiedali pered nami Kniazi, Ułani, Chorunżje, Marszałki i wsi Tatarowie Państwa naszoho Wielikoho Kniażestwa Litowskaho o tom, jakoby w Statucie nowo ot nas Hospodara wsim obywatelam Państw

**Żygmunt August i t. d.**  
Oznajmujemy tym listem naszym teraz i na potém będącym, że przedtém za przodków naszych i za szczęśliwego panowania naszego nadane były i uprzywilejowane wolności i swobody Xiążętom, Ułanom, Chorążyni, Marszałkom i wszystkim Tatarom, którzy osiadłości mają w Państwie naszym Wielikiem Xięstwem Litewskim; teraz zaś gdy my Hospodar byliśmy na Sejmie Wielkim Walnym Grodzieńskim opowiedali, przed nami Xiążęta, Ułany, Chorążowie, Marszałkowie i wszyscy Tatarowie Państwa naszego Wielkiego Xięstwa Litewskiego, o tém jakoby w Statucie nowo od nas Hospodara wszystkim obywatelom Państwa

wa naszego Wielikoho Kniażstwa Litowskaho ku sprawowaniu wsiakich spraw wydanom niekatoryje artykuły protiwnu wolnostiam i swobodam ich ot predkow naszych i ot nas Hospodara nadanych ufalenij, a mianowicie diej w Rozdzielie diewintom, artykuł tretij a w Rozdzielie wtorom nadeatij artykuł piatyj im dotkliwie i wolnostiam ich szkodliwyje opisany, za czym oni niemałoje ubliżeńje wolnostij swoich byli mienujuczy, bili nam czołom iżbychmo ni w czom praw, swobod i wolnostiejim nadannych nie naruszajuczy pri mocy zostawili i nikotoroho ubliżeńja im nad prawo i wolnosti nadanyje przyjmowali nie dopustili, o czom i Panowie Rady nasi ich Miłost Duchownyje i Świetskie za nimi zalecajuczy wieru, cnotu i ochotu ich ktoruju oni w służbach Ziemskich Wojennych czastokrot' okazywajut' nas żedali; a tak za doznaniam wiedy i cnoty ku

naszego Wielkiego Książstwa Litewskiego, dla przewodu wszelakich spraw nadanym, niektóre artykuły przeciwko wolnościom i swobodom ich przez przodków naszych i przez nas Hospodara nadanych uchwalone zostały, a mianowicie w Rozdziale IX, artykuł III a w Rozdziale XII, artykuł V im dotkliwie a wolnościom ich szkodliwie opisane; za czém oni z niemałą to szkodą i ubliżeniem swobód swych mniemali i bili nam czołom ażebyśmy ni w czém praw, swobód i wolności im nadanych nienaruszając, wcalej je mocy zostawili i żadnego im ubliżenia nad prawo i wolności nadane czynić nie dopuszczali, o czém i Panowie Rady nasi I. M. Duchowni i Świeccy za nimi zalecając, wiarę, cnotę i ochotę ich, którą oni w służbach Ziemskich, Wojennych częstokroć okazywali, przekładali; a tak doznawszy ich wiary i cnoty

służbam naszym Hospodarskim i Ziemskim tyje poddannyje nasi wsi Tatarowie Państwa naszoho Wielikoho Kniażestwa Litowskoho ot predkow naszych i ot nas Hospodara nadanych, zostawujem i to im tym listem naszym utwierdzajem, mająt' oni, wo wsiem raditi i sprawowatisia a w sprawach swoich zarowno s inszyni obywateliami Państwa naszoho Wielikoho Kniażestwa Litowskoho stanu szliacheckoho, potomu jako i do sich czasow wolnostiej swoich używali i w nichsia sprawowali a artykuły wysze pomieniennyja w Statucie nowom wydannom opisanyje, to jest w Rozdziele 9 art. 3 a w Rozd. 12 art. 5 i inszyje wsi artykuły Statutowyje kotoryje by prawam i wolnostiam ich ot predkow naszych i ot nas Hospodara im nadaunym protiwny byli, niezoho wolnostiam i swobodom ich szkoditi i na perekazic byti niemajut wiecznymi czasy, i na tojeśmo Ułanow,

ku służbom naszym Hospodarskim i Ziemskim, tych poddanych naszych wszystkich Tatar Państwa naszego Wielikoho Xięztwa Litewskiego (przy prawach i swobodach) od przodków naszych i przez nas Hospodara nadanych, zostawujemy i te im tym listem naszym potwierdzamy, mają się oni według tego rządzić i sprawować w sprawach swych zarówno z inszemi obywatelami Państwa naszego Wielikoho Xięztwa Litewskiego, stanu szlacheckiego, wedle tego jak dotąd swobód używali i sprawowali się, a artykuły wyżej wspomniane w Statucie nowo wydanym opisane, to jest w Rozdziale IX, art. III, a w Rozdziale XII art. V, i insze wszelkie artykuły Statutowe, któreby prawom i swobodom ich od przodków naszych i przez nas Hospodara im nadanym przeciwnie były, w niczém wolnościom i swobodom ich szkodzić i przeszkadzać nie

**Chorunżim, Marszałkom i  
wsim Tatarom Państwa na-  
szoho Wielikoho Kniaże-  
stwa Litowskaho dali siej  
nasz list, do ktorohojeśmo i  
pieczat nasz priwiesiti roz-  
kazali. Pisan w Grodnie, lic-  
ta Bożeho narożonja tysiacza  
piat sot szestdesiat ośmaho.  
Msca Julja 20 dnia.**

*(Z kopii współczesnej.)*

**mają na wieczne czasy. I na  
tosmy Ułanom, Chorażym,  
Marszałkom i wszystkim Ta-  
tarom Państwa naszego Wiel-  
kiego Xięztwa Litewskiego  
dali ten nasz list, do którego  
i pieczęć naszą przywiesić  
zozkazaliśmy. Pisano w Gro-  
dnie, lata od Bożego Naro-  
dzenia tysiąc pięć set sześć-  
dziesiąt ósmego, Miesiąca  
Lipca 20 dnia.**

## III.

*List Sokotowskiego do Biskupa Kujawskiego  
w sprawie Akademii Krakowskiej.*

(XVII w.)

Illne ac Rndme Dne !

Quis mihi dabit pennas columbae, ut vobiscum sim et loquar. Bo listy, prawie listy, wiatr je rozwieje, a też już na nie nie odpisują. Strony tego ożenienia Collegiatów z Jezuitami, dobrzeby je zawiesić do słusznego czasu, wszakoż to nie ostateczny Synod, a też milczaną obrócić może jako chce, jako owo czynią w Rzymie, a z xiąg rzeczy dobywać trudno i nie miło. Nie wadziłoby się przypatrzeć i ludziom i rzeczy. Widzę ja, że tu oni wielkie aedificium u S. Szczepana budują, acz ja to wiem na co. Powiedział mi rzemieślnik, żeby tego za kilka lat nie zbudował, jakoż jednak gdzieby mieli w Collegium czytać, musieliby mieć gniazdo, w którym mieszkając się i żywiąc się, tamby chodzili, czego by bez osobnej szkoły niezwykle czynić, ani mogą. Bo niechcianoc przedtym jeno S. Barbary, a już teraz i na S. Szczepana mało, poczekajmy onego wielkiego rerum interpretem, czasu, i do czego się rzeczy powiodą. Jabym ci wierę nie rad widział dwie szkół w Krakowie, juxta illud: qui binos lepores una sectatur in hora, uno quandoque, et quandoque carebit utroque. Wszak też

indzie Collegia swoich mają dosyć, est ubi facultates exerceant suas. Atoli i ci za dziesi 9 grzywien, jako powiada Satyr Kochanowskiego, dosyć wymyślają, neque nos unquam penituit loci istius. Nad którym ja jednak widzę quandam benedictionem Dei, że przecie non desunt viri, qui teneant locum, bez myta statecznego, ba wierę i bez chleba. Et fuit aliquando Regnum hoc solo loco contentum. Ale dobrze żeby było siła operarios z obudwu stron godnych i dobrych. Tak jest jedno quisquis in statione sua, by za się, mając walczyć przeciwko nieprzyjacielowi, z sobą się nie wadzili. Dziwne to zwierzęta Philosophowie, trzeba je w rozworach chować, tak, żebym rad Jezuity do kościoła, a żaki do szkoły pognął. Nietylko tu u nas, ale i wszędzie, bo inaczej ani nauki, ani też podobno pietas do swój perfectiej nie przyjdzie. Ale ja to lepszemu baczeniu {W. M. poruczam. Łasce się W. M. pilnie zalecam.

(zR żkopizmu współczesnego.)

#### IV.

*Stanislaus Miński surdus, Nicolao Simeoni  
Samborzecki coeco S. P. D.*

(XVII s.)

Si non vides, bene est, ego quoque nihil audio. Cieszyłem się w tym przypadku uszu moich, żem tego niemiall słyszeć, kiedy mi się kto

dlugu upominall. Przyczymeś mię WM. widzę niechciall zostawić. Bo skoruczkom za myasto wyjachałl zarazemeś WM. chciall wziąć w tysiącu złt. kamienice moje która przynajmniej dla tego że była quondam domicilium sławnego Rayce Krakowskiego pana Erazmusa Czeczotki, godna była większego uszanowania, więc i ludzi nie trzeba było trwożyć, bo już będą rozumieć że sądny dzień niedaleko, kiedy ślepi na głuchę następują, czego nie tak zwyczaj Chrześcijański uczy i on niezwykły pogański — si fueris caecus, ne dic convitia surdo, atolim za ten tysiąc złt. kazall dom zapłacić, z którego proszę abys WM. kwitowałl mnie zaraz, a teź gdzie najbliżej w Grodzie poczał, ma się podobno tymże cyceronem skończyć, jeśli się to spólnym będzie przyjaciółom zdało, znowu sobie zwykłą, przyjaźń przypowiedzieć możem. Si vales bene est, ego te amo, tua tuor abste amari dolo: vale et abi.

(z *Rękopismu współczesnego*).



*Uniwersał Hetmana Żółkiewskiego, przeciwko partyzantowi Poniatowskiemu. a)*

(1608.)

**Stanisław Żółkiewski Hetman.**

Mniemam wiadomo jest WM. jako niejaki poniatowski zebrawszy niemalo ludzi swowolnych, nie będąc ni od kogo w służbie zaściagniony, większą część korony poczynawszy od granic pruskich, aż tu do naszych krajów splundrował, znaczne Senatory i miasta J. K. M. duchowne i świeckie, z tą kupą poszacował i deputował, gwałty białymgłowom uczciwym poczynił i innych wiele rzeczy złych przykładem szkodliwym bardzo, gorszym już niż Nalewajkowski zaciążeniem ludzi ubogich, wśród spokojnych krajów coronnych narobił. Nakoniec będąc odemnie napomniony, aby się rozjachali i tych złych rzeczy zaniechali, miasto tego teraz pod Jarmark Lubelski do Lublina z rozpuszczonemi chorągwiami obyczajem nie polskim, przyciągnawszy, kupce złupił i podarł tak że już Commertia ustać muszą i korona zaniechaniem kupiectw i handlu do wielkiego niedostatku przyjdzie i dalej patrząc na te jego tak

---

a) Szczegóły dotąd niewiadome, do historyi Zygmunta III. P. R.

szkodliwe postęпки trudno inaczéj rozumieć je-  
 dno iż zacząwszy tu swe towarzystwo łupem  
 gwałty, impane poczynionemi na tym nie sta-  
 ną, ale do jakiego szkodliwego i niebezpiecz-  
 niejszego Riptej zatrudnienia udadzą się. Ostrze-  
 gając się tedy abyście WM. o miłosierdzie tych  
 swowolnych w domiech swych z zdrowiem i  
 majątnościami swemi nie dostawali i dalej aby  
 się to złe nie szerzyło mając rozkazanie J. K. M.  
 przychodzi mi dla pohamowania tego swowa-  
 leństwa ruszyć wojsko J. K. M. i przeciwko nim  
 tanquam hostes patriae, którzy ani na powin-  
 ność swą, ani na prawo pospolite względu nie  
 mają czynić. WM. tedy do wiadomości przy-  
 wiodłszy proszę, abyście się WM. do wojska  
 J. K. M. kędy się WM. o mnie dowiecie kupili  
 i spolem ze mną, uspokojeniu ojczyzny i nie-  
 bezpieczeństwu swemu zabiegając zaniedbywać  
 nie raczyli. O czym wydane też są uniwersa-  
 ły J. K. M. do grodów, z których się WM. i z pu-  
 blikatij ich strony sprawić będziecie raczyli.  
 Nie wątpię że WM. poczuwszy się w tym nie-  
 bezpieczeństwie, w jakim od tych swowolni-  
 kow sąście WM. bo nie tu ich swowola stanie  
 jeśli się jój nie zabieży, pójdzie to złe dalej,  
 będziecie WM. chcieli dobrego się przyczy-  
 nić, a niedopuszczać temu swowoleństwu oj-  
 czyzny swój niszczyć, wstydy ucziwych bia-  
 łychglów gwałcić i rozbojów jawnych czynić.

Z tym służby nie zalecam w łaskę WM. WM.  
w Nudachowie. 4. martii 1608 r.

## VI.

### *Uniwersat Poniatowskiego.*

My Ludwik Poniatowski Pułkownik, Towarzystwo i wszystko Rycerstwo, komu to wiedzieć należy, a zwłaszcza JW. I.MM.PP. Duchownym, wojewodom, starostom, podstarościm, urzędomże i innym obywatelom wiadomo czyniemy tym naszym skryptem, iż my z koła naszego Rycerskiego zezwoliwszy się wysłaliśmy towarzystwo swe do Łowicza i kluczów do niego należących, także i do inszych miast i dóbr tak królewskich jako i duchownych dla statiej i dociągania żywności na wojsko nasze, przeto WM. swych MM.PP. prosimy aby ich jako ludzi rycerskich poszanowawszy onym jako od nas in comissis mają dostanowienia, aby im wiara była we wszystkim dana. Na co dla lepszego upewnienia daliśmy im ten list (gdyż się siła najduje takich, którzy pod pretextem naszym wybierają stacją) z pieczęcią i podpisem rąk naszych. W Kamieńcu d. 11 Januarij r. 1608.

Ludwik Poniatowski. Maciej Dębiński.

Andrzej Kotuski. Maciej Bodzanowski.

Paweł Krasicki. Wojciech Brzecicki.

Wojciech Pawłowski. Florjan Gorecki.

(z *Rękopismu współczesnego*).

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

II.

**L I T E R A T U R A .**

## **JAKÓB KWIETKIEWICZ.**

**Wyjątek z niewydanych tomów Romansu E. Tarszy pod tyt: STANNICA HULAJ POLSKA.**

Późniejszy strażnik Sieniuchy Jakób Kwietkiewicz, urodził się w téjże wsi co i ostatni Koszowy Zaporozża. Była to jedna z wiosek Humańskich i nawet w przechodzie, Zaporozżak ukazał Jerzemu na kręty łańcuch jarów, który mierzchnąc i siniejąc szedł do leżącój na boku, a nikły strumyk wody który się na dnie jaru sączył, o dwie mil dalej tworzył staw szeroki na samym środku siola. Więzień poprosił żeby mu wolno było zejść do strumienia, napił się nacierpanej w dłonie wody i rzekł z przekleństwem, że dawno już nie pił tak chłodnej i tak dobrej: taka była jedyna oznaka jego przywiązania do rodzinnego miejsca.

Otoż w wiosce co w tych jarach leżała, spędzili razem prawie niemowlące lata, dwaj późniejsi zakłęci wrog; ale kozak u rodziców choć ubogich, szlachcic w sieroctwie i na łasce serc litościwych. Te wszakże serca litościwe, które mu nie dały umrzeć z głodu i zajedzionym zostać od robactwa, nie unikały bynajmniej napoić go każdego dnia łzami i nakarmić krzywdą, jako odziomek cudzego i nie lubi onego rodu, bo mały Jakow był synem zubożałej slachoty, czyli jak we wsi mówiono *banitów*. Rodzice umarli najpewniej z nędzy i zostawili czteroletnie dziecko na łup takiejże samej głodnej śmierci; wszelako dożyło ono jakoś do lat dwunastu; wałając się po ulicach i po przyzbach chat, początkowo karmione miłosierdziem gospodyń, potem za przyrostem sił i wieku, przemocą, kiedy ujrzał u słabszego od siebie chłopczyka bu-blik albo warenik w zasmolonych ręku: albo przemysłem kiedy bliźniuki z obiadem czekały w ścierniu na kończącego wiązać snopy żniwiarza lub żniwiarkę. Wszelako najzwyczajniejszy kawałek chleba znajdował *Laszek Sierota* (tak go nazywano) u rodziców młodego Dżulajenka, z którym był jednego wieku; matka tego chłopca, który potem zasłynął na Zaporozżu pod nazwiskiem Sydora Białego, przyrzekła umierającej matce pierwszego, że go nieopuści. Pamiętała więc o tem ile jej pozwalało ubóstwo i

co soboty przynajmniej brała go do siebie z ulicy, żeby wymyć i uczesać. Dla tego dwaj malce rośli z sobą prawie razem i w kłótniach z drugimi dziećmi stali jeden za drugiego. Obydwa chłopce mogli mieć po lat dwanaście, kiedy zaszlachcicem odezwali się jego krewni, wynaleźli go i wzięli do siebie dokądś w głębszą polszczę. Takim sposobem niespodzianie zniknął ze wsi, w której się urodził, bez niczyjego żalu, a nawet z niewielkiem zmartwieniem nierozdzielne go z sobą Dżulajenka.

Już onim zapomnieli, i rowieśnicy jego po śmierci ojców albo po odejściu w dziady, zostali sami młodymi gospodarzami wioski, kiedy znowu się pojawił. Tą razą przyjechał żołnierzem, z wielkim brzękiem i dzwiękiem; na dawnych znajomych patrzył z wysoka, nie poznawał tych na czyich śmieciach się grzebał, jednakże dla dawnego przyjaciela okazał dawną przychylnosć, wprost do niego przyjechał; może rad był dać mu poznać zmianę, jaka w jego losie zaszła, bo też i przyjazdu dotęj wioski zdaje się innęj nie miał przyczyny, jak pochlubić się nową okazałością, niepodobną do stanu w jakim zeszły jego lata dziecinne.

Dżulajenka przyjął go serdecznie, pyszny był z fortuny przyjaciela; wdzięczny że do niego się przyznawał; kilka dni z rzędu pili i bułali, najmowali muzyki i chodzili z niemi po ulicach;

bili kto nie zdejmował przed nimi czapki, tak że dobrzy ludzie wyglądać zaczęli, kiedy od nich ta się bieda odczepi. Widząc pustą chatę przyjaciela, bo już go ojciec i matka odumarli, pytał P. Kwietkiewicz (tak już się wtedy nazywał) Dżulajenka, czemu się nie żeni? Przyznał mu się ten wtedy, że poswatał najpiękniejszą i najbogatszą dziewczynę w wiosce, która jako piękna i bogata, długo już z nim dziwaczy, ale musi się na tém skończyć że jego żoną zostanie. Nazywał wtedy swą ulubioną, a hulaka Laszek przypominał że ją widział dziecięcim, zażądał żeby pójść do niej z przyjacielem, a Dżulajenka (choć mu wieszczce serce coś odradzało) obiecał mu i obietnicy dotrzymał.

— „Byłem wtedy, opowiadał sam koszowy, młody i głupi, utopiłem serce w czarnych oczach i białem liczku krasawicy, tak że czarne tylko oczy i białe jej liczko na całym Bożym świecie widziałem. Prawda, była hoża dziewczucha, wysoka i smukła jak trzcina, rumiana jak kalinowa jagoda, usta jak rozkrajany kawon czerwony, ząbki jak perły na jataganie tureckim, to tylko źle było, że wiedziała do siebie, że jest tak urodziwa. Nie raz kiedy pójdzie zrana po wodę, to już koromysła cedrowe włoży na plecy, a jeszcze stoi pochylona nad krynicą i przygląda się swemu obrazowi widnemu w czystym stoku, przy świetle jasnego porannego nieba.



Inną razą zajrzą bywało w okienko jęj świetlicy kiedy nie ma nikogo, stoi przed ścianą, przed zwierciadelkiem oblepioném w papier czerwony uśmiecha się do siebie, wygina na wszystkie strony, jak gdyby chciała zobaczyć czarne swoje kosy, spływające po plecach, aż rozradowana swoją niedorównaną krasą, wezmie się pod boczki i zacznie tańczyć po izbie przyspiewując na swoją własną pochwałę. Ja głupi stoję także wtedy bywało sam nie pamiętam jak długo, a nalubować się jęj nie mogę. Długo jeszcze tyle i mojego było, co się na nią ukradkiem napatrzę, to przemówię, to mnie wysmiejcie, pożartuję to połaję, przysunę się to i białą rączką palnie — „*het, otczepysia!*“ Włóczyłem się za nią jak pajęczyna za wiatrem, a ona odemnie jak woda od brzegu uciekała. Wyrzucała mnie że ona bogata, a ja ubogi, ona piękna, a ja brzydki, ona biała i delikatna, a ja jak niedźwiedź szorstki i nieobrótly, ja jednakże nie rzucałem się jęj, bo myślałem że wtedy i duch mój ciało opuści. A że nareście miłością i pokorą, prośbą i odgrażaniem, stąraniein ludzi i swoim uporem przywoďłem, że się zaczęło po mojem składać, i wtedy kiedy Lach przekłęty dobił do naszego brzegu, już moja Jaryna dała mnie ręczniki, a choć odwlekała wesele, nie mogła ze mną zerwać bez wstydu dla siebie i obrazy swoich i moich krewnych.“

W takich był stosunkach z swą narzeczoną młody kozak, kiedy przyprowadził do niej na wieczornicę swego przyjaciela. Powiadał że był wtedy napity, bo bez tego nie dałby się był mu namówić. Jakkolwiek jednak był napity, postrzegł, że pan Kwietkiewicz osłupiał na widok pięknej i zalotnej Jaryny, a chociaż u niego samego tyle było urody (tak się wyrażał zazdrośny kozak) ile u djabła, kiedy ubłocony z trzęsawiska wyłazi, wszelako śmiałość młodego szlachcica, przekonanie o swojej wyższości, wdzięk żołnierskiego stroju, a szczególnie pochlębstwo, którym trafiał do dumy młodej krasawicy, zdawały się korzystnie za nim przemawiać. Lach, miał pieniądze, pokazywał że je ma i że ich nie skąpi; jak tylko Jaryna pozwoliła, posłał za muzykantami; przyszli skrzypaki i cymbaliści, zeszły się dziewczęta, zaczęły się tańce i zabawa. Lach wykręcał ze wszystkimi a najlepiej z Jaryną, dawał dziewczętom podarki a najpiękniejsze Jarynie. Jaryna była najweselsza z hojnym i wesołym żołnierzem, najzimniejsza z swym narzeczonym, który wytrzeźwiał z zazdrości i całą noc dusząc się tłumioną wściekłością, powrócił już do świtu z swym przyjacielem z nieszczęśnej poहुलanki.

Nazajutrz nie nie wymawiał Dżulajenko Kwietkiewiczowi, lecz kiedy wieczorem ten mu przełożył, żeby znowu pójść do narzeczo-

néj, kozak spuścił czoło na dół i powiedział po-  
 nuro, że nie chce. Lach sam wspomniał o zaz-  
 drości, lecz się zaklinał, że nie było do niej po-  
 wodu, ażeby rozwiąć smutek, który go naszędł,  
 powiódł z sobą do karczmy; pili tam do półno-  
 cy i chytry żołnierz upoiwszy na śmierć zaz-  
 drośnego kochanka, poszedł znowu wyprawiać  
 luczną wieczornicę u Jaryny. Dowiedział się  
 o tém, dopióro nazajutrz kozak, lecz wtedy po-  
 wiedział mu Kwietkiewicz, że on się zakochał  
 nie w Jarynie, ale w jój siostrze i że dla niej to  
 chodził; ażeby go o tém przekonać, namówił że-  
 by poszli razem na trzeci wieczór. Wprawdzie  
 dwie siostry razem mieszkały; Makryna także  
 była ładna jak i jój o kilka lat starsza siostra;  
 poszedł więc i niedowierzający i chcący zara-  
 zem uwierzyć kozak i w istocie Lach ani się  
 przyznawał do Jaryny, tańczył z jój siostrą, rzu-  
 cał pieniędzmi na muzykę i trunki, wszystkie  
 dziewczęta zarówno śmieszył i zachęcał do tań-  
 ca, umyślnie unikając spójrzeć na narzeczoną  
 przyjaciela, jak gdyby dla tego, żeby go zupeł-  
 niej uspokoić. Mało jednak skorzystał na tém  
 zakochany Dżutajeńko; bo choć Jaryna nie zaj-  
 mowała się wyłącznie jak pierwszą razą nowo  
 przybyłym żołnierzem, ale dla niego była po-  
 dawnemu zimna i nieprzystępna, i nie podaro-  
 wała ani słówkiem ani spójrzeniem.

Ubijał smutek nieszcześliwego Kozaka, cho-

ciał teraz nie mógł obwiniać o nic swego przyjaciela. Ten co wieczor sprawiał hulanki w domu Jaryny, ale do niej się nie przybliżał i rzadko kiedy wymienił słowo; zaczynali jednak przebąkiwać ludzie, że oni się widują gdzie indziej, o innej porze. Dżulajenko postanowił położyć koniec swoim troskom i utrapieniom, upominając się u Jaryny, ażeby naznaczyła dzień ślubu, jak to między narzeczonymi się dzieje. Chcąc wybadać prawdziwe myśli Kwietkiewicza, spytał się o jego radę w tej mierze. Lach pochwalił zamiysł, powiedział że z nim pójdzie do Jaryny, namawiać ją i upamiętywać, gdyby się okazała uporną. Zrobili jak ułożyli. Poszli więc zrana, a na oświadczenie Dżulajenka, zbladła jak śmierć rumiana dziewczyna, spójrzała na pana Kwietkiewicza, służącego w tej chwili za bojarzyna swemu przyjacielowi. Młody kozak uczuł także, że mu w oczekiwaniu odpowiedzi krew podeszła pod serce, a oczy ziemi nie widziały w tej chwili, nie dostrzegł więc jak się Lach nachylił i szepnął coś do ucha dziewczynie; powróciła ona natychmiast do przytomności, i rzekła do swego narzeczonego, żeby jutro przyszedł do niej o tej porze, że na ten czas sprosi swoich krewnych i w ich przytomności da mu odpowiedź, a jak się spodziewa, naznaczy dzień ślubu. Upadł jej do nóg szczęśliwy kochanek; nie bez trudności podniósł go przyja-

ciel i odprowadził do domu szalonego z radości jak nie dawno był ze smutku.

Na czas naznaczony stawili się obaj przyjaciele. Chata dwóch siostr napelniona była ich krewnymi; gospodarze w czapkach i gospodynie w rozpuszczonych namitkach siedzieli za stołem, dziewczęta otaczały Jarynę stojącą u okna, rzekłbyś że zbiegły się ratować w razie niebezpieczeństwa towarzyszkę. Pan Kwietkiewicz przy szabli i z kitą u czapki, wszedł przy boku przyjaciela, pokłonił się ludziom, kobietom, narzeczonej i w dobranych słowach, ponowił wczorajsze jego żądanie. Odpowiedziała sama Jaryna, że niewolnóm sobie być rozumie odwlekać dłużej spełnienie przyrzeczeń, które przyjęła względem swojego narzeczonego, naznacza więc na ślub najbliższą niedzielę „lecz gdyby“ dodała „na ten dzień nie uprzątnął wszystkich trudności, jakie do cerkiewnego poświęcenia ich małżeństwa mogą się spotkać, wtedy dla wstydu, któryby ztąd na nią spłynął, nigdy już nie pozwoli na połączenie się z nim w innym czasie, a tym samym narzeczoney od swoich praw odstąpi, i bez gniewu i żalu do niej ręczniki jój powróci.“

Odpowiedź dziewczyny jakkolwiek na pozór przychylna, mogła wszakże mieć najgorsze następności. W tym czasie dla poddanego gminu, uzyskanie ślubu jak ogólnie wszelkich ko-

ścielnych obrzędów, podlegać mogło nieprzewidzianym trudnościom. Skutkiem niedarowanej niebaczności rządu, zostawione było chciwości, samowolności nie tylko dziedziców ziemskich włości, ale dzierżawiących od nich dochody, a nawet prostych ich sług ekonomicznych, okładać lud rozlicznemi daninami, bezpośredniemi i pośredniemi podatkami. Pomiędzy tymi zdziercami, znajdowali się tak niebaczni, że nie wahał się wynajdywać z bogaceniu się, w przedmiotach najświętszych dla uczuć ludu, w religii którą wyznawał. Takim sposobem zadzierżawiano Cerkwie, to jest, pobieranie opłaty od ślubów, chrzcin, pogrzebów, wszelkich dochodów kościelnych, a jakby dla powiększenia miary swawoli rozdrażnienia głębszego, ludu, te dzierżawy oddawano tak samo jak inne artykuły propinacyjne żydom, którzy trzymali u siebie klucze od Cerkwi, dzwony, sprzęty i ubiory do obrzędów potrzebne, i z każdym potrzebującym którejkolwiek z usług kościelnych, targowali się po mierze jego dostatku, albo swojej chciwości. Sprawiedliwość zmusza powiedzieć, że działy się podobne bezprawia w Ukrainie, chociaż pod koniec ośmnastego wieku były już one coraz rzadsze; nie były one zapewne ani powszechne, ani prawem publicznem pokryte, wszelako jeden i drugi podobny przykład rozgłosił się po kraju, uważany był za powszechną

krzywdę, za umówiony ucik nieunickiego wyznania i **jątrzył najsrożej serce** ludu przeciwko Polakom.

Na nieszczęście, takiemu haraczowi podlegała osada, gdzie żyła wyniosła Jaryna i jej posłuszny kochanek. Prosty zawiadowca ekonomiczny, człowiek głupi i niepoczewy, odważył się na to bezprawie, ażeby się czém prędzej zбогacił, a na poborcę tych bezbożnych dochodów, obrał sobie prawdziwą pijawkę krwi chrześcijańskiej, bogatego żyda, który może jeszcze bardziej dla nasycenia nienawiści religijnej i natrząsania się z obrządków chrześcijańskich, niż dla zysków, które mu okoliczne zaarendowania szynków zapewniały, podjął się równie nienawistnej jak niebezpiecznej dzierżawy. Ledwie więc ucieszył się nasz kochanek, że już mu tylko kilka dni zostaje do spełnienia słodkich swych życzeń, objęły go zarazem smutne niepewności, czyli w tak krótkim czasie potrafi przywieść do ugody żyda, o którym niewiedział jeszcze co od niego zażąda, lubo nie wątpił, że go nie pożałuje, a daj Boże żeby tylko pragnął, co dać będzie mu w stanie.

Odchodzącemu w smutnych dumanjach Dżufajence, przyszedł na pomoc przyjaciel. Poradził żeby sam nie jechał do Arendarza, a na niego zdał wyrobienie kwitu, bo z nim jako z Lachem i z żołnierzem nie będzie miał śmiałości

drożyć się zbytecznie i sprzeciwiać. Duch wstał w kochanka: w radości swego serca zapominał o podejrzeniach mianych do Kwietkiewicza, kłął się, że całym życiem odslugiwać mu będzie to dobrodziejstwo. Lach skrócił jego rozczulenie, rzekł że nie było czasu, do stracenia, bo rzecz się działa we czwartek o południu, postanowił jechać zaraz do żyda, arendarz bowiem nie mieszkał we wsi, ale o pół mili ukraińskiej od niej na trakcie, w miejscu gdzie kilka dróg się schodziło i dochodny punkt stanowiło, a może też ustronne jęj położenie, ługi gęste opodal (bezpieczne przytulisko różnego gatunku ludzi,) wygodniejszém ją zrobiły miejscem jak środek wioski, do wymiany i frymarku różnymi przedmiotami, które mu ci włóczęgi podnosili, do zarznięcia skradzionej krowy, albo nawet do ukrycia łupów zrabowanego gdziekolwiek dworu.

Pojechał więc Pan Kwietkiewicz do żyda, obiecawszy przyjacielowi, że wieczorem a najdalej nazajutrz rano powróci. Kozak miał rozliczne zatrudnienia przed tak ważną dla niego niedzielą, i oddał się takowym, i do wieczora nie myślał o Kwietkiewiczu; kiedy jednakże nie wrócił na noc, różne myśli zaczęły mu przechodzić przez głowę. — Zrana nie było go jeszcze, do południa nie powrócił Kwietkiewicz, niepokojność go objęła, nie mógł wytrzymać na jednym miejscu, ale pod czas kiedy się wahał,



godziny płynęły, już było ku wieczorowi, — wybiegł za wieś: posel jego powracał, ale bez żadnego pospiechu. Lach zdawał się smutny na twarzy, spotkał przyjaciela ze złemi nowinami; żyda nie było, czekał go napróżno w karczmie. Przeklął w duchu Dżułajenka nieszczęsnego wyręczyciela, onby był za żydem pojechał, wynalazłby go chociaż pod ziemią, a ten opój przez dwa dni pił zapewne na jednym miejscu. Był to piątek. Żyd musi na szabas wrócić do domu, niemówiąc już ani słowa kozak pospieszył do karczmy; Kwietkiewicz mu nie odradzał a sam powrócił do wsi.

Zamierało serce w kozaku żeby nie opóźnił się przed nocą, bo wiedział że przez dobę nie zechce z nim gadać pobożny żydowin. Szedł spiesźnie, lecz słońce spieszniej chyliło się ku zachodowi, poglądał na nie i klął; zdawało mu się, że leniwe zawsze słońce biegnie teraz widocznie po śliskim niebie. Zaszło nareście czerwieniąc za piaszczystymi wzgórkami, ale już i karczinę widać było. Puścił się biedz, dopadł nareście wrót; w tej chwili świeczki szabasowych lichtarzów zabłyśły przez potłuczone okna karczemne. Stracił więc wszelką nadzieję, ponuro wszedł do izby, i jak przewidywał, stojący przed stołem arendarz, w śmiertelnej koszuli, z dzieściorgiem przykazania na czole, dał mu znak poważnym ręki skinieniem żeby milczał, kiedy

o interessie za którym przyszedł chciał przemówić.

Wyszedł na podwórze kozak i rzucił się na ziemię pełen rozpacz, przez całą sobotę nie jadł i nie pił z troski serdecznej, wyglądając tylko końca tego dnia nieznosnego. Słońce lało jeszcze powolniej jak zawsze, zleniwiało może po wczorajszym biegu. „Patrzyłem, mówił koszowy, za gwiazdami na niebie z takim upragnieniem, jak ci nieczyści wróżbici na Turczczyźnie, co się do nich modlą i ich mocą wyrabiają dziwy.“ Zabłyśły наконец, zejściem swoim oznaczając koniec szabasu; żydzi odprawiali przecie swoje modlitwy i arendarz sadzając kozaka za stół, powiedział że gotów był słuchać jego żądania. Bądź jednakże dla tego, że przezorny żyd, zmiarkował po niecierpliwości Dżulajenka, jak bardzo chodzi mu o skutek interessu w jakimym przyszedł, bądź inne tajne miał do tego powody, okazał się tą razą jeszcze trudniejszym jak zwyczajnie. Cenę za kwit na ślub położył tak wysoką, że kozak aż porwał się z za stołu i schwycił za głowę. Gdyby wszystko co miał spieniężył do ostatniej na sobie koszuli, nie wyniosłoby to jeszcze całej tej summy. Napróżno oddawał chciwemu żydowi cały swój dobytek, woły i krowy, a resztę obowiązywał się oddać mu po ślubie, albo odslugiwać do ostatniego grosza; żyd słuchać nie

chciał; żądał nie fantów ale gotowizny i to natychmiast. Nieszczęśliwy człowiek napłakawszy się i naprosiwszy na próżno, stracił cierpliwość, zaczął się klócić i odgrażać. Żydzi zbiegłszy się całą rodziną, wzięli go za plecy i wypchnęli z izby.

Powracał do domu Dżulajenko z rozpaczą w duszy — „Gdybym, mówił sam do siebie, wiedział o cenie podłego żyda, przed dwoma dniami, poszedłbym na rozbój i zdobył pieniędzy; zaprzedałbym duszę djabłu i dostał pieniędzy; teraz marnie przyjdzie się zgubić ze świata“ Myślał więc czy się powiesić, czy utopić, i w tych wesołych rozważach dobrnął do domu. Kwietkiewicza nie było w chacie, hulał jak zwyczajnie u dwóch siostr. Kozak pomyślał, czy on co rozrzuci pieniędzmi, nie zaraduje go w złym razie, czekał więc jego powrotu z ostatkiem nadziei. Przyszedł dopiero z dniem białym, lecz na prośbę przyjaciela wytrząst próżną kalitę i oświadczył że ostatni grosz przehulawszy, zamysła powrócić do chorągwi pod którą służy. Dodawał jednak dobrej myśli kozakowi, obiecywał mu że Jaryna odstąpić może od warunku i poczeka do następnej niedzieli, a w ciągu tego poradzą sobie jakoś z dzierżawcą Kluczków cerkiewnych. Radził mu żeby szli do niej, bo już była umówiona pora. Poszli, ale kozak w głębi duszy niczego się niespodziewał. Chata dwóch

siostr wyglądała świętecznie, — krewni i sąsiedzi się zeszli. Panna młoda ubrana była do ślubu; niechcąc się domyślać złej nowiny, z którą przychodził jój narzeczony, a którą łatwo było wyczytać z jego smutnego czoła, odezwała się owszem do niego z uśmiechem, że gotowa iść z nim do cerkwi. Musiał więc nieszczęśliwy kozak w obec wszystkich, wyjąkać swoją złą dolę. Udała dziewczyna że doznaje wielkiego wstydu i żalu, zakryła oczy rękoma i przez łzy się odezwała, że ten co ją w tak wielką uwiódł sromotę, powinien ją nazawsze opuścić, i że nigdy nie pójdzie za człowieka, co w obec ludzi przyznał się że jest hołysz i nie ma czém ślubu z nią zapłacić. Napróżno przytomni krewni miarkowali jój boleść, napróżno namawiali ją ażeby z swoim kochankiem udała się do cudzej wsi, gdzie cerkwie nie są w drżawach, i gdzie dziś jeszcze nic jój nie przeszkodzi wziąć ślubu; odpowiedziała z gniewem dziewczyna, że nie będzie po cudzych stronach szukać zamężcia i jak zbieg pokryjomu stawać u ołtarza, narzekała że ci, co jój tę radę dają, ubliżają jój sierocie i uczciwym jój rodzicom śpiącym w grobie, równie jak ten niegodziwiec, co ją tego sromu nabawił. Dalej za płaczem i narzekaniem słowa do siebie przemówić nie dała.

Straciwszy takim sposobem wszelką nadzieję kochanek, wpadł w przystęp najgwałtowniej-

szój rozpaczy. „Musiał zgadnąć Lach przeklęty, opowiadał temi słowy kozowy, że dusza moja nie zaspokoi się, aż zgładzę kogoś ze świata i że jego samego już blizki byłem poświęcić mojej wściekłości, bo podsunął mi sam na kogo ją wyrzucić.“ Kwietkiewicz wspomniał mu arendarza i wystawił że on to był sprawcą całego nieszczęścia. Kozak zakipiał zemstą. Odeszli na stronę i ułożyli pomiędzy sobą sprawę mordy. Kozak mówił, że oddawna zamyslał, gdyby go dłużej durzyła Jaryna, porzucić wszystko i pójść na Zaporozie „lecz teraz, mówił zgrzytając zębami, muszę pierwój wybawić lud Chreścianański od nieczystej gadziny, która mu się koło samego serca obwila.“ Kwietkiewicz utrzymał go w tym zamysle i obiecał mu dopomódz. Obydwa wiedzieli a przynajmniej domyślali się na pewno, że żydowin nie omieszka wyjechać w nocy na jarmak, przypadający w poniedziałek, do blizkiego miasteczka. Umyślili zrobić na niego zasadzkę na drodze wiodącej przez puste wydany piaszczyste otaczające karczmę; tylko ponieważ pan Kwietkiewicz nie myślał uciekać na Zaporozie, wypadało mu uniknąć pozorów i starać się żeby nikt go już więcej nie widział dnia tego z Dżulajenkiem. Rozstali się więc z sobą natychmiast, naznaczając za miejsce schadzki wzgórk piaszczyste i za porę wschód miesiąca.

Kozak był zawczasu na swoim stanowisku.

Karczma jak już rzekliśmy stała na zbiegu dróg, ale w odludnem miejscu; z powodu tylko zatrzymujących się ciągle przy niej podróżnych, sama przez się stanowiła punkt ludny, przeto była bezpieczną dla mieszkańców swoich; wieczorem także zbierali się w niej różni podejrzani ludzie, ukrywający się przez dzień, a w nocy szukający w niej żywności i trunku, a żyd przebiegły, który z nich ciągnął korzyść, nie pytał co byli, a z wielką nawet miał ściślejsze porozumienie. Tymczasem okolica téj karczmy była istotny wertep; w dole ługi olchą zarosłe, wyżej bezśledna pustynia z przenośnych piasków. W tych odludnych miejscach odpowiednich dzielnemu usposobieniu jego umysłu; leżał lub błędził cały dzień kozak gotując się na pierwszy mord, który miał w życiu popelnić. Z dziką radością lubo nie bez lekkiego strachu, postrzegł że zaczyna już ciemnieć w okolicznych parowach od wieczornego zmierzchu; potem noc nastała, potem miesiąc krwawy wytoczył się powoli nad gęste ługi ze wschodniej strony — podniósł się wyżej, przygasił twarz płomienną, pomniejszył, poblądł i spójrzył po piaszczystej nokoło pustyni. Dżulajenko przypomniał, że to chwila w którą połączyć się z nim obiecał Kwietkiewicz. Nie było go dotąd. Pomyślał czy nie mylił sięwzględem miejsca gdzie się umówili spotkać. Nie, to był istotnie najwyższy pagórek

piaskowy, około którego przechodzić musiała droga z karczmy do miasteczka. Trzeba było zaczekać. Lach wiedział dobrze, że żydzi przed wschodem miesiąca nie puszczają się w drogę, a nawet czekać może będą zarania. Ułożył się zasnąć pod wzgórkim, lecz go sen nie brał. Dziwiło go czemu nie ma współnika zamierzonej zbrodni. Wstąpił na wierzch pagórka, spójrzył naokoło; nikt nie spieszył w to miejsce. Noc tymczasem zrobiła się widniejszą od dnia lada-jakiego, miesiąc świecił jasno i zdawał się odbijać światło od białych przestworów piaszczystych; wydmy te okoliczne wyglądały jak fale zastygłe morza, lekki cień znaczył wklęsłość dolin, a blask żywszy łysę czoła pagórków. Wśród piasków w dali czerniała się karczma. Kozak widział ją jak na dłoni; światła nawet z okien migwały dość wyraźnie i znać było po cieniu ile razy drzwi się otwarły i kto z nich wyszedł, i policzyć było można każdą ciemną postać, która ciągnęła do karczmy z ługów, albo do nich powracała. Noc jednak upływała a nikt z tamtąd nie puszczał się w drogę; czyhający zbójca zaczął się obawiać żeby mu nie uszły z rąk jego ofiary i wyteęzał wzrok w tę stronę jak pajak czatujący na zjawienie się owadu. Kiedy się zrobiło późno, rzadkie postacie przestały przychodzić i odchodzić z szynku; karczma zdało się zasnąć na chwilę; ale w porze letniej noc póź-

no zetknęła się ze wczesnem zranieniem. Z jednej strony miesiąc zaczął się schylać, lecz z drugiej zabłysła zorza poranna i zabieliło się niebo. Do tego światła ujrzał bezsenny wartownik, że ludzie krzatali się przy karczmie, pakowali wóz i zaprzęgali konie; kilka osób siadło, na brykę i puscili się w drogę. Widocznie ci to byli na których oczekiwał. Znać było, że ostryżny arendarz nie śmiał się puszczać w nory i czekał bezpieczniejszej chwili świtania. Serce w zbójcy zabiło; oglądnął się jeszcze czy nie było tego, który mu obiecał pomoc w tej sprawie. Nie było nikogo. Miałże ustąpić i wyrzec się tak długo rojonęj ulgi dla swęj zdzieczalej duszy?.. Niepodobna;—zbyt dużo od doby przeniósł wstydu i zniewagi, żeby dostąpił tych jeszcze, że sam się nie odważy zrobić co wzmowle z drugim ułożył. Że na wozie widział cały ładunek żydów — niewadzi, ufał że ich przemoże, a nie żałował wszystkich pogubić. W takich myślach leżał spokojnie przy drodze aż wóz nadjechał; porwał się wtedy i zatrzymał za cugle leniwo pod piasezysty wzgórek idące konie. Lękliwi podróżni wydali krzyk przerazliwy, schwycił się jeden z nich z wozu i zaczął uciekać, ale poznał już kozak wczorajszego nieużytego arendarza, rzucił buławą,—uderzony po nogach upadł z jękiem na ziemię; poskoczył ku niemu zbójca, konie przelekłe uniosły wóz z dziećmi i żydówkami, a żyd dzierżawca



został w ręku swego nieubłaganego wroga. Nie długo męczył się widokiem śmierci; wkrótce leżał w krwi własnej jak zarzniete bydle.

Nie czuł zbójca więcej zgryzoty niż gdyby istotnie bydle pozbawił życia, i we dwadzieścia lat później to opowiadając, w przesądzie, że żyd nie ma zupełnie duszy, nie umiera ale zdycha, mówił o tém z największą obojętnością. Ledwie wszakże dokonał tego krwawego czynu, postyszał że ktoś ku niemu pędzi; poznał konia i jeźdźną postać pana Kwietkiewicza, nieustraszył się a tylko zdumiał że tak późno przybywa. Został spokojnie słuchając, czy nie dysze jego ofiara, ale tuż za Kwietkiewiczem przyskoczyło także kilku żołnierzy, a wszyscy razem jakby niespodziewanie zobaczywszy trup zabitego żyda, podnieśli krzyk przerażenia i schwyтали mordercę. Nie miał Dżulajenko sposobności ratować się ucieczką, ani czasu wyrzucić zdradę przyjacielowi, który widocznie na prowadził nań żołnierzy, bo pojmanego na uczynku zbrodniczym, oddano zaraz do więzienia.

Proces jego nie był długi; skazano go na szubienicę i dla wykonania wyroku przyprowadzono do wsi z której był i gdzie zbrodnię popełnił. Póki trzymano go w turmie nie wiedział o Bożym świecie, nikogo bowiem do niego nie dopuszczano; dopiero więc w dniu naznaczonym na karę, zobaczył znowu znajome twarze, po-

między którymi jednak nie postrzegł ani tego który go namówił na zbrodnię i wydał, ani téj za której wiadomością i (jak przeczuwał) zgodą to się wszystko dopełniło. Mógł rozpatrywać wygodnie, kiedy go wprowadzono na zbudowane rusztowanie. „Pięknie, nie ma co mówić“ opowiadał później sam Koszowy „pięknie i daleko widać z pomostu pod szubienicą. Nie żałowałem życia, bo wiedziałem że już było po nim, radbym był tylko plunąć w oczy mojemu zdrajcy, a także wyznać trzeba, że serce ludzkie krewkie do ostatka, bo życzyłem żeby ta co ze mną postąpiła tak niewdzięcznie, postyszała przynajmniej jak przed samą śmiercią, niezmiennym głosem odezwę się do ludu, że lekko mi śmierć ponosić pomściwszy się jego krzywdy i zniewagi Boskiej. Podczas jednak, kiedy upatrywałem jęj czarnych warkoczy, między zgromadzonem na placu chrześcijaństwem, oczy moje spostrzegły (bo powiedziałem już że dobrze patrzeć z szubienicy) iż w obłoku pyłu kilka powozów że służbą konną i pieszą zbliżało się do wioski; ale ja wtedy drwiłem już ze wszystkich Lachów i Panów ile ich było na świecie.“ Jednakże musiał przyznać, że przyjazdowi téj kalwakaty winien był ocalenie swoje. Podczas długiej ceremonii czytania dekretu i przygotowań kary na postrach i zbudowanie pospólstwa, powozy stały we wsi; otaczała je poważna as-

systemcy nadwornego żołnierza, poznano że to sam dziedzic tej wsi i rozległych naokoło kłuców, zjeżdżał niespodziewanie do dóbr swych; uderzyło nawzajem przyjezdnego niezwykajne zgromadzenie ludu, posłał dworzanina wywiedzieć się o przyczynie, a tymczasem postrzegłszy wysokie rusztowanie, kazał się rozstąpić otaczającemu orszakowi i zeszedłszy pomiędzy lud, sam się dowiadywał o nazwisko delinkwenta i jego zbrodnię. Uradowani wieśniacy z téj zrzeczności przełożenia swoich krzywd panu, opowiadali uciski rządzoj i chciwość dzierżawcy kościelnych posług, i jako wskutek przywiedzenia jednego z mieszkańców do rozpaczj, ostatni padł jój ofiarą. Dowiadywał się ze zgrozą o tém nadużyciu magnat, przewidując jak ważne może pociągnąć wynikłości upewnił lud że koniec mu położy; wypędził natychmiast sromotnie zawiadowcę, a dla ukojenia rozdrażnionych umysłów, obiecał że przebaczenie zabójcy żyda wyjedna. Na rozkaz jego zawieszano exekucję, a niebawem i samo ułaskawienie wyroku nastąpiło.

Dowiedział się wtedy Dżulajenko że jego niewinna narzeczona istotnie oddawna z Lachem się oddaliła; zapewne za jego to poradą wynalazła środek zerwania z nim nieprzyjemnych związków; lecz nieprzestając na tém Judasz, że mu odmówił kochankę, chciał się od je-

go prześladowań zabezpieczyć i dla tego namówił go na zamordowanie żyda, któremu może sam naznaczenie niepomiernej ceny zalecił. O tém, że czekał ukryty, aż kozak dopełni zbrodnię, nie było prawie wątpliwości, bo jeszcze przed zachodem słońca, widzieli niektórzy ludzie ze wsi, leżących kilku żołnierzy w téj stronie, pod białymi wojskowymi płaszczami; co sprawiło, że po miesiącu nie mógł ich rozróżnić od wydmów ruchomego piasku.

---

## II.

### BIAŁA NA PODLASIU.

#### Wspomnienia.

Według mnie, nie ma nic naturalniejszego nad chęć poznania i wyśledzenia historyi miejsc, które nas pod jakimkolwiek względem zajmują dzisiaj. Jest to, jak kiedy ukochanego przyjaciela staramy się wiedzieć przeszłość, żeby go znać pełniej, lepiej, żeby się wcielić w niego niejako. Gdyby każdy znajomych sobie okolic, starał się poznać szczegółowie choćby niebardzo odległą przeszłość, ale tę której szczątki tkwią w niej jeszcze, gdyby każdy spisywał dzieje takie, złożyłaby się wprędce zajmująca bardzo historia wewnętrznego życia kraju. Niepotrzebaby nie omijać, nic z niej usuwać, wszystko bez wyboru, co tylko pod najrozmaitszemi względami zająć może, mieścić w ten wielki skład, z którego póź-

niej nieraz surowszy nawet dziejów pisarz czerpaćby musiał. Tylko że jedni spożywają życie swoje, nie patrząc na to, co je poprzedziło, bez zastanowienia jaki między nimi a ich poprzednikami moralny zachodzi związek i następstwo; całkiem dniem dzisiejszym zajęci, nie poznają, że *dzisiaj* bez *wczoraj* jest bardzo krótkie, krótsze niż *dzisiaj* bez *jutra*, bo *wczoraj* jest naszą własnością i nikt go nam nie wydrze; a *jutro*? któż to wie?

Pozwólcie mi więc z przyzwoitą powagą prawić wam dzieje miasteczka, którego może dotąd i z imienia nieznaliście, o którego istnieniu nie wiecie; nie się nie dziwujcie jego i mojej pomieszanej tu historii, według mnie nawet historia starych butów mogłaby być nauczającą i użyteczną, cóż dopiero miasteczka i człowieka. Taki jest mój sposób myślenia w tym względzie, a że każdy swojego systematu koniecznym być musi exekutorem bądź co bądź, i ja także bez litości nad wami, bez strachu o siebie, zaczynam swoje.

Ach! w tej to Białej przeżyłem ja moje młode lata, w niej się moja dusza otworzyła na świat, tu poczułem raz pierwszy chętkę do pisania i raz pierwszy wziąłem pióro w rękę! Widzicie teraz dla czego tak kocham Białę i szanuję jej wspomnienie. Wy, którym moje nieustanne pisanie, może się już nieraz sprzykrzyło

(choć go nie czytało) nie wiele zapewne będziecie wdzięczni miasteczku; ale ja, ja je kocham ja je szanuję. Mimowolnie w starości czuje każdy przywiązanie jakieś czule do pierwszej kochanki (bodaż ta była służącą jego matki) tak ja do tego miejsca, w którym poznałem raz pierwszy rokosz wylania duszy na papier, czuję dotąd, coś naksztalt tego przywiązania. Plebania Bialska (pod względem powierchowności była oryginałem mojej plebanii w *Panu Wale*) *rym*, patrząc na nią ukradkiem z okna sali szkolnej, opisywałem ją na okładkach sexternu jeografii. Cały *Wielki Świat mego miasteczka*, osnuty jest później daleko, w kilkanaście lat, ale na tle wspomnień o Białej.

Biała jest to miasteczko na Podlasiu, położone na drodze między Brześciem Litewskim a Międzyrzeczem, niegdyś punkt graniczny między Polską a Litwą, a bodaj czy nie na wpół linią graniczną rozcięte. Leży ono wpośród riwnin, lasów i błót, ma ruiny zamku Radziwiłłów, kilka klasztorów, kilka kamienic (których teraz znacznie przybyło), wszystko co zwykle składa stare miasteczko, niegdyś rezydencyonalne możnej rodziny, potem wyglądające jak futerał od czegoś, pełen pajaków i pajęczyny, gdy ożywiający je dwór i dziedzic znikną.

Pięknie się jeszcze za moich czasów (1825, 1827) świecił w Białej zamek niegdyś obronny,

otoczony wałem, na którym rosły starą lipy, naszych przechadzek wieczornych i śpiewów wesółych świadki i słuchacze. Patrzaaliśmy w wyschłe fossy; dumaliśmy o zamczysku na którem jedno wejrzenie, dziś mi maluje całą jego przeszłość i dawniej jego mury podaniami domysłownemi, usłyszaniem, wydumanemi, zaprzętały głowę chciwą dziejów i wzruszeń, ciekawą powieści i łaknącą ich jak powszedniego chleba.

Ten zamek niegdyś obronny, te wały zarosłe lipami, a wśród nich, w ich wianku późniejszego życia już pałace, oficyny, kaplice, groty, malują i przypominają i wieki najazdów, wojen, niepokoїв, i wieki przemocy arystokracji tak nieszczęściem silnej w ostatnich czasach, która drąc się z sobą i ze szlachtą, dumnie brząkała o szablę, w niej tylko widząc Kodex prawa dla siebie; — aż póki i szabla i ręka co nią trzęsła nie upadły wproch nazawsze.

Cieniste, stare lipy wałów, ileżście to dziecinnego życia scen widziały, ileśmy to pod waszemi gałęziami bajek sobie napletli patrząc w te fossy, w których gdzieś niegdzie stęchła i zielona woda, odzywała się do nas głosem tysiąca żab, ostatnich dziedziców zamkowej okolicy, najgłośniej podobno i najdłużej pewnie panujących.

Wchód do zamku strzegła pięćdziesiąt dwu lokciowa wieża i brama ciemna, w której wiwatowe stare armaty jeszcze leżały bez nóg, spara-



liżowane i umarle, zapchane śmieciem i piaskiem. Z tej wieży dzwonił jeszcze ostatni co przeżył wszystkich w zamku — stary zegar, ale dzwonił nie dawnym panom swoim, nie weselu i dostatkom — dzwonił nad głową kajdaniarzy w wieży zamkniętych, dzwonił godziny nędzy, upodlenia, występku, rozpacz. Mój Boże, myślałem nieraz o tém, gdy godzinę uderzał zimno, równo, jednostajnie, tak jak za dawnych czasów bywało, myślałem jak się pod nim ten czas który on mierzył tak równo, odmienił. Dawniej wesela, uczyty, biesiady, albo pacierze pobożnej stariej xiężnej; dziś godziny więźniów, godziny stworzeń głupich i występnych. A wszystko jednakowo.

Szczęk łańcuchów tych ludzi, był dla mnie, pomnę, najstraszniejszym dźwiękiem — obawiałem się ich tak bardzo, nieśmiałem spojrzeć na nich, gdy przechodzili ulicą, uciekałem gdy mi zbliżających się usłyszałem.

Zamczyska dziedziniec pusty zarosły był zieleń, zamek pusty także, straszliwie pusty, bo wyjąwszy boczną oficynę, w której mieszkał ktoś jeszcze, wydając się tam jak jaskółka pod dachem, reszta murów była mieszkaniem duchów, bajek, sów, i wróbli. Sale stały ogromne, smutne, puste, zawałone potłuczonymi szklami okien; ledwie dawnego życia ślady pisały się po murach w otluczonych gipsach, w których lę-

gły się wróble, w malowanych naddrzwiach. Osobliwością zamku były dwa żebra wielkołuda (w istocie kości wieloryba o których niżej będzie) i kocioł duży, w którym jak nosło podanie, Radziwiłł któryś kąpał się w winie, a tym winem potem szlachtę sejmikową poił. Pańskie brudy tak jój jeszcze smakowały!!

Był tam i tradycyjalny zwierciadlany niegdyś pokój, w którym (wedle tych którzy wszystko do ostatecznych konsekwencji posuwają) miała być też i podłoga zwierciadłana. Zakrawałoby to jednak na facecyą z czasów Ludwika XV, której u nas trudno dać wiarę.

Na najwyższym piętrze zamku (ile zapamiętam) w murze był niewielki luft, który przez całą jego wysokość, aż do podziemnych schodził sklepień, i kończył się studnią. Rzucaliśmy tam kamienie i nastawiali ucha, jak długo obijając się o ściany, padały, padały coraz ciszej, aż pluśnęły w wodę. Były tam i ślady małego teatrzyku na górnym piętrze. W ogrodzie objętym wałami (przestrzeń którą one otaczały, była wielka) zarosłym dziczaleni drzewy, chwasty i kapustą dzisiejszych mieszkańców zamku, była grota z muszli i gipsatur, z której tylko to pamiętam, że w niej pierwszy raz widział krzyż S. Stanisława trzymany przez aniołów; musiało to być na wieczną pamiątkę kawalerstwa któregoś z ostatnich Radziwiłłów; — wróble na tym wiele

skorzystały, bo zdaje się że dla nich nie w świecie nie ma wygodniejszego na gniazda, nad połamanie a do muru przystające gipsatury. Była tam też wśród kapuścianych grządek fontanna bez wody, kaplica bez nabożeństwa i słupy bez parkanu, tak jak zamek bez panów i bez duszy. Jedna część zamczyska za moich się czasów obaliła w nocy, z ogromnym łoskotem — początek putrefakcyi tego trupa, którego godziny i lata wydziobią i pożrą jak krucy i sępy.

Mieszkałem u Rektora Prejssa niedaleko zamku, na przeciw farnego kościoła, w domu pompatycznie zwanym Akademią (była to dawniej colonia naukowa.) Naprzeciw okien stał murowany słup dawniej granica Litwy i Polski. W tym to domu na strychu, pierwszy raz rozmiłowałem się w starych xiążkach — i jakimże wypadkiem, tam leżących!!

Uczeni swego czasu professorowie (wyjmuję z ich liczby Adama Bartoszewicza, który pewnie o tém nie wiedział) otrzymawszy do biblioteki dar xiążek wielu starych, wybrali nowsze i lepiej oprawne, a resztę kazali wyrzucić na strych. Chodziłem tam postrzegłszy to i jakem się bawił przeglądając stare holcsztychy, usiłując zrozumieć co tam było napisano w niepojętych jeszcze dla mnie językach. Już wówczas jakiś węzeł sympatyi łączył mnie z xięgami, czulem na ich widok, to co czuje młodzieniec,

gdy ujrzy ~~przeznaczoną mi~~ od wieka — kochankę. Zdalo mi się, że gdzieś widział to wszystko, że znał, przypominał sobie, zdalo mi się że gdzieś, kiedyś te książki czytałem, że nie były mi obce, czułem że nie pierwszą już kocham je miłością. Goethe byłby powiedział z Lejbnitzem, że duchowna moja monada szlachetniejsza część mnie, wyszła świeżo z jakiegoś bibliofila, mnie się to zdaje i zdalo prostém tylko przeczuciem przyszłości, które brało na się postać wspomnienia.

Naprzeciw naszej Akademii stał jakem powiedział Kościół farny, nie stary jeszcze, ale czarny i posępny, bo brudny, wśród smętarza obmurowanego, otoczonego lipami, na którym jeden tylko kamień grobowy w tyle za kościołem leżał. Czytaliśmy go jeszcze z mchu odzierając, pamiętam że tam były wiersze polskie, że kamień pokrywał doktora czy aptekarza. W kościele żadnych pamiątek.

Ileż to tu odbyło się wesółych festów! biegaliśmy na roraty z papierowymi latarniami drząc od zimna i chuchając w skosniałe palce śpiewaliśmy *Gorzkie żale* po niedzielnych nieszporach; tuśmy stroili ołtarze na Boże Ciało, to święto tak wesole, w które trudno się modlić inaczej jak duszą, bo wszyscy tak strojni, bo dzień tak piękny, tak wesoly, tak zielony i kwiecisty! Ileż tu znowu widzieliśmy ślubów i wesel. Pa-

miętam jedno. — Szła para do ślubu, a z Kościoła szarym zmrokiem niesli trupa na mogiłki. Spotkało się wesele z pogrzebem w pół smętarza i poszło swoją drogą wesele, swoją drogą pogrzeb, łączyły w jedną, nadzieja w drugą stronę. Szeptali wszyscy o złej przepowiedni — mąż wkrótce potem umarł. I jak było nie wierzyć w tajemnicze przestrogi losu?

Od Fary szła droga szeroka, na lewo rzucając zamek, do klasztoru PP. Miłosierdzia, któren mi jest pamiętny nie jednym smacznym u panny starszej podwieczorkiem. W drugą stronę od Fary wiodła ulica do rynku, w prawo mniejsza, na której wiele mieszkało studentów ku Bernardynom i przedmieściowi Woli. Tu był szpital kościelny, na któren patrzałem nieraz z okien Akademii, ciekawie śledząc wypadki życia ubogich, którego nie pojmowałem spełna, wyobrażając je sobie poetyczną mieszaniną nędzy i dziwów. Tam dalej ku Woli, częstośmy po nad zarosłym trzcinami stawem chodzili na przechadzki. W lewo stał smutny, posępny jak życie mnisze klasztor i kościół Bernardynów. Idąc rynkiem w miasto, ku końcowi jego ukazywała się dziwaczna struktura kościoła xięży Bazylianów, którego architektem był sławny xiądz Szczurowski, fundator nowego zakonu upadłego podobno i asceta niepospolity. Jest jego drukowana Missya Bialska; a mimo tych wszystkich

dział niewatpliwa, że miał coś nakstałt pomie-  
szania. Dowodzi tego poczęści i architektura  
kościółła z mnóstwem galeryjek, galeryi, wschó-  
dów, nisz i t. d. Nad wielkim ołtarzem złożone  
ciało Błogosławionego Jozafata Kuncewicza.

W rynku miasta była apteka, kramy drewnia-  
ne, poczta, traktyer i t. d.

Mieszkałem u Rektora w starój owėj Akade-  
mii, o której wspomniałem. Dzień nasz schodził  
na nauce, zabawkach w ogrodzie, trzpiotaniu  
się, a nareście ukradkowych czytaniach xiążek  
już pożyczanych, już to tysiäcznemi sposoby fa-  
panych na drodze. W rekreacye chodziliśmy na  
spacery na wały zamkowe, do ogrodu Akademic-  
kiego, do Pohulanki na warszawskiej drodze,  
rysowaliśmy lub tysiäce czyniliśmy doświad-  
czeń fizycznie — chemicznych, do których Ga-  
bryelek dopomagał nam dostarczaniem ingre-  
dyencyi. Nieraz Bóg wie jakiego stuku i zapachu  
narobiliśmy naśladowując Wezuwiusz w garnusz-  
ku. A co tam były za ciekawe experjencye z fi-  
zyki xiądza Nolleta z machiną elektryczną i ele-  
ktroforem naszej fabryki!!

Ze wspomnień Białej, nic mi mocniej w pa-  
mięci nie zostało, nad częste miasteczka pożary.  
Raz pomnę, miasto zaczęło się palić w nocy, zbu-  
dził nas głucho odzywający się dzwon Bernar-  
dyński, porwaliliśmy się z łóżek i pobiegli patrzeć.  
Płomienie świeciły w rynku, czerwony dym pod-

www.libtool.com.cn  
 nosił się na czarném niebie i czerwono malowała się w oddali oświecona łuną facyata prosta kościoła Bernardynów, z której dzwonek ciągle bił trwogę powoli. Ludzie biegali, krzyczeli, płakali, inni stali ziewając i patrząc, inni wstawać z łóżek lenili się, dowiedziawszy się że pożar daleko, a wiatr w przeciwną stronę. Trwał pożar tak do rana, a zrana zaczęło się miasteczko palić w dwóch i trzech innych miejscach. Wiatr zapewne głównie poroznosił, lecz głucha wieść rozeszła się, że więźniowie z turmy zamkowej dobywszy się podpalają i będą rabować. Cóż to był za przestrach nas dzieci! — Drugie nie mniej przykre i pamiętne wrażenie zrobiła na mnie śmierć biednej kobiety, która nie wiem za co wzięta do turmy, z rozpaczny wlaźła na topolę nad stawem i z niej skoczywszy utopiła się. Prowadzono ją cicho, zakrytą, na wozie, widziałem tylko nogi, lecz historia została mi w pamięci.

Zapytacie mnie, dla czego to wszystko spisuję? Przepraszam, przepraszam, zagadałem się niechcący, lecz oto już zaraz i poważna historia nastąpi, chwilkę tylko jeszcze poczekajcie.

Radziwiłlowie, którzy tu mieli zamek rezydencyonalny, pamiętni są jeszcze w podaniach i powieściach gminu, które z ust do ust podawane, przetwarzane, na cudaki porosły. Mówiono że w lochach będących wewnątrz wałów, otaczających zamek, znajdowano kości okutych

w kajdany ludzi w wielkiej liczbie, dowody uciemiężenia, przemocy i ucisku, o które trudno posądzać Radziwiłłów. Lecz — może to tureccy jeńcy, może — występni, a może, może — może zresztą i jacy niepotrzebni xiążętom, zawadzający panowie ślachta. Jeden jakoby z tutejszych dziedziców (mówi podanie miejscowe) więził za coś ślachcica trzydzieści lat w lochach, aż ślachcicowi długa broda porosła i posiwiała nędzą i niewolą, bo wspominał zagrodę i żonę i dzieci; a wyrwać się nie mógł, a umrzeć nie potrafił.

Nareście przypomniał sobie pan i kazał go wypuścić i do siebie przywołać. Kazano ślachcicowi brodę przez uszanowanie dla xięcia ogolić; — niepozwoił na to, chciał ją mieć jako pamiątkę cierpień, z nią stanął przed panem, stary z młodego, zgrzybiały i drżący. Trzydzieści lat pańskiego życia nie tyle zużyły pana, ile trzydzieści lat więzienia zmęczyły ślachcica. Spójrzał na niego obrażony pan, któremu donieśli zauszniczy że brody nie chciał ogolić, przystąpił, wziął brodę w rękę, porządkował ją i rzekł: — Krótka jeszcze, nie będziesz miał się z czem pokazać.

I kazał go znowu wtrącić do lochów. Tak mówi podanie.

Inny, czy ten sam, bo w powieściach gminu nie ma imion i nazwisk, spotkawszy w drodze żyda, kazał mu wleźć na drzewo i kukać, a gdy



ten spełnił rozkaz, strzelił do niego i zabił jak ptaszka; toż samo opowiadają o Staroście Kaniowskim.

Drugi raz spotkawszy dziegciarza, zapłacił mu za beczkę smoły sownie i kazał ją wylać na ziemię. Gdy pan odjechał, biedny wyrobnik, jął powoli rozlaną zbierać znów smołę, ale dojrzawszy tego xiążę, wrócił i za chciwość okuciem w tęż samą beczkę ukarał.

Powiadają że w lecie do bliskiego pałacyku, rezydencyi letniej, gdy się któremu zachciało sennie, drogę solą wysypywano, aby mógł swęj fantazyi dogodzić. Szaleństwo godne Neronych czasów i śmiechu. Lecz któż policzy te gadki. Tylko jedna jeszcze.

W Nieświężu *Panie kochanku* utrzymywał jak wiadomo wojsko i artyleryę. Jednej nocy, budzi się po jakimś przestraszającym śnie zapewne, woła, krzyczy na ludzi. Zbiegają się kto żyw.

— Wojsko na koń, do broni! artyllerya za miasto! konia! konia!

Ubiera się xiążę, wszyscy spieszą do koni, pan Wojewoda także. Gdy siła zbrojna stanęła gotowa, wyciągają w porządku za miasto. Tu rozkaz dany, — ognia! Strzelają; — strzelają noc całą. Po kilku godzinach dowódzca zbliża się do xięcia z zapytaniem:

— Czy W. X. Mość jeszcze strzelać rozkazesz, nie widac nieprzyjaciela — nikogo, ludzi tylko straszym, a oto dzień już swita.

— Co? już nie ma nikogo! spytał xiąże.

— A ktoż to był? rzekł z cicha dowódzca.

— Chwała Bogu że uciekł — odpowiedział wzdychając Wojewoda. Alboż nie wiecie że ten łotr Celibuk, szatan o jednym oku atakował Nieśwież?

Wiadomo że Pan Wojewoda jak sam nieskończenie pozwalał sobie *polować* (wyraz techniczny) tak też lubił kłaniców i gadulów, którzy mu baje pletli. Jeden taki żart o wniś o gruby poszedł zakład z xięciem, że mu tak skłamię, iż xiąże uwierzyć nie zechce. Xiąże trzymał zakład, że wszystko uzna prawdą, co ten powie. Rozpoczął dworak opowiadanie najdziwaczniejsze, jako po sznurze kręconym z sieczki, łatając się urywanym od dołu, laził do nieba, jako tam widział, wiele dziwnych a osobliwych rzeczy. Xiąże śmiał się i potakiwał. Nareszcie ku końcowi bajki dodał ów dworak:

— Co mnie najbardziej tam zdziwiło, to żem spotkał prapradziada W. X. Mości, pasącego — świnie.

— Kłamstwo! kłamstwo! zakrzyczał xiąże, tego nigdy żaden Radziwiłł nie robił.

— W. X. M. przegrałeś zakład.

— No, no, z wami tak zawsze! Jeszcze mi obrzydził mego prapradziada!!

Przy zamku Bialskim był niegdyś wspaniały zwierzyniec, o którym Rzączyński *a)* wspomina, że w nim chowano sześćset danieli, niedźwiedzie, dziki, wilki i zajęce w osobnych dla nich poczynionych zagrodach.

Nie wiem czy nie w zamku także, w Białej, widział Rzączyński chowaną sławną potworę *b)* dziecię o dwóch głowach, która mu powód dała do zawiązania dysputy, czy to był jeden człowiek, czy dwóch ludzi. Odniósł rozwiązanie do serca, które, pisze, jeśli było podwójne, dwóch było ludzi, bo serce jest źródłem życia. Znać w tém Aristotelesowego ucznia. Tu także widział ten sam naturalista wielki krajowy onyx, misternie obrobiony *c)*.

Historyamiasteczka nie obfituje w fakta zajmujące, nie zaszły w niem żadne wypadki, nie stanowczego się nie stało dla kraju. Żył dla siebie i sobie. Nazwisko Białej bodaj żeby nie miało jakiego związku z nazwaniem owego hetmana litewskiego Jana Białego, po którego córce Kiszka wziął wszystkie majątności, a z nie-

*a)* H. N. 232.

*b)* H. Nat. Cur. p. 352.

*c)* Caput manulii Turcico cuttro apponendi.

mi i Białe, która do Kiszaków należała wprzód niż do Radziwiłłów. Jan Biały umarł około r. 1498 a).

Odziedziczyli Białę Radziwiłłowie dopiero po Janie Kiszce z Ciechanowca, kasztelanie wileńskim i wojewodzie brzeskim, sławnym w Polsce protektorze unitariuszów sekty. Tu nawet jego czasu w Białej była szkoła unitariuszów, w której katechistą i nauczycielem był Jan Falconius b). O odziedziczeniu tém Białej przez Radziwiłłów, tak podają niektórzy pisarze, lecz bodaj czy się nie mylą w dacie i okolicznościach, gdyż jencalogie okazują inaczej.

Jedna z najpierwszych Colonii naukowych, zaszczyconych szumnie tytułami akademii, była Bialska, filja krakowskiej matki, założona w r. 1628, do której professorów i mistrzów sprowadzono z Krakowa. Starowolski pisze, że się to stało za jego czasów c). Upadła jednak wkrótce Colonia, a podniesienie jej X. Fl. Jaroszewicz przypisuje X. Katarzynie z Sobieskich Radziwiłłowej. W r. 1726 z Synodu dowiadu-

a) *Niesiecki. T. II. 522.*

b) *Of. Biblioth. Antitrinitar. p. 54—82.*

c) *Starowol. Ed. Dant. 1652 p. 106* Biala ubi palatium ducum Radivillorum pulcherrimum est, et nunc Gymnasium publicum erutum, vocatis ex Acad. Cracov. Magistris et Professoribus in omnibus disciplinis peritis.

jemy się, że *Bialensis Colonia* (tak ją zwano,) mimo odmian, jakim naturalnie z czasem ulegać musiała, trwała jednakże. W r. 1726 czytamy w tymże Synodzie, że professorowie winni byli czynić wyznanie wiary przed biskupem, lub deputatem na to przez niego wysadzonym. Tenże Synod *a)* pisze, że tu był fundusz Radziwiłłowski na pewną liczbę ubogich uczniów *b)*.

Różnych czasów powstały tu kościoły. Najdawniejszy farny nie wiadomo przez kogo i kiedy początkowo założony. Odnowić go swym kosztem kazala, wieżami i ołtarzami ozdobiła, xiężna z Sobieskich Katarzyna Radziwiłłowa. Tamże xięże Karol Stanisław Radziwiłł wymurował kaplicę wspaniałą i nadał fundusz na kilku xięży z obligacją modlitw za dusze zmarłych swych przodków. Tekla Wołłowiczówna żona xięcia Alexandra Ludwika marszałka W. X. L. założyła przy tym kościele kaplicę Różańcową. Trzecią fundował X. Michał Radziwiłł, na ciało S. Wiktora męczennika, które tu, będąc do Rzymu legatem, sprowadził. On przyjmował tu w Białej Jana Kazimierza z senatem. Nie pa-

---

*a)* C. VIII de Scholis et juventute instruenda.

*b)* Et cum in Bialensi Colonia certns numerus juventutis studiosae, sumptu Coloniae alendae et sustentandae per Fundatores est definitus, ad eum conservandum perillustrem Directorem obligamus.

miętain żadnych tu nagrobków, pisze jednak Niesiecki, że się miał u Fary znajdować nagrobek Zofii de Czeberek Orzeszkowej Krzysztofa Piekarskiego Podkom. Brześcińskiego żony, zmarłej około 1640 r.

Za moich czasów wisały nad drzwiami kości znacznej wielkości, jakich pełno widuje się wszędzie, a które lud dobrodusznie kośćmi wielkoludów zowie. Takich kości nasz Rzeczyński *a)* wiele po wielu miejscach wspomina, w kościele katedralnym Krakowskim, w zamku Marienburskim rękę ogromną, w kościele S. Małgorzaty w Poznaniu ząb potężny, w Gnieźnie w kościele katedralnym, w Trzemesznie, w kościele S. Jana w Warszawie, we Lwowie u S. Jerzego, w Kaliszu, Piotrkowie, Koprywnicy, Gdańsku *b)*, w zamku Rynkówce w Prusiech, w aptece Oliwskiej, w Pelplin u Cystersów, zęby wielkości drugiego palca, podobny ząb znaleziono w Mariampolu w rozbitej skale; w Leżajsku u Franciszkanów, gdzie jeden zawieszony, a wiele innych odkopano. Zwykle wszędzie z tych szczątków przedpotopowych zwierząt lud układał bajeczki o olbrzymach.

Klasztor i kościół XX. Reformatów założony w r. 1671 pod tytułem P. Maryi Anielskiej przez

---

*a)* *H. N. C. p. 8.*

*b)* *Auct. p. 13.*

**X. Katarzynę z Sobieskich Radziwiłłową** (inni chcą *a)* **przez Michała Kazimierza** na Ołyce i Nieświeżu) i we wszelki opatrzoney porządek „według ubóstwa naszego, ale dosyć ozdobnie, pisze historyk zakonu *b)*. Poprawę fundacyi i uposażenie większe kościoła przyznają kazania pogrzebowe xiężnie Annie z Sanguszków Radziwiłłowej, która z Paryża sprowadziła do ołtarzy jednakowe ozdoby.

Kościół **XX. Bazylianów**, nie wiadomo kto początkowo fundował. Być to musiała przed XVII wiekiem stara cerkiew, do której się potem xięża Bazylianie przysiedli, w roku 1690 za fundacyą xięcia Karola Stanisława Radziwiłła approbowaną konstytucyą. W r. 1747 jeszcze kościół murowany nie był dokończony; pomagała do wzniesienia poczętych murów xiężna Anna z Sanguszków Radziwiłłowa. Miała nawet podobno postanowienie cały kościół zmurować swym kosztem, ale nie wiadomo z jakich przyczyn, do skutku to nie przyszło. Przyczyniał się do fabryki kościoła xiąże Karol Stanisław kanclerz W. L. mąż jej.

W tym kościele spoczywa ciało Błogosławionego Józafata Kuncewicza, kanonizowanego przez Urbana VIII. Leżało ono wprzód, nim

---

*a) Niesiecki. T. III. 837.*

*b) X. Fl. Jaroszewicz. Matka SS. f. 160.*

kościół wymurowano, w kaplicy Zamkowej *a*) do r. 1747 ~~w późniejszym czasie~~, od czasu jak je z Połocka, w czasie wojen z Rosyą przewieziono na Podlasie. „Będąc w Białej, (pisze X. Jaroszewicz, którego wyrazy pełne wiary pobożnej wypisuję) po odprawieniu przed nim Mszy S. otworzone było przez X. Generała Zakonu S. Bazylego, widziałem je memi oczyma, wonią wdzięczną i nadprzyrodzoną z niego wynikającą uczułem. Ciało bynajmniej i nos nawet nieskażone, ręka prawa (bo lewa słyszę jest w Połocku) tak wolna jak u żywego, da się podnosić, którą ucałowałem. Ubiór Biskupa cały jak nowy etc.” Zestawują to ciało z ołtarza w dzień Świętego na inny niżki, po prawej ręce w kościele, gdzie lud je czci i całuje relikwie. Jest powieść, o odkąszonym przez kogoś z całujących rękę, palcu z pierścieniem bogatym, i cudowném odkryciu kradzieży.

Oprócz opustoszałej dziś kaplicy zamkowej, jest tu jeszcze kaplica przy klasztorze Panien Miłosierdzia, założona przez tyle razy już wspomnianą Xżnę Katarzynę z Sobieskich Radziwiłłową, siostrę Jana i żonę Xięcia Michała Kazimierza Wdy Wileńskiego.

Anna z XX. Sanguszków Radziwiłłowa, wyjednała dla téj kaplicy odpust z Rzymu na dzień

---

*a) X. Flor. Jaroszewicz. Matka SS. f. 462.*



S. Karola; opatrywała ona klasztor, co lat trzy starała się o sprowadzenie siostr Panien z Francyi, pomnożyła fundusze, dała srebrą i apparaty kościelne. Za jój czasów było panien zakonnych sześć, a sześćdziesiąt sierot. Taż pobożna pani utrzymywała tu jeszcze szpital wdów, których jednym obowiązkiem było, modlić się u XXży Reformatów.

Ulubioną téj pani rezydencyą była Biała. a) Tu ona wnuki swoje chowała, jak przypominat im, po śmierci babki, na jój pogrzebie, X. Jan Teodor Werner. b)

— „Przypomnijcie sobie tylko jako przed trzema laty z wami się X. Teofilo i Katarzyno w Białej cieszyła J. O. Babusia wasza, jako u małego stolika z wami siedząc, potrawki krajała, talerzyki podawała, jak się z wami pieszcząc od radości nie raz łzami zalewała.“

Niezmierne jój pochwały w kazaniach na pogrzebowych obchodach mianych, rozrzucone, tak są przesadne, że z nich wyobrażenia prawie o charakterze jój wyciągnąć nie podobna. Taki to jest skutek przesady. Zakazała X. Anna pochwalnych mów na pogrzebie swoim, woli jój nie tylko że zadość nie uczyniono, lecz zgwałcono najdziwniejszą nadętością. Zacytuję tu

---

a) *Kazanie pogrzebowe. E. odur.*

b) *Kazanie w Uzie. d. 10 Sept. 1747.*

z tych mów pochwalnych, niektóre charakterystyczne szczegóły jej życia; mijając już początki jak zawsze cudowne, chorobę i uzdrowienie łaską i cudem Studzińskiego obrazu. Wychowywała się X. Anna u babki z Hlebwiczów Sapieżyniej Wdziniej wileńskiej, potem oddana do klasztoru Klarysek w Wilnie, do Wizytek w warszawie, przeszła z tamąd do PP. Sakramentek i wreszcie na dwór Maryi Kazimiry. Tu ją przyszły mąż poznał, to jest zdaleka zobaczył, bo uważmy jak ją za mąż wydano. „Gdy tandem powróciła do babki, pisze jej biograf, JW. Hetmanowej, przy której już w Stonimie, już w Wilnie rezydowała, w takiej karności i skromności ze wszelką subiekcją na wolą babki żyła, iż nie własną wolą nie poczyniała, żadnych sobie partyi nie obierała, żadnych inklinacji, affektu nie miała; w żadne się partykularne przyjaźni nie wdawała, lubo wielu godnych i znacznych nawijało się konkurentów. Ze nakoniec gdy już babka postanowiła wydać ją za J. O. Xiążęcia Im. Karola Stanisława Radziwiłła Kanclerza W. X. L. (słuchajcie przykładu, który z godnych ust, saméjże J. O. Pani słyszałem) — pewnego dnia soboty, każe jej babka i wszystkim dworu swego damom być nabożnemi do N. Panny, w cudownym w wileńskim obrazie w kościele S. Michała, i tam komunikować; co chętnie z partykularną dewocją Xiężniczka wykonała. Po południu

widzi Xieźniczka znacznie do wesela przygotowania, nie wie zaś o żadnej negocyacji małżeństwa (ani pod ten czas Xiaże Imość był przytomnym w Wilnie) w tym każe babka, ubierać Xieźniczkę do ślubu. Strwoży się na niespodzianą wieść Xieźniczka, ni o czém nie wiedząca, spyta skromnie, z zwykłym uszanowaniem dla babki. Z kim też to? każe brać ślub babka? Surowie za tę *ciekawość* strofowana od babki, tę tylko wzięta odpowiedź, iż podług staropolskiego zwyczaju, nie prędjéj aż u ołtarza zobaczy, komu ma ślubować. I tak się też stało. Bo gdy z wielką pompą i paradą z pałacu Sapieżyńskiego wprowadzono do kościoła, przed tymże Matki Najświętszej S. Michalskiej ołtarzem, i przed JW. Konstantym Brzostowskim Biskupem Wileńskim Oficjantem stanęła do ślubu, dopiero postrzegła JO. Xiecia Imści stawającego też do ślubu. Przetoż serdecznym westchnieniem Boskiej opatrności, oraz Matce Najświętszej opiekunce, głębokie oddała dzięki. “

Dodajmy do tego, że miała naówczas lat szesnaście xieźniczka. Serce się ściska, czytając o takim barbarzyństwie — lecz dla czegoż dawniej przymus taki w bardzo małej liczbie małżeństw ciągnął za sobą niezgodne i złe pożycie? Inny świat był trochę, inne wychowanie usposobiło do tego. Mężczyzna jako mężczyzna, kobieta jako kobieta, każdy i każda byli równi, nie

było serca jak dziś, było to po zwierzęcemu, ale dla rodziców wygodnie.

— Daję ci męża, mówiono córce — powinna była mężem jakiego dano kontentować się. Daję ci żonę, mówiono synowi, i syn padał do nóg, dziękował nie patrząc. Dzisiejsze czytelniczki zadrżą pewnie czytając o ślubie X. Anny.

Nie długo ona żyła z mężem, owdowiała mieszkała w Białej, gdzie tak wiele śladów swęj dobroczynności zostawiła. Oto jeszcze parę rysów z jęj życia. Bibliotekę swoję, którą dostatnią miała z heretyckich i gorszących xiąg oczyściła. Za przytomności natenczas X. Wernera, dość drogo w Hamburgu zapłaconą 100 talarów xięgę, *Clavicula Salomonis*, w kosztownej oprawie, jak skoro jęj powiedziano, że była czarnoxieżka, zaraz spalić kazała. — Na lat dwa przed śmiercią, gdy tenże X. Werner na Ś. Annę z rozkazu jęj miał mieć kazanie w Białej, zawołałszy go w wilją wieczorem do siebie, przykazała mu, aby z ambony nic o nięj z okoliczności tego dnia nie mówił, dodając:

— Świętą Annę chwalcie mój xiążę w kazaniu, a po kazaniu mnie grzesznicę świętym modlitwom proszę polecać.

Cała była oddana pobożności, dobroczynności, ubogim swoim i modlitwie. — „Widzieć było można nie raz na dziedzińcu obszernym zamkowym w Białej seciny ubogich żebraków.

którym ona jałmużną ręką swoją codziennie rozdawała, a ci ją nie inaczej tylko matką ubogich zwali, i za jej karętą tłumem chodzili.“

Chwaląc ją z życia, X. Werner Kanonik Łucki, tak opisuje dawne kobiece zatrudnienia, już za jego czasów zmienione. „Słyszycie — nad włóczką i krosieńkami lub przy kądzieli siedzieć, to to *fortia* białogłowskie, to dzieła ich odwagi, w rękę igła palasz, to kopja, zgola męztwo niewieście w rękę nie próżnujących. Bywały kiedyś staropolskiej cnoty panie nie tylko ślacheckiego, ale i xiążęcego Senatorskiego stanu, które przystojną robotą ręczną i włóczką się zabawiały — teraz nie moda. Palce im od wrzeciona drętwieją, igielki utrzymać nie mogą, głowa się im od kołowrotka zawraca, wszystka praca wpróżnowaniu, muskaniu, albo szukaniu się w zwierciadle jakby zginęły. Najczęściej u drugich zobaczysz miasto igły *piórko*. Tak one listkami po świecie latają, skrybentów chowają, Bóg wie jakie reskrypty w szkatule zamykają, w publiczne wtrącają się interessa.“

Dostojny kapłan w sam czas przymawiał kobietom, ich wdawanie się niepotrzebne w politykę, od panowania Jana Kazimierza, nabrały były do niej smaku, osobliwie panie wyższego towarzystwa.

Nie takie było życie X. Anny; która i skoń-

czyła pobożnie wymawiając słowa: — *Boże bądź miłościw.* [www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

Pogrzeb jój odbył się z niesłychanym prze-  
pychem. Z Białej, gdzie w r. 1746 d. 23 Grudnia  
umarła, ciało jój odprowadzał X. Kazimierz Gie-  
drojć Juraha S. I. T. do Nieswieża. Tu przy  
wielkim zgromadzeniu obywateli Litewskich i  
duchowieństwa ciągnęły się obrzędy pogrzebu  
od d. 10 Września do 16. a) z wspaniałością kró-  
lewską. Oprócz Biskupów, Xieży świeckich i  
t. p. wszyscy prawie Jezuici prowincyi Litew-  
skiej byli przytomni. Z niemi rachowano do  
kilkuset duchownych. Codziennie odmieniano  
i na nowo strojono w amblemata katafalk. A  
ileż to mów i kazań powiedziano, których nikt  
nie słuchał!

**J. I. Kraszewski.**

---

a) (r. 1747) *Wyszły Kazania pogrzebowe*, miane wów-  
czas w r. 1750 w Wil. w druk. Akad. S. 7 fol. z ryciną.

---

### III.

#### UŁAMEK Z POEMATU

*Smutna przygoda i śmierć żałościana nadobnej Wirginiej dziewicy Rzymskiej, ośmiorakiem rymem opisana przez Hieronima z Lipia Lipskiego roku Pańskiego 1652; znaleziony przez P. Samuela Nowoszyckiego przy oryginalnym, równie jak i ten ułamek dotąd nie drukowanym rękopisie tegoż autora, zawierającym w sobie obszerny poemat: **Wojna Chocińska.***

. . . . .

Ja przy niey stawam i z rodzonym wujem,  
Ociec za miłą bije się oyczyznę:  
Za nim swój dekret, nie za tym day szujem —  
Przebóg na jego respektuy siwiznę!  
Ey często za to skwapliwych żałujem —  
I ty skończywszy twoję roboczną,  
Którey już minął czas jak wiecie sami,  
Nie będziesz sędzią i zrównasz się z nami.

Do teyći przyszło śmiałości Jcilli?  
Odpowie na to Appiusz zażarty;  
I usiądziesz ty podle mnie po chwili,  
Sądząc o cudze sasiadów bękarty. —

Wiem jako pełna twoja łbica szpili,  
 W bunt to ufasz, boś w nie zdawna wtarty;  
 Ja com rzekł, tom rzekł, na mą siwą głowę,  
 Idź siepacz, weź tę z kupy białogłowę.

Już się okropni ruszają siepacze  
 Wynioszsy różgi i długie sickiery.  
 Tłum wszystko wzdycha, cicho, cicho płacze  
 Kiedy Jcilli „Nie dwadzieścia cztery,  
 Niech wszyscy waszy staną poziewacze  
 Chcący wykonać te twoje emiry.  
 Dopiero przez krew, przez trup i me rany,  
 Wydrzesz mi Api kleynot obiecany.

Zląkł się Appiusz bo był w małej kupie.  
 Nie dla ciebie to buntowniku pewnie  
 Czynię, co czynię; bo i potwym trupie  
 Wlecbym ją kazał jak po zgniłym drewnie,  
 Wirginiego w zastugi, w okupie,  
 A że tak płacze dzisiaj barzo rzewnie  
 Do jutra te to odkładam terminy,  
 Ty masz Jcilli z osobna rok inny.

Kto za nią ręczy że prawa dostoi?  
 Rzecz Numitor, i ja nie omylę;  
 Jeśli Wirgini poczuwa się w swoi  
 Prawdziwey córce, choć na krótką chwilę  
 Zbieży na sprawę; a to we łbie roi  
 Że niepodobna taką luźną milę.  
 Bo się to działo przed zachodem słońca  
 A mil dwiadzieścia ociec i obrońca.



Tak się rozeszli, a Jcilli lotem  
 Brata na rączym wysła batraku  
 Do Wirginiego, dając mu znać o tém.  
 Jakoż ten równy skrzydlastemu ptaku  
 Budzi w pułnocy pod płuciennym płotem,  
 Wstań, wsiaday oycze, rychło nieboraku,  
 Przetrzy sen z oczu, niech ci się nie drzymie,  
 To to się dzieje z twoją dziewczką w Rzymie!

Już w drodze, już był Wirgini za szanćem,  
 Kiedy Appiusz, lecz nie według czasu,  
 List do kolegów śle swoim posłańcem  
 Żeby mu w drogę żaden nie dał pasu.  
 A ten gdy Febus szedł na świat z kagańcem  
 Pod czas samego zbiegł tego hałasu;  
 Córkę nie zastał, bo ta lejąc rzewne  
 Łzy, obiegła znajome i krewne.

Targała włosy uboga dziewczyna  
 I na sromotną gładkość narzekała:  
 Taż będzie mojej obelgi przyczyna  
 Z kadem ja szczęsnych godzin wyglądała?  
 To mnie zabija, to jest moja wina!  
 Nie tweżem piersi wdzięczna matka ssala?  
 Pomnę cię przebóg rodzicielko złota,  
 Nieszczęsna dziewczka, nieszczęsna sierota!

Wszystkie tym tonem różnych niewiast mnóstwo  
 Nociły; już był pełen rynek ludu,  
 Gdy się to z ojcem uchwyci ubóstwo,  
 Dosyć patrzącym załości i cudu.  
 Na głowie płachta, wszystkie ochędóstwo,  
 I on z nocnego nie otarty trudu,

Ten jey na głowę, ona mu na stopy,  
Leje wrzących łez gorące ukropy.

Już czas na ratusz, gdzie w straszney posturze  
Siedzi Appiusz lepiej opatrzony,  
Żeby wczorayszey nie było nań burze  
Orszakiem krewnych i sług otoczony.  
Kazał siekiery wynosić ku górze;  
Tam Wirginiusz stanął utrapiony.  
A jako przy swej macierzy jagniątko  
Tuli się gdy wilk bierze niebożątko.

Tak oycowskiego nieodstąpi hoku,  
Mizerne dziewczę co się tylko ruszy  
Wzrok pełen płaczu trzyma wiego wzroku  
Ani wybladłych jagód nieosuszy;  
Wirgini czeka i w tym stoi kroku,  
Że mu niewinność jego dobrze tuszy:  
W koło ich liczna otoczy rodzina  
Kiedy on Koczot tak skargę poczyną:

Wielmożny sędzia! jakom prosił wczora,  
Abyś mnie moję niewolnicę własną  
Przysądził; w domu Wirginiego, która  
Do tych czas była, z moją krzywdą jasną,  
Niech dzisiejszego nieżyję wieczora  
Niech mi ostatnie dzisiaj zorze gasną,  
Iżem drzwi moich nieopatrzył klamki,  
Wykradły mi ją niecnotliwe mamki.

Cóż na te skargi odpowiesz Wirgini?  
Rzecz Appiusz, podobno nieboże  
Owa cię dawna przypowieść obwini:

Miey u kaźdych drzwi, w kaźdym oknie stróże.  
 Ani gospodarz ani gospodyni  
 Nie wiedzą co się w ich domu stać może:  
 Daleko prędzey i sam ni to powiesz  
 Swey się przygody od sąsiada dowiesz.

Mogła twa córka umrzec w leciech małych,  
 Jako to dzieciom zawsze przyzwoita:  
 A przez rostopność piastunek zuchwałych  
 Mogła być w dom twój podrzucona i ta.  
 Bez przyczyn bowiem i on poufałych  
 Pewnie że się jey przed sądem niechwyta;  
 Ja, jaki dekret napisałem wczora,  
 I dziś nie cofam nazad mego piora.

Słyszałeś kłatwy i jego przysięgi  
 A białogłowy tysiąc sztuk mistrzynię —  
 Żebym też moje gluzować miał sięgi  
 Jak żywo tego nigdy nierad czynię.  
 Wczoray tey dziewczki płacz mię ruszył tęgi  
 I twa niebytność, obie te przyczynie  
 Były, żem do dnia dzisiejszego kazał  
 Dekret odwołać, nie żebym go mazał.

Tu gniewem z żalem Wirginiusz opłonie:  
 Bóg zapłać za ten dekret panie sędzi,  
 Tedy niedawszy ucha drugiej stronie.  
 Takich wyroków dowieć twój nieszczędzi,  
 Które Jupiter pisze na swym łonie —  
 Ten moję krzywdę nie długo opędzi —  
 Słyszysz to Boże, przed którego twarzą  
 Zli aniołowie takich sędziów karzą.

Kędyż dowody? Kędyż stawiał świadki,  
 Że się to dziecię w jego progach legło?  
 Zły człek na moje stworzony upadki,  
 Bogday go wszelkie nieszczęście dosięgło!  
 Niebrałem nigdy córki mey w ukradki,  
 Jako z iey matką Niebo mnie rozprzęgło. —  
 Nie tobiem dziewczkę Appii poślubił  
 Boday cię i z nim Bóg pospołu zgubił!

Patrzay co czyniż i przeczytay sobie,  
 Co król Kambizes w Persyey urobił.  
 Miał też sędziego podobnego tobie,  
 Zdarszy mu skórę stolicę nią obił.  
 I syna na tey posadził ozdobie,  
 Żeby się w lepsze sądy przysposobił.  
 Znajdziem i w Rzymie taki kozik drugi,  
 Coś niewstydlawe zedrże z sęstwa rugi.

Rozjadł się jak pies Appiusz na stołku.  
 Nie uydą wam tu dziś wczoraysze bunty,  
 Jcilli z teściem jednaki pacholku,  
 Choćby mi płacić obu was na funty:  
 Ciśnie tablicę co miał na podółku,  
 Sądów-że moich chcecie wzruszyć grunty.  
 Nie da tego Bóg na siwiznę moję,  
 Idźcie siepacze; bierzcie wszystko troje.

Sunie się długie szeregi po za stołu,  
 Patrzy żalosnie Wirginiusz w strony,  
 Pełne ma serce żalu, pełne bolu,  
 Jeżeli kto przy nim stanie odważny  
 A widząc że nikt, krzyknie, proszę królu.  
 Niech w tym przynajmniej będę pocieszony,

Pozwól na ustęp i z nią wynisć mało,  
I pytać się mamki jako się to stało.

Niechay to z serca ciężki żał opłoknie —  
Pokorą wskórasz, ale gorą tyła,  
Odpowie tyran i sam stanie w oknie;  
Już mu się nisko Wirginiusz schyla  
A we łzach krwawych całém sercem moknie,  
Szedł wzięwszy córkę a z nią niewiast kila  
A skoro mijał już rzeźnicze jatki,  
Nieszczęsna rzecz dziewko swojej matki.

Brońmy czystości świętej jako możemy —  
I w lot porwawszy z ręku od rzeźnika  
Pchnie ją konczystym w miękkie piersi nożem.  
(Toż skoro go krew gorąca osika.)  
Nadzieja w wielkiem miłosierdziu Bożem,  
Na Appiusza co ma garła krzyka:  
Że ta krew przez twą wylana przyczynę  
Przeklętą twych żądź ugaśi wścieklinę.

Dzierż, goń, w ostatku na mą kopią zabić;  
Co z garła wrzeszczy tyran rozjedziony —  
I już go byli oskoczyli drabi  
Gdy i on pałasz wyjął naostrzony  
Zaraz go gonić poczynali słabi — (słabięj  
W ostatku srogim tłumem obtoczony  
Wyszedł, za brona, tam dosiadłszy koni  
W wielkim orszaku niebał się pogoni.

Krzyk zatym straszny po wszem wstanie miście —  
Co żywo bieży na to dziwowisko,

Appiusz, przecie, siedzi na sugęście,  
 Już mu rozpaczy, już szaleństwa blisko —  
 Gdy widzi oknem, bo tamtędy przecie,  
 Niosących ono ciało na ognisko,  
 Wuja z Jcillim, one łyż, krew ciała  
 Po całym rynku, po ulicach lalo. —

Rozje się znowu jak pies tedy rzecze,  
 Jeszcze mi się tu jak na złość przesusza,  
 Jeszcze mnie swym kłem jadowitym siecze,  
 Niosąc mi trupa około ratusza —  
 Przynajmniej mi ten malarz nieucieczce,  
 Niechay się tą krwią darmo nieojusza —  
 Przywiedźcie mi go, a jeśli się bronić  
 Będzie, łatwiej go zabić niżli gonić.

Zwykłym siepacze poszli animuszem —  
 Tam, kędy nowym zadumani cudem  
 Stał Horaciusz i z Waleryuszem  
 Między zebranyim pospolitym ludem.  
 Ci krzykną: długoż tyrana niesuszem —  
 Minał czas jako siedzi nad talmudem.  
 Do śmierci pewnie ten nasz wielkorządczy  
 Żeby panował, tych tablic nieskończy.

Tu za czuprynę ujawszy siepacza  
 Horati naprzód, a potym Walery;  
 Po same uszy w błocie go umacza,  
 Połamią różgi, potłuką siekiery;  
 Już i pospółstwo z bojaźni wystracza  
 Widzącej takie przy sobie kozery:  
 Bo, że w senacie siadali ci oba,  
 Znaczna ich była w tej cizbie osoba.

Widzi Appiusz i jeszcze się gniewa,  
 Ale i boiaźń już na sercu czuie:  
 Którey im sporzey nagły strach przylewa,  
 Tym chyżey i złość i gniew ustępuje,  
 Zwykłą to iednak postawą odziewa,  
 I ludzi przed się przez woźnych zwolnie:  
 Idzie co żywo na pochyłe wachody,  
 Ale Horati i Walery wprzód. —

Wszyscy stanęli: Ci dway iako z proce  
 Usiedli sobie wedle jego krzesła:  
 Także Appii oszalał szeroce,  
 Także daleko twa cię żądza zniesła?  
 Toś ty jeden pan a my wszyscy sroce  
 Padli z ogona? tegośmy rzemiesła  
 Ludzie, co i ty, darmo dzwigasz chwosty,

---

#### IV.

### SZTUKA DRAMATYCZNA I TEATR DZISIEJSZY W ANGLII.

---

#### **Szkoła sentymentalna. Szkoła metafizyczna. Szkoła archaiczna.**

(Sheridan Knowles — Robert Browning — Henryk Horne —  
Leigh Hunt — Edward Lytton Bulwer.)

W téj chwili, w Anglii, daje się czuć popęd ku sztuce dramatycznej, teatr zrzuca z siebie całun którym był pokryty i usiłuje powrócić do życia. Wyborny aktor Macready, człek z dowcipem i smakiem, stoi z E. Lytton Bulwerem, na czele téj reformy. Przy ich złączonym wpływie, znika zakulissowe zepsucie, a kilka dramatów w różny sposób godnych uwagi, ukazało się na scenie lub wyszło z pod prass. Zasłużyły one lub już otrzymały dobre przyjęcie u publiczności.

Z początkiem tego wieku, kilka usiłowań w tym samym celu ożywienia teatru, obudziły



uwagę: probowano wrócić do naiwnego dramatu XVI wieku; starano się utworzyć dramat obserwacyjny, analizy metafizycznój; naśladowano dramat grecki, prostoty i namiętności pełny. W tym ostatnim rodzaju Byron i Talfourd utworzyli odznaczające się dzieła. Naśladowanie dawnego teatru angielskiego natchnęło Milmanowi i Lamb zaledwie parę próbek godnych uwagi. Zupełnie zaś nie udała się Coleridgeowi i Szkotce Joannie Baillie próba podstawienia analizy myśli, w miejscu rozwijania charakterów.

*Dramat* jest to akcja przedewszystkiém. Nie potrzeba tu wywodu etymologicznego i mozolnych poszukiwań, aby udowodnić, że pierwiastek wyrazu *drama*, panuje jeszcze nad całą teorią sztuki, którą oznacza. Do dramatu nie potrzeba ludzi domających i płaczących, lecz działających tylko. Oda wyśpiewuje swój żal, filozofia rozmyśla. Najgwałtowniejsza i najsroźsza nawet czynność, zasadą jest dramatu; trzy ludy z charakteru swego pojęły to: Grecy, Hiszpanie i Francuzi. Dramat, zmieszany z pierwiastkiem lirycznym, ubrany w wyrazy ogniste i złociste, ozdobę poetyczną, prześiękły namiętnością, wzmocniony nauką charakterów ludzkich, wznosi się do cudownych utworów. Zostając przy suchym tylko swoim pierwiastku, wystarcza sobie i obchodzi się na-

wet bez wymowy, stylu i podobieństwa do prawdy. Najnędniejszy utwor grywany na teatrach bulewarów paryzkich, jest jeszcze skeletem dramatu; gdy nie jedna tragedia niemiecka i angielska, elegia lub dytyramb, nie jest właściwie dramatem. Nie powiadam ja, żeby należało dramat przerobić po prostu w widowisko ciekawe, jak to czynią teraz we Francyi; w widowisko będące zagadką dla umysłu, a złudzeniem dla oczu — byłoby to cechą upadku; lecz nawet taki dramat nie zaparł się swego charakterystycznego pierwiastku, którym jest *akcja*. Jest on ubogi, jest sztuczny; nie zostawi po sobie śladów w dziejach umysłu ludzkiego, potrzeba mu wyższych przymiotów. Ztém wszystkiem sądzić go można jako dramat i za dramat rachować.

Ze wszystkich kształtów, w które myśl ubierają, nie ma bardziej uderzającego, popularniejszego nad ten; możesz co bardziej zajmować ludzi, nad *czynności ludzkie*? Doszedłszy do pewnego stopnia ciekawości naiwnej, prostodusznej, do pewnego umysłowego ukształcenia, naród każdy tworzy sobie dramat. Czy ni to naówczas wedle instynktowego natchnienia. Wybiera on, co mu najlepiej do smaku przypada z igrzysk tego świata, złożonych z przeznaczenia i swobody, skutków wypadku i woli, różnaitości charakterów a jednostajnych na-

miętności. Walczym z przeznaczeniem, któremu musimy być posłuszni, walczym z namiętnością, której ulegamy i jesteśmy wielcy, podli, przedajni, niepewni siebie, odważni, tchórze, próżni i pyszni. Z tego nieskończonego wątku, naród nie wybiera przypadkowo losem. Namiętność i przeznaczenie składają dramat grecki, wypadki dziwaczne i zapal stanowią dramat kastyllski; francuzki chwyta pierwsze i drugie, miesząc z większą zręcznością niż odwagą. Filozofia experimentalna, zastanawiająca się nad różnaitością charakterów ludzkich, jest zasadą dramatu angielskiego, uosobionego w jednym człowieku — Shakspearze. Gdy raz pierwszy popęd ciekawości wielkiej ludu zaspokojony został; dramat wędnicze, rzuci się w naśladownictwa, szuka efektu i umiera powolnie. Grecya dramatyczna po Euripidesie, Anglia po Shakspearze, Hiszpania po Calderonie, gasną wśród nieplodnych usiłowań i prób licznych a bezskutecznych. Teatr exystuje, dramat znika.

Oddzielmy starannie historię dramatu, od historyi teatru. Póki tylko będzie iskra ciekawości w ludziach, będą miłować widowiska, nie opuszczą stopni amfiteatru i ciemnych łóż swoich, chciwi widoku chwilowego pomalowanego płótna, chciwi krzyków śmiertelnej walki, ciekawi krwi zabitego byka, poruszeń woj-

ska lub okretów. Jest to część sztuki dziecin-  
 na, która sztukę samą przeżyje. Zastępując ją  
 zagłusza. Ludzie wzruszający się prawdziwie  
 żalami Oresta, zjadłością Othella, hymnami  
 Konstancjusza i jękami Fedry, nie wiele się  
 troszczą o to, jeśli tam malowane są dekoracye i  
 wiele kosztowały stroje maszyny i przybory.  
 Wszystkie arcydzieła sztuki napisane były dla  
 najniedoskonalszych teatrów; wydoskonalenie  
 przedstawień teatralnych, nie zrodziło ani jed-  
 nego arcydzieła. W świetnej dla dramatu epo-  
 ce, widze człowieka chcą widzieć na scenie;  
 w chwili upadku (a chwila ta prędko nadcho-  
 dzi) żądają piór, mieczów, pik, stołów, ubio-  
 rów, widoków dalekich i dziwnych. Zmienia  
 się przedmiot ciekawości. Zajęcie które wzbu-  
 dzał człowiek, wzbudza dodatkowy przybór.  
 W każdej literaturze nadchodzi podobna zmia-  
 na; i gdyby nie to, dramat skończyłby zupełnie.  
 Pocą się nad przedstawieniem Clytemnestry  
 taką, jaką była w istocie, nad wynasładowa-  
 niem *peplum* i *togi*. Achilles i Agamemnon wy-  
 stępują w stroju, w jakim ich przedstawia dłu-  
 to snycerzy greckich; zdaje się reformatorom,  
 że temi ulepszeniami, zbliżyli się do celu praw-  
 dziwego sztuki — tymczasem oddalają się od  
 niego, poświęcając główne podrzędnemu, środ-  
 kom cel.

Któż nie wie, że cudne tragedye Corneilla,

grywane były przez aktorów źle ubranych, wśród natłoku możnych zachwalców, siedzących na scenie saméj i śmiejących się z aktorów? Nędzniej jeszcze, jeśli być może, przedstawiano dramata Calderona i Shakspeara. W nadzwyczajnych okolicznościach, dwie wielkie woskowe świece, ustawione z dwóch stron teatru, oświecały scenę hiszpańską. Zwyczajnie, na przedstawienie sztuki, obierano podworzec, wśród którego budowano rusztowanie, okna kraciaste służyły za łoża, balkony domów za parter, przedstawienie zaczynało się z południa, trwało do czwartéj. Tłum drapał się na dachy. W Anglii, za czasów Shakspeara, materyalne przybory teatru, nie wiele więcej warte były. Panowie rozciągnięni na kobiercach wyścielających scenę, bili się z parterem jabłkami i orzechami; dekoracye do *Macbetha* i *Henryka VIII*, składały się z galeryi z balkonem i zasłony, która rozwieszoną będąc w głębi, służyła wedle potrzeby i okoliczności, za górę, dzwonnice, wieżę, okno; także z machiny o trzech ścianach, składających trójkąt równoboczny, osadzonej na ruchomej osi, i ukazującej spektatorom, wedle poruszeń osi, to malowane drzewo, to drzwi domu, to ściany wnętrza; publiczność wiedziała już potem o co chodzi. W téj to nędznej kolebce urodziły się wszystkie dzieła Shakspeara, wszystkie sztuki Calderona i Corneilla. Com

wyżej powiedział o wpływie szkodliwym bogatych przyborów na sztukę, jest tak dalece prawdą niezaprzeczoną, że w tymże czasie lub blisko, *Mirama* kardynała Richelieu, i szkaradna włoska tragedia *Orbecchi*, przedstawiane były z niesłychaną wspaniałością. W miarę jak wspaniałość i wytworność przyborów wciskają się do teatru, właściwa sztuka ucieka. Tragedye Campistrona zdobią się tysiącem błyskotek, których *Cyd* nie miał. Sztuki Drydena potrzebują wspaniałych przyborów, których nie znalazł Shakspeare. To przejście od sztuki dramatycznej prawdziwej, do sztuki teatralnej, ukazuje się jasno za Karola II w Anglii, i za rejeneyi księcia d'Orleans, we Francyi. Amatorowie teatru sądzą, że nieskończenie wiele uczynili poprawując anachronizmy, odmieniając stroje, które starają się historycznemi zrobić. Samuel Pepys, wyborny postrzegacz obyczajów w Anglii, nie może się dość napogardzać barbarzyństwem dawnego Shakspearowego teatru; w porównaniu z pięknnością, wytworem, prawdopodobieństwem, złudzeniem, współczesnej sceny. — „Mamy przecie teraz, powiada, muzyków, mamy tancerki, mamy dekoracye, mamy stroje.”

Niestety! mamy to wszystko — lecz nie mamy już dramatu.

Dramat więcéj zależy od słuchaczów, niż

od sceny. Znika on gdy naród traci naiwną ciekawość, łatwo się zaspokajającą grą potężną charakterów i namiętności. Naówczas dramat czyni się sentymentalnym, przeradza w elegię, jak u Rowe i Otwaya, nabiera napuszoneści jak u Drydena i Younga; lub zamyka się w prostém rozplątaniu dziwaczного zdarzenia, w rozwiązaniu zagadki. Te rozmaite charaktery dramatu, wybitnie się odznaczają w dziejach teatru greckiego. Eschyles chwyta mytry, które przerabia na dramat, Sophocles stwarza teatr epiczny, Euripides skłania się ku elegii i mięsza wszystkie odcienia. Gani go i wyśmiewa z tego względu Aristophanes wielki krytyk swego czasu, ukazując Euripidesa wlokącego za sobą łańchmany, wzdychającego ciężko, sadzącego się na szumne maxymy. Po Euripidesie ukazuje się na chwilę teatr sztuczny, materyalny, wystawny i znika wkrótce. W Anglii, śród wojen domowych i rewolucyi, ten sam fenomen i to samo rozwinienie się ukazuje, pomimo za-  
wad jakie stawia naturalnemu chodowi dramatu organizacya towarzystwa na wpół purytańskiego. Za Jakuba I. religijne wyobrażenia, zaczynają działać na teatr. Kona on za Cromwella, odradza się za Karola II, swawolny, pełen pretensyi i drobnostek, w ciągu XVIII wieku więdnije i kona; przybiera dziwaczne kształty, z kolci mieszczański, płaczliwy; śmieszny i

swawolny, sadi się na wystawę sceniczną a traci wewnętrzna siłę, aż do czasu w którym blade próby Richarda Cumberland i komedye bezsilne Artura Murphy, zawalają trzy teatra Hay-Market, Covent-Garden i Drury-Lane. Dwóch znakomitych pisarzy, Goldsmith i Sheridan, walczą wesołością, dowcipem, trafniemi postrzeżeniami, przeciwko wpływowi filozoficznemu i sentymentalnemu, który silnie już działał na sztukę. Przykład ich nie pociąga za sobą; a gdy XIX wiek nadchodzi oznajmiony arcydziełami Godwina, Byrona, Walter-Scotta; teatr angielski nie może się jeszcze podźwignąć z upadku.

Tu ma miejsce trojakie usiłowanie, o którym mówiliśmy wyżej; *Massinger* i *Webster*, starają się odżywić teatr *archaizmami*, naśladowaniem dawnego; inni analizą filozoficzną czynności ludzkich, inni naśladowaniem Sophoclesa i Eschyla. Lord Byron, poeta namiętny i rozmyślający, oburza się na dramat wypadków Shakspeara i swobodne jego postrzeżenia nad charakterami. Pisze on cudne trajedye, które nie są wszakże zupełnie dramatami; wymowny egoizm poety całkiem je zalewa. Sardanapal, jest to Byron monarcha wschodu, Foscari, Byron jeszcze, Doża, Manfred, wszystko to są Byrony. Mimo jednostajnej energiczności tonu i barwy, dzieła te dramatyczne więcej są



nierównie warte, niż liczne naśladowania starego teatru, których początkiem było zamiłowanie Dekkera, Marlowe i Marstona, około r. 1800. Wyżej są także, od licznych dram metafizycznych szkoły Wordswortha i Coleridgea; dzieł dziwacznych, z których wyjąć potrzeba *Paracelsa* Roberta Browning.

*Paracelsus (Paracelsus, a drama)* tém godniejszy jest zastanowienia, że w Anglii prawie niepostrzeżony przeszedł; niepoznano się na nim. Rzadko się jednak trafia, żeby poeta wyszafował tyle myśli, patetyczności, tyle głębokich pomysłów, na utwor bez nadziei przyszłości, chociaż nie bez sił i wdzięku. Jako próba dramatyczna, jest to nic. Jednakże jako bardzo piękna analiza psychologiczna i moralna, ta książka zasługuje na uwagę, chociaż zaledwie urodzona, już zapomniana została, i utonęła w dySSERTacjach mglistej estetyki, w perifrazach rozwlekłego stylu.

Autor miał na celu, wyprowadzić na scenę wielkiego reformatora nauk, i zainteresować walką jego myśli. Dobrze wybrał *Paracelsa*, który uosabia pewną cywilizacyi epokę. My, dzieci XIX wieku, dziwim się dzisiejszym odmianom umysłowego świata; w początkach XVI, zaszły może dziwniejsze jeszcze, których terazniejsze są tylko dalszém rozwinięciem. Wówczas to ukazali się współcześnie Cardan, twór-

ca formuł jeometrycznych, Kopernik, który jak Jozue, rzeki słońcu — *Staż*. Kornelius Agrippa, który w r. 1510 dowodził tych samych prawd, jakie w r. 1750 Jan Jakób odświeżył; wręście Luther, Kalwin i Melanchton. Oni to, wzruszyli posady dawnych prawd. Nowy świat zaczął się na nowój poruszać osi. Trudno przebaczyć Voltairowi że się naśmiewał z Cardana i poniżał Lutra. Któż był ten Voltaire? który tylko uprawiał sceptycyzm; jak się mógł wydawać przy tych, co go pierwsi zasiedli w Europie? Najdziwaczniejszą z tych postaci XVI wieku był bez wątpienia Paracelsus, reformator medycyny, twórca chemii, nekroman, czarnoksiężnik, alchemik, szarletan; Paracelsus, który się chlubił wynalezieniem filozoficznego kamienia i kwadratury koła i zaręczał, że djabła nosił w rękojeści szpady. Pragnienie nauki, ciekawość poznawania, żądza sławy, popychały do szaleństw; gnały w podróże dalekie, narażały na śmieszności tę pełną ognia głowę. Był to Faust rzeczywisty, zamiast Mephistophelesa, słuchający swych namiętności i miłości własnej poszeptów, otoczony nieprzyjaciółmi, zazdrośnemi, wielbicielami; pełen pogardy ku całemu rodzajowi ludzkiemu, tak łatwo dającemu się uwodzić; rozjątrzony aż do szaleństwa niemożnością zbadania tajemnic życia; w oczach jednych anioł światłości, w oczach drugich, syn

piekieł, w oczach własnych, istota niekompletna i bezsilna; dla dziejów i przyszłości zagadka.

Piękność i trudność analizy takiego charakteru, uwiodły imaginacją Roberta Browning.

Dramat wewnętrzny, odgrywający się w duszy ludzi sławnych i wielkich, nabierający charakteru frenetycznej piękności u takiego człowieka jak Paracelsus, wpół-szałeńca, wpół-jeńiusza, wywarł na młodego poetę, którego umysł jest zagłębiający się i subtelny. wpływ niepokonany; usiłował on uczynić z tego dzieło właśnie przeciwne naturze swych myśli i charakterowi przedmiotu — dzieło dramatyczne. Nie ma dziwniejszej xiążeczki nad tę. Autor pochodzący wprost od Wordswortha co do dyssekcji metafizycznej myśli, od Goethego co do poezji plastycznej zewnętrznych przedmiotów, od Byrona w sceptycyzmie, sądził, że z tych, zresztą szacownych pierwiastków skleić potrafi dramat.

W pierwszym akcie, Paracelsus, oznajmuje swym przyjaciółom, że kosztem swojego szczęścia, idzie szukać nauki i sławy. W drugim akcie, po długich już podróżach, przekonywa się, że nauka nie jest wszystkiem, że ona zabija miłość, i że bez połączenia nauki z miłością, pojęcia świata i zamiłowania go, dusza ludzka więdnije i obumiera. W trzecim akcie wraca do Europy, naucza medycyny w Ba-

zylei, zyskuje sławę, powiększa jeszcze swoją wziętość oszukując i uwodząc ludzi, lecz razem upada na umyśle i uznaje nędzę, nikczemność posiadanych przez się trzech skarbów, trzech zwalisk, nauki niekompletniej, miłości bezsilnej, sławy zwodniczej. W czwartym akcie, zniża się ze swych wyniosłych natchnień

w rokoszach cielesnych szuka zapomnienia cierpień i nudów; na chwilę wraca spokojność znałwną wiarą i zaparciem się dawniej dumy;—kończy dramat śmierć Paracelsa w szpitalu Salzburskim. Cały ten dramat odegrywa cztery osoby; a raczej jest to monolog od dwóch tysięcy wierszy, przerywany kilką pytaniami przypadkowemi. Wychodzą w nim, Festus, człek prosty, przyjaciel prawdziwy; Michal jego żona; Aprilius młodzieniec piękny jak Apollo, symbol poezyi i sztuk, rzadko odzywający się i to tylko aby podbudzić Paracelsa do zagłębienia skalpeli we własnych myślach, do badania nieskończoności swych żądz, rozpaczy usiłowań i pogardy, jaką go natchnęło własne powodzenie a podziwienie tłumu. Otoż i wszystko. Nigdy jeszcze z takich pierwiastków nieprobowano złożyć dramatu. Żadnego ruchu, żadnego węzła, żadnej katastrofy; nie, prócz wymownej elegii, krętą drogą płynącej z życiem Paracelsa, jak słońce i chmury piętnującej światłem i cieniami wodospad wrzący Renu, i znów

rozlewającą się jak szerokie wód zwierciadło. Szczególniejsze ~~libto~~ **przeciwieństwem** przeciw sztuce dramatycznej, nie ma tu najmniejszej akcyi. Zewnętrzne rozwijanie się w wypadkach namiętności i charakterów ludzkich, tu nie ma miejsca. Natomiast widzimy myśl tylko zagłębiającą się w siebie, usiłującą się poznać, zbadać, pojąć.

Jest to ostateczny wypadek, kres nadużycia pierwiastku metafizycznego, do którego skłonni są wszyscy poeci północy. Przeciwném nadużyciem są znowu dzisiejsze wypadkowe dramata francuzkie, i owe awanturnicze a namiętne, które hiszpani tak ulubili i tak rozwinęli w XVII wieku. Shakspeare, skłania się, ale nie nadużywając, na stronę obserwacyi metafizycznych północy; Calderon przeciwnie poświęcając myśl akcyi i barwie, nachyla się w przeciwną, szukając tam najwyższej doskonałości dla sztuki. Nasz autor o którym mowa, znakomity jako poeta i filozof, nie jest całkiem dramaturgiem.

Bierzmy go więc jak jest, nie jak być żąda. Jako dzieło analizy filozoficznej jego pseudo-dramat wielki okazuje talent. Poezya obrazów, okrywa w nim trafne i głębokie myśli. *Manfred* i *Faust* nie powstydziliby się niektórych ustępów *Paracelsa*, zagłuszonych niepotrzebnemi rozwlekłościami i rozrzuconych według najgor-

szego planu. Za przykład przywiedziemy tu, spodkanie i rozmowę Paracelsa z Aprilusem, z których jeden jest symbolem nauki, drugi miłości, jeden chce przeniknąć wszystkie tajemnice widzialnego i niewidzialnego świata, drugi chce sobie miłością przyswoić wszystko piękne, i tworzy poezją, muzykę, sztuki.

— Kto ty jesteś? (pyta Aprilus Paracelsa) człowiecze nieznajomy i rozumny?

PARACELSUS.

Jam jest śmiertelny, żądający wszystko *poznać* — A ty?

APRILIUS.

Ja chciałbym *kochać* bez końca i być kochanym.

PARACELSUS.

Tyś niewolnik! jam twój pan!

APRILIUS.

Dobraś od Boga część dostał. Ideał za którym gonię ucieka przedemną. Żądze moje są nieograniczone, ogień którym płonę, pali mnie a nie nasycza. Ty uważny i cierpliwy, korzystasz ciągle, zbierasz bez ustanku. O! nie-szczęśliwym ja! nieszczęśliwy.

PARACELSUS.

Uspokój się! rozkazuję ci to w imie władzy, którą mam nad tobą. Chcę cię poznać, chcę wiedzieć czego żadasz?

APRILIUS.

Czyżem ci już niemówił? Jeden mam tylko cel, jedną żadzę: kochać. Wszystkie piękne kształty świata, chciałbym odtworzyć z marmuru, kamienia, bronzu. Ach! gdyby to było w mej mocy! gdybym mógł! nie by mojej sympatii

nie uszło; nymfa dusza tajemna stoletnich dębów, wspaniały długobrody starzec, młodzienc w swęj świeżęj piękności, olbrzym żylasty, kobięta słaba i wiotka, bielsza i zwinniejszą od łabędnia; wszystkie namiętności, wszystkie żądze, wszystkie myśli, brzydota nawet któręj wdziękiem jest energia, wszystko to chwycilbym i odtworzył w jednym wyrazie! O Boże! pozwól mi to stworzyć, tę piękność którą gonię nieszczęśliwą miłością, lasy, doliny, zwierciadła oceanu, jeziora połyskujące od wschodzącego słońca, labirynta z bronzu, piramidy z kamienia, miasta pełne ludu, poruszenia, namiętności, okrutcięstwa, żądę wzniesienia się, którą żyje serce i od któręj umiera! Kto mi da barw na odmalowanie tego wszystkiego, słów, żębym to opisał, dźwięków, które mi bym wydał poruszenia tajemnicze duszy ludzkiej i krązenie niepojęte planet! Nic nie chcę, tylko wyczerpać wszystko co na świecie i w życiu godnęm jest podziwienienia i miłości, aż do chwili, w któręj Bóg powoła mnie do siebie, Bóg który jest wieczną miłością. (Paracelsus wzdycha)

APRILIUS.

Westchnąłeś? Nie jesteś więc królem moim! Nieprzeszedłeś przez próby, które ja przebyłem, nieucierpiałeś com ucierpiał.

PARACELsus.

Mów dalej.

APRILIUS.

Tys, jak ja nie wpatrywał się aż do oślepienia w słońce ideału. Szukałeś przyczyn rzeczy, a nie sympatyi i miłości w stworzeniu Bożęm. Mówią że skelety są wszędzie w kwiatach, w drzewach, w gwiazdach nawet które świecą nad nami. Tys szukał skeletów? Jesteśże teraz szczęśliwszy?

PARACELSUS.

Nie.

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

APRILIUS.

Pracujesz nad opustoszeniem świata, ja go zaludniam. Ludzie, ich prawa i zwyczaje są dla mnie wyspą bezludną. Jak mogę buduję na niej pałac dla siebie. Rzeczywistość jest pospolitą, brudną, zmieniam ją. Muszle zbierane na brzegu morza są dla mnie dyamentami, gałęzie drzew arkadami pałacu, plecione sitowie zastępuje purpurowe ko-bierce, sługą moją jest wyobraźnia, bogata wróżka która spełnia wszystkie moje żądania. Żyję miłością wszystkiego, sympatyą bez granic. W sercu wieśniaka, pastuszka, odkrywam myśl, mogącą być pierwiastkiem poezyi; najpospolitsza rzecz w świecie, uschła gałąź spadająca w jaskinię mojej poezyi, ubiera się w kryształy jaśniejące. Mistrzu dumny, maszże ty tę władzę? Doznałeś kiedy tego upojenia? Chwyciła cię kiedy rozpacz gdyś się napróżno za pięknnością uganiał, tysiące mar i widziadeł ulatywały li przed tobą, wiodąc cię nad brzeg przepaści? Pojąłeś ty niedostateczność dźwięków na odmalowanie głosu duszy, niedostateczność farb i kształtów, rytmu i wyrazów? Doznałeś ty, że im więcej myśl się wznosi i wzrasta, tém wyrazy słabsze są i bezsilniejsze? Powiedz, panie?

PARACELSUS.

Żąda *poznania* świata, nie da się także nasycić! Człek jest tylko prochem!

APRILIUS.

Placzesz! ty! Iza w twych oczach mistrzu! Królu?

PARACELSUS.

Obaśmy nędzni. Ucz się *poznawać*, a mnie niech Bóg dozwoli *kochać*. Niech przebaczy nam obudwum, istotom



dumnym i bezsilnym! Marzyliśmy *Aprilus*, a teraz się budzim. Jesteśmy podróżni-przentesieni w świat czarodziejski, i nagle wracający do domu. Znać na nas blizny podróży, lecz przynieśliśmy także na ręku złote i perłowe ozdoby tamtego świata. Szukałem *nauki*, jak ty szukałeś *miłości* — obo byliśmy ślepi. Miłość jest niczem bez nauki, niczem nauka bez miłości. Zostały jednak przy nas zdobycze, ja mam władzę, ty piękność. Niestety! budzim się wszakże i obu nas czeka pokuta.

APRILIUS.

Widzę teraz — Bóg jest całą poezją!

PARACELsus.

Bóg jest doskonałą nauką. W nim łączą się dwie rozbite połowy ideału. Myśmy słabi i szaleni, myśmy słabi śmiertelni! Chcieliśmy dojść doskonałości, łamiąc ją na dwoje. Ukarani jesteśmy.

Nie potrzeba Komentarza na okazanie, ile w tej scenie jest piękności, jaka głębokość myśli. Paracelsus, uosabiający żądzę poznania nauki w początku XVI wieku, to jest całą epokę w której umysł ludzki odmłodził i jak wąż starą z siebie zrzucił skórę, dla filozofa jest nieskończenie ciekawą postacią. Jest to rewolucjonista umysłowy, widzi samą przyszłość, wierzy tylko w nowonarodzone nadzieje, ożywiające rodzaj ludzki. Chce poznać, nie przeszłość, którą odrzuca, lecz co jest i co będzie.

Chce *poznać*, nie *xiążki*, nie naukę właściwą, lecz terazniejszość, przyszłość, essencją rzeczy. Za nic dla niego wiadomości nabyte przez daw-

ne ludy, w dawnych czasach, za nic maxymy i odkrycia mędrców starożytności.

„Prawda, (powiada w poemacie) nie jestże w nas? W każdym z nas jest punkt środkowy, w którym prawda leży w całej swjej rozciągłości. Dokoła wznoszą się mury zasłaniające ją, zakrywające, ciało i pożar zmysłów; ukrywa przed nami czysty płomień prawdy. *Poznać*, jest to oswobodzić prawdę z téj niewoli, jest to otworzyć temu promieniowi ukrytemu w nas, utajonemu, aby na świat błysnął.“

Paracelsus więc nic przyjętego nie przyjmuje, pełen odwagi i wiary w siebie, awanturnik, gardząc nauką przyrodzenia opartą na doświadczeniu i dawną filozofią, wybiera się w podróż po świecie, aby własną pracą oswobodzić zakutą prawdę. Im dalej idzie, tym pragnienie wiedzy powiększa się i drażni, im więcej pije, tém szalenięj pragnie. Paracelsus śmieje się z uwielbiających go ludzi, śmieje się gdy za oszukaństwo płacą mu zapalem, lituje się nad własną nędzną sławą i nad szkołą swoją:

— „Widziałeś dziś rano, (mówi do Festusa przyjaciela) jak tłum cisnął się do Katedry. Oh! nie wielki to cud zyskać ich oklaski i poruszyć serca! Zasady mojej nauki proste — niszczyć i przeczyć. Lecz ilekroć zaprzeczy kto temu, co tłum i wieki przyjęły, lud staje z otwartymi usty, bez oddechu, z osłupiałem okiem, z najeżonemi włosami, czekając piorunu, który ma skruszyć wielbione bałwany. Policzmy moich wielbicieli! zobaczmy! Naprzód ci któ-

rych wiedzie ku mnie ciekawość, zadziwienie, nowość, nie więcej; liczna klasa głupców domagających się cudów — wcale im nie odmawiam. Po nich idą licznym orszakiem ci, którzy nienawidzą instytucje dzisiejsze i ustanowione szkoły, zawsze gotowi pomagać wywracającemu porządek, a gdy zwycięży i chorągiew swój nauki wywiesi, za chwilę obróca się przeciw niemu. Do tego dodaj tłum obojętnych, korzystających z okoliczności, chytrych, którzy nadto są zręczni, żeby się biegowi opinii przeciwieć niemi, pochlebców wytrawnych, którzy pieścić będą i wynosić mój system, póki go dziwacznym rozwinięciem i tłumaczeniem nie zabiją.

Na co zwiększać jeszcze to wyliczenie? Wszyscy ci ludzie mają swój interes służąc mi, mało im chodzi o prawdę. Zostanie może dwunastu lub piętnastu biedaków, szczerze kochających naukę, wierzących w siłę prawdy, ci tylko godni są mojej sympatii, dla nich warto pracować; nie mówmy o nich! „

Otóż jak reformator ceni tych, którzy go uwielbiają. Nie lepiej sądzi sam o sobie ten rewolucjonista i nowator. Nie doszedł celu, do którego dążył, nie odkrył wielkiej tajemnicy życia i świata. Wieńcem, jego nagrodą, jest pozyskana sława, on nią gardzi. Cień tej sławy przstrasza go, wzbudza w nim politowanie.

— „Wiem to (powiada) wyprzedziłem mój wiek. Jestem jedną z tych fali, które biją o brzegi, daleko wprzód nim całe morze na nie się wyleje. Wiem co mnie czeka. Będą zapierając się mnie, korzystać z mych myśli, po trupie moim wstąpią wyżej, depreczając mnie. Z dumy, z próżno-

ści, jam nie nie chcia! być winien przodkom, ludzie także nie zechcą być mi nie winni. Niszczyłem, zniszczony zostanę — to słuszną. Wzniosłem rusztowanie, na które się drapać będą, aby dojrzeć dalekie kraje nauki. Co mię to obchodzi? Jam spełnił przeznaczenie moje, Bóg niech dokona reszty. “

W końcu przekonawszy się o nicości nauk i sławy, Paracelsus szuka zadowolenienia w roszkoszy; zatapia się w zmysłowości, a wzamian za tę nową próbę, darzą go ludzie pogardą, płacąc mu nią dawną jego dumę. Gdy chory, umierający już w szpitalu Salzburskim, kończy miernie życie, staje przy nim znowu Festus przyjaciel od serca, prosty, szczery, który go nigdy nie opuścił; autor w tém miejscu nagle zbliża się do dramatycznego efektu, bardzo prostym dosięgając go sposobem.

PARACELsus *na toż śmierci.*

Mów do mnie, niech twój głos usłyszę! Zaśpiewaj mi jaką starą balladę. Nie chcę marzyć, nie chcę wspominać przeszłości!! Mów do mnie.

FESTUS *spiewa.*

„Men piękna to rzeka, wody jego wolno płyną przez doliny, przez łąki, a płynąc szczerzą najśłodsze miodziki. Płynie, płynie leniwy a słońce mu świeci, płynie pomurawie, po sitowiaach, po pierwiosnkach; czasem pszczołka brzęcząc wody jego muśnie, rybitwy nad nim lecą i końce białych skrzydeł maczają; a gdy na dzwonnicy wiejskiej uderzy południe . . . .

PARACELsus.

O! serce moje, serce ścisnięte wolniej bije, gdy słyszę

tę piosnkę mego dalecinstwa; znikają ciemności, czarny wąż który mi duszę oplatał - rozwija się i ucieka. Ach! Festusie! oddychało! poznaję cię, to ty! „

Potém Festus pociesza przyjaciela, którego skonanie zajaśniało promieniem wyższych nadziei.

„ Wyższy duchu, (mówi Festus) mistrzu, stwórcy, wynalazco, ci co sztydził z twego burzliwego życia. naśmiewać się będą z Etny, gdy wrą jej wnętrzości. Ja poznałem ciebie, ja cię pojąłem, i zostałem ci wierny. Widziałem cię gdyś powstał i jał się walki, widzę cię teraz konającym. Wszehmocny Boże! sądz mnie jak jego osądzisz! Gdybyś mnie był silnym stworzył jak jego, byłbym jak on upadł, stał się wola twoja, ja z nim, ja za nim jestem!! Boże! razem stajem przed tobą, ukarż nas razem, lub nagrodź obudwóch!

*Paracelsus* jak widziemy, jest dziełem człowieka głęboko myślącego; zarzucić mu można jednakże rozwlekłość, brak jedności, nie dość wybitny rysunek szczegółów, a nadewszystko że dramatem jest tylko z tytułu. Pierwiastek dramatyczny wybitniój nieco ukazuje się w dwóch dziełach Roberta Henryka Horne pod tytułem: *Śmierć Krzysztofa Marlowe*, i *Kosmus Medicis*. Ale i tu więcej jest postrzeżeń, uwag, niż akcyi; tak że ów główny poezyi północnych ludów charakter, zabija i przeważa interest dramatyczny. W pierwszej sztuce jest to rozwiązanie życia poezy, który w najpodlejszych rokoszach szuka nagrody za swe cierpienia i upokorzenia które

od ludzi znosi, i w drugiej ojciec i xiaże ubiegający się za najsurowszą sprawiedliwością, spotyka wszędzie niesprawiedliwość: to są główne myśli tych dwóch dzieł, z których pierwsze jest elegią, a drugie prawie epepeją. W jedném i drugim brak zupełnie efektu scenicznego. Mniej go jeszcze w sztuce pod tytułem: *Nina Sforza*, przez Richarda Zouch Troughton.

Lecz najwięcej w trzech ostatnich dziełach Sheridana Knowles, pod tytułem: *Mitość, Zona, i Cóрка*. Knowles dramatyzuje i dyaloguje zręcznie powiastki dość interessujące. Ale do czego się zdały te charaktery wytarte? Jaką mogą mieć wartość niemające żadnego prawdopodobieństwa romanse? jak wreszcie wytłumaczyć i usprawiedliwić tę barwę jednostajnie sentymentalną, którą pociągnięto wszystkie osoby dramatów (nakształt glaserunku pokrywającego obraz) a nie malującą ani natury, ani namiętności, ani myśli? Pomimo tego błędu, Sheridan Knowles autor i aktor, jest najświetniejszym reprezentantem tej szkoły sentymentalnej, która długo zalewała teatr angielski, razem z komedią rozwiązał. Sheridan Knowles pojmuje dramat w proporcjach najpospolitszych, jak ten biedny Otway, ciekawa postać dla postrzegacza, pijak w życiu przywatném, patetyczny w swych dziełach, talent jednostronny; twórca jednego tylko

znakomitego dzieła; któremu (*Venise preservée*) wyższej wartości odmówić nie można.

Prawdziwe życie ludzkie, życie całe, nie z samych tylko łez się składa. Pisarz, źle tłumaczy dzieło Boskie, gdy chcąc je odtworzyć, ogółając go z należnych mu radości spokoju, energicznych popędów, ze wszystkiego co nie jest jękiem i skargą. Wolno mu szukać na świecie surowej strony życia lub śmieszności; wydatnych charakterów komicznych i rysunku towarzystwa: jak czynił Moliere; dla niego także otwarte szerokie pole uczuć wzniosłych, delikatnych, tajemnice powinowactwa dusz i myśli, które malował Racine. Każdy mistrz obiera sobie szczególne stanowisko. Sfera czystych łez i jęków, została udziałem Otwaya, Kotzebue i La Chaussée: bo nią wyższe talenta pogardziły. Coż bardziej nad to może być niewieściem i enerwującym? Jacyż to bohaterowie, którzy tylko jęczą nad swoim losem? Corneille, stwarzając swych ludzi z brązu i granitu, których wyraz każdy przeszywa serce jak ostrze stalowe, przynajmniej wywyższył, wyidealizował naturę ludzką. *Cyd, Polienkt*, podnoszą człowieka, wystawiają go wielkim. Czujęm się dumni, żeśmy ludzie jak oni, wstyd nam takich braci jak Meinau bezustanku lamentujący. Jaffier który płacząc zabija i wszyscy ci śmiertelni nieszczęśliwi, przestępcy, mocno nudni i śmieszni, których

poeta używa jak łzawnic. Nie znajdziesz takiej słabości, takiego poniżenia w dziełach wielkich geniuszów, Sophoklesa, Shakspeara, Aristophana, Moliera, Racina. Daje się to dopiero postrzegać w pisarzach z czasów upadku, u Euripidesa, Voltaira, Fletchera i Beaumont; z upadkiem sztuki, lzy zalewają scenę i płyną wielką rzeką w dziełach la Chaussée, Sheridana Knowles, Fenouillot de Falbaire, w prozie Kotzebuego a nawet Diderota. Mniej mam za złe Voltairowi rozsypane po jego tragediach filozoficzne maxymy; więcej mi się zdaje dziwną sentymentalność fałszywa *Alziry*, *Adelaidy Dugueselin*, a nawet *Toucreda*. Najwięcej to jednak za jego czasów chwalono; a poczwarną *Melanię* La Harpa, jedynym przymiotem, jest ta wada.

Spójrzmy jak w Angli, przyszło do tego dramatycznego wycieńczenia. Latwo jego postępy policzymy od Shakspeara do Sheridana Knowles. Silni dramaturgowie współcześni Shakspearowi, nie byli zarażeni sentymentalnością; mają oni sobie właściwe wady, ale ta o której mowa, jeszcze się nie urodziła. Shakspeare lubi grę wyrazów, Lilly pełen jest pedanteryi, Ben Jonson nudzi drobnostkami, Webster jest zbyt zapalczywy, Marlowe brutal, Marston plami się cynizmem, Dekker rozwlekłością, Massinger pełen paradoxów. Przed Fletcherem i Beaumont, bohaterowie płaczą, ale bardzo umiarkowanie.



Pierwsi Fletcher i Beaumont otwierają tę nową żyłę sztuki dramatycznej. Z każdej sytuacji, nie biorą co w niej jest silnego, głębokiego, delikatnego, ale wyszukują żałośliwego, melancholicznego, elegijnego, rozczulającego i przykrego. Coby mieli duszę ludzką hartować, to ją osłabiają i miękczą. Pełni patetyczności; wymówniejsi są i więcej łez wycisną niż Shakspeare, ale za to, jak też są jednostajni, jak nie filozoficzni, jak z prawdą niezgodni. Ten rzut oka surowy, którym Shakspeare na świat spogląda, nie jest ich udziałem. Przyznaję im płodność, łatwość wynalezienia, pewien wdzięk, giętkość, żywą i płynną wymowę, koloryt stylu cudny, ale myślą i gruntem rzeczy grzeszą. Podobni są zupełnie swoim wielbicielom.

Po wstąpieniu na tron Karola II, naród znudzony wojny domowemi, z duszą bezsilną, wyniszczoną, zepsutą a rozdrażnioną gorączkowie, przeniósł dramata tych autorów, nad dzieła Shakspeara. *King and No-King* (Król nie-Król) *the Maiden-Queen* (Dziewczyzna-Królowa) grywane były co dzień, przyjmowane oklaskami powszechnemi, gdy *Macbeth* i *Othello*, przerabiane przez pisarków bez talentu, ledwie się na scenie ukazywały. Posłuchajmy tego samego Pepys o którym już raz była mowa, on pisze: „Mało jest sztuk tak miernych jak *Macbeth*, w całej sztuce nie wiem czy się znajdują trzy wiersze, któ-

rehy warte były *the Maiden-Queen*, Fletchera.“  
 A jednak u Fletchera i jego współpracownika  
 co jest zasadą wszystkich dramatów? położenia  
 do prawdy niepodobne, wyrodzone z występ-  
 ków niesłychanych; rodzące cierpienia nieo-  
 graniczone, wychodzące z granic wszelkiego do  
 socyalnego życia podobieństwa; o to osnowa po-  
 spolita wszystkich ich utworów. Do tego Dry-  
 den dodaje jak najwięcej amfazy, stylu wyszu-  
 kanego i zwrótów naśladowanych z P. Scuderi i  
 la Calprenède. Wkrótce po Drydenie, zmieniła  
 się scena polityczna za panowania Wilhelma III,  
 i cnoty życia pospolitego wysoko ceniono być  
 poczęły: dramat także szczególniej doznał zmia-  
 ny, przy wszystkich swoich wadach (kształcąc  
 się na wzór towarzystwa ówczesnego) zyskał na  
 nadanej im barwie pewnej moralności i skrom-  
 ności. Purytanizm mieszczański nowo nabyty  
 przeszedł do teatru, łącząc się i zlewając z pa-  
 tetycznością wymuszoną i natchnieniem Izawém  
 Fletchera i Beaumonta.

Urodziła się z tego małżeństwa szczególna  
 tragedia, która odznacza się głównie, iż poto-  
 kami łzy wyciska, nie już na marmurowe po-  
 sadzki i w złote czasy jak u Fletchera; lecz  
 na gołą ziemię i nędzne barłogi poddaszy. Lil-  
 lo, Southerne, Otway, Row i Congreve pisali  
 wszyscy w tym rodzaju, w którym arcydzie-  
 łem jedynem jest *Wenecya ocalona* (*Venise pre-*

*served*). Opisanie przedaży sprzętów z publicznego targu, bardzo zwięźnie wrzucone w dyalog sztuki, jest jednem z miejsc najpatetyczniejszych dramatu, którego ganim myśl nie exekucją, ducha nie szczegóły. Patetyczność, pierwiastek stanowczy i konieczny w tragedyi, nie powinien, wedle nas, zalewać jej całkowicie; jak gdyby człowiek nie miał już ani charakteru, ani namiętności, ani siły, ani ducha, ani entuzjazmu, ani sposobów ratowania się, ani działalności, ani wrzających myśli, ani nic prócz łez tylko i zdania się na losy.

Ci bohaterowie modlący się, płaczący, klękający, bijący się w piersi, wyjący z bólu od początku do końca sztuki, mają to do siebie, że daleko przed czwartym aktem zużywają zupełnie interes, wyczerpują wszystko. Wpływ ich nareście moralny jest najgorszy. Źródła bowiem boleści są dość ograniczone w pospolitem życiu; a dla płodzenia sztuk tego rodzaju i urozmaicenia ich, wynajdują nadzwyczajne zbrodnie, sytuacje niesłychane, które do reszty gubią sztukę, spodlając ją. Tak na przykład w jednej dziwacznej i okropnej tragedyi Otwaya, osnową jest podwójne kazirodztwo, a rozwiązaniem pięć morderstw.

Sheridan Knowles odziedziczył po tych pisarzach i wszystkie ich przejął przymioty. Człowiek z talentem, obłąkany powadzeniem, przy-

kładem zwodniczym i pochwałami przedwcześnie, nadto w początkach odebrał oklasków. Pierwsze zwycięstwo popędziło go drogą, na której raz otrzymał Europejskie oklaski.

Podziwiano się, w dwóch znakomitych jego tragediach, *Virginus* i *Appius*, scenom życia prywatnego, naturalnej patetyczności, szczęśliwym obrazom życia pospolitego u Rzymian, których Addison wystawiał jako nieporuszonych bohaterów i kolosy stoicyzmu; — gdy Sheridan uczynił z nich prostych ludzi, wziął się śmiało, szczęśliwie, uczynił rzecz nową, zajmującą, zuchwałą prawie, była to antitheza, epigrammat. Wspomnienia klassyczne, poglaskane razem i podrażnione, obudziły się: *Virginus* zrobił w Anglii wrażenie, większe jeszcze we Francyi. Sheridan Knowles, zachęcony, stworzył w tymże rodzaju nowe dzieła; ale pozbawiony postaci dawnych Rzymian, którzy kontrastem swoim tak mu dobrze usłużyli, nie zyskał tych co wprzód powodzeń. Postrzeżono się, że nauki życia, analizy charakterów, rozmaitości postrzeżeń, prawdopodobieństwa brakło mu zupełnie. Zostawały wprowadzić wymowa elegiacka i patetyczność pospolita; ale zaczęto się nudzić i przesycać tą chorobliwą poezią, osłabiającą umysłowie i niebezpieczną dla duszy. Ten sam charakter, też zasługi i wa-

dy, znajdują się w dziełach ostatnich naszego autora — *Miłość*, — *Córka*, — *Żona*.

*Córka (the Daughter)* pochodzi wyraźnie ze szkoły Otwaya, upiękniona tylko kwiatkami pożyczonemi z košnicy Maturina. Jest to okropność i rzeczy najpospolitsze, sentymentalność i dziwactwo. *Żona (the Wife)* ma wielką zasługę, że plan jęj odznacza się harmonijnym pomysłem. Plan równie jak szczegóły są romansowe, nie ma tu prawdopodobieństwa najmniejszego, ale barwa i rysunek godzą się z sobą. *Córka*, jakąś wdzięczną dzikością, obraża uczucie wewnętrzne człowieka i najpierwsze prawidła sztuki, drugi dramat ma przynajmniej zasługę zajmującej powieści.

Wszystko w nim jest nieprawdopodobne; zaczyna autor od Szwajcarskiej lawiny, pociąga dalej zaburzeniem w kraju, bardzo szczęśliwie rozwiązującym się; wystawia potem na obelżywe potwarze cnotę i życie jakiejś xiężnej, którą z niebezpieczeństwa wyrywa, katastrofą nie mniej dziwną. Chodźmy za nim, rzućmy się w ten świat całkiem czarodziejski: Powieść jego idzie [dobrze, sytuacje wzbudzają interes, styl jest poetyczny, i z nieprawdopodobieństwa w nieprawdopodobieństwo, z dziecinnem zajęciem przechodzim niesłychane wypadki, które na kupę gromadzi autor. Rozum musi tu milczeć; żale Mariany, zdrady lotra Ferrardo, śle-

pa ufność męża, zajmują żywo jednakże, jak ciekawa powieść Lasca lub Boccaciusza. Przekładam *Żonę (the Wife)* nad inne dzieła Sheridana Knowles, z przyczyny téj jednostajnej doskonałej harmonii nieprawdopodobieństwa w całej budowie i wszystkich szczegółach. Powiązanie wypadków i wynalezienie powieści nie wytrzymują krytyki jednakże, a styl kwiecisty, miękki, sentymentalny dialogu w niczem rzeczywistości nie przypomina. Raz zgodziwszy się, że tak być powinno jak jest, tracim ideę prawdziwego dramatu, życia namiętnego, czynnego, rzeczywistego, wchodzim w świat konwencyonalny. Jest to obraz Bouchera, któremu niegodzi się wyrzucać drzew lazurowych, bo się wybornie godzą z chatkami fioletowemi. Malarz posiada swoje szczególne wyobrażenia i szczególne przymioty, które w nim cenim i dla tego nie wymawiamy mu już dziwnego stanowiska.

W téj sztuce Sheridana Knowles, rzecz dzieje się w epoce nie zadeterminowanej historycznie, gdy jacyś nieznani dziejom książęta, panowali w Mantui, włóczęc się po nad brzegiem jezior Szwajcarskich za kochankami i żonami. Jeden z nich przechadzając się zamyślony, nie wiem w jakiej tam dolinie, przywalony został lawiną. Zwyczajnie po takim wypadku wszystko się kończy, ale tu nasz książę odkryty i sta-

rannie pielęgnowany przez Marianę, winien jej zostaje życie.

Rozkochana w tym, którego ocaliła, ukrywa przed nim swą miłość i idzie w ślad, milcząca, za człowiekiem, który w niej wzbudził uczucie głębokie i nieposkromione. Xiążę, za powrotem, zastaje miejsce swoje zajęte przez brata, odbiera ławiućko księztwo, poznaje Marianę i bierze ją za żonę w chwili właśnie, w której ów brat zdrajca poczuł ku niej namiętność mającą się wkrótce zmienić w rodzaj furii. Zostawszy księżną, Mariana wystawiona jest na wszystkie zasadzki, wszystkie intrygi Ferrarda: tak się zowie ów zły brat. W czasie jakiejś niebytności księcia, Ferrardo puszcza na Marianę jednego z dworzan, nędznika zepsutego, który obowiązuje się nie uwieść ją, ale zakompromitować. Szczęściem ten ostatni, upokorzony przez człowieka, którego jest narzędziem i na którym usilnie pragnie się pomścić, chwyta tę zrzeczność, wydaje współnika i ocala księżnę. Cały ten tak dziwaczny pomysł rozwija się z pewną miłą melancholią, której nie brak wdzięku, jest to bajeczka szyta jedwabiami i dość szczęśliwie cieniowana. Zdrajcy gadają jak z romansu, xiążę jest uosobioną odą, wieśniaczka Szwajcarska elegią. Skoro tylko poda się zrzeczność Sheridanowi Knowles, pokazania się z szczególną naturą swego talentu

w pół-pasterskiego, pół-sentymentalnego, chwytającego się jej i sadzi piękne wiersze, które jako tako zastępują miejsce dramatyczności.

Tak i Mariana, spytana o postępy swęj miłości, odpowiada pięknemi ogólnikami poetycznemi, dość nienaturalnemi.

— Jakże się twoja namiętność rozwinęła?

MARIANA.

Wzrosła razem ze mną, anim się postrzegła. Czuwałam nad nim gdy był chory i sądziłam, że jest blizki śmierci. Długo w nim życie ze śmiercią walczyło, długa była niepewność — On modlił się prosząc niebios za duszą swoją, jam się z nim modliła. Tak dusze się nasze zmięszwały.

LORENZO.

I pokochałaś go?

MARIANA.

O! tak! Kochałam go! Kwiat którego wiatry z listków oberwały, którego deszcz wbił do ziemi, jest najmilszym gdy cierpliwe ręce podniosą go i ocala. Nie byłże on dla mnie wszystkiem, tym któremu wróciłam życie? Widziałam go słabego, wybladłego, na wpół okrytego całunem, wręście przechodząc z nadziei do nadziei, po wielu dniach czuwania i nocach rozpacz, ujrzałam go wpół już żywym; jutrzienka zdrowia zaczynała połyskiwać na bladych jego jagodach; coraz żywszy, coraz silniejszy, coraz weselszy był potem, zdrowie zabłysło i świeciło na jego czole; odzyskał siły — przyszłość.

. . . . .

LORENZO.

A potem cię opuścił?

T. I. Ath.

18



MARIANA.

Niestety, tak postanowił. Naznaczył dzień wyjazdu, potem odkładał i odkładał jeszcze — nareście odjechał.

LORENZO.

Tyś szła za nim do Mantui?

MARIANA.

Mogłażem inaczej uczynić? On wszystko unosił z sobą, wspomnienia, roskosze, szczęście, niebieskie jeziora, jasne niebo, zielone góry — nasze. Szłam za nim do Mantui, aby oddychać powietrzem, którym on oddychał, chodzić po ziemi, która go nosiła, patrzeć na świat, na którego on patrzył, widzieć go może — może usłyszeć głos jego — może się go dotknąć — a zawsze go kochać zdaleka!

Podobny wdzięk elegijacki, zastępstwo niedostateczne prawdy i siły dramatu, rozlewa się po całej sztuce; zalewa nawet sceny silne, szczęśliwie i śmiało wynalezione, jak na przykład tę, w której Saint-Pierre, zdrajca ów podrzędny, sam na sam z Ferrardem panem swym, pisze za dyktowaniem, a raczej udaje że pisze list, który ma xiężnę obwinić. Saint-Pierre jest bez broni, Ferrardo ma dobry sztylet. Miasto owego nakazanego mu listu, Saint-Pierre słowo w słowo, pisze rozmowę swoją z Ferrardem, potem, zręcznym podejściem, dostawszy sztyletu, zmusza człowieka na którym chce się pomścić, do podpisania haniebnego świadectwa przeciw samemu sobie. Opuścim w tej

scenie deklamacye sentymentalne, bardzo śmieszne w ustach dwóch takich złoczyńców, i cytuję ją, na co zasługuje.

SAINT-PIERRE (*pisząc*).

Skończyłeś dyktować?

FERRARDO.

Już.

SAINT-PIERRE.

A ja pisać — Dobrze poczęto, dobrze prowadzono, a koniec nadewszystko doskonały. Wasza wysokość osądzi mój styl... Do licha! omyłka — !! jedno słowo! Nie ma Wasza Wysokość nożyka lub czego bądź ostrego?

FERRARDO.

Nie mam.

SAINT-PIERRE.

Ten sztylet jeśli ostry?

FERRARDO.

Weź go.

SAINT-PIERRE (*przygląda mu się*).

Doskonały! Teraz xiążę przeczytaj i podpisz.

FERRARDO (*czytając*).

Co to jest? coś ty napisał? Jest to wyznanie moje!

SAINT-PIERRE.

Nie innego.

FERRARDO.

Rozmowa nasza ostatnia słowo w słowo.

SAINT-PIERRE.

Ni mniej ni więcej o literę; widzi xiążę że byłhym niezłym sekretarzem, lecz W. X. Mość nie jest tém za-

dowolniony, jak mi się zdaje, — tegobym się był nie spodziewał. Ale jak jest to jest, Mości Xiąże, trzeba to podpisać.

FERRARDO.

A toż dla czego?

SAINT-PIERRE.

Bo ja tego wymagam! A! tyś mnie trzymał na uwięzi lat dziesięć, na łasce, teraz kolej na mnie, chcę ja ciebie mieć w swém ręku, Mości Xiąże, jestem otwarty i szczerzy, zdaje mi się.

FERRARDO.

Tyżes to? ty? Saint-Pierre? ty się tak obchodzisz ze mną?

SAINT-PIERRE.

A wyż M. Xiąże? wyście temu lat piętnaście, w złą godzinę, znaleźli mnie w mojej rodzinnej dolinie, biednym wieśniakiem, dziecięciem niewinném i zgubiliście mnie! Wy, czytając w mojem spójrzeniu ledwie ośmieloném, czynną duszę i żądze gorące, użyliście ich na swoją korzyść a moją zgubę! — Nie ruszaj się! — znasz mnie! —

FERRARDO.

Jestem ci posłuszny — Muszę. Wspomnij jednak Saint-Pierre, żem cię jak dziecię ślacheckie wychować kazał?

SAINT-PIERRE.

A! prawda! Daleś mi nauczycieli! skorzystałem z ich nauk, stałem się czém jestem teraz, śmiałym, wytwornym, zepsutym! — narzędziem waszém, posługozem waszych namiętności — No! no — stój Xiąże i podpisuj.

Widzisz że się nie ruszam. Czyś ty rozum stracił Saint-Pierre, te dziesięć tysięcy dukatów są twoje!

SAINT-PIERRE.

Xiąże! dziesięć tysięcy dukatów!! Cóż to? Oddaj mi Xiąże młodość moją, moją poczciwość, ciało silne i zręczne, życie spoddane w twoich usługach — Xiąże! Jam robił za ciebie nie raz, teraz ty zrób moją robotę. Podpisz ten papier, podpisz! albo — Ja tu panem!

FERRARDO.

Na prawdę tak mówisz!

SAINT-PIERRE,

Spójrz mi w oczy.

FERRARDO.

Mam ci dać więcej?

SAINT-PIERRE.

Podpisz!

FERRARDO.

Dwa razy tyle!

SAINT-PIERRE.

Xiąże — podpisz!

FERRARDO.

A gdybym ci dał czterdzieście tysięcy dukatów?

SAINT-PIERRE.

Patrz Xiąże, na ten zegar. Gdy będzie południe już nie czas podpisać naówczas — pół minuty daję Xięciu; a potem nie inaczej przemówię tylko tym sztyletem, który dotyka ci serca.

FERRARDO.

Słowo tylko, Saint-Pierre — słowo!

www.libtool.com.cn SAINT-PIERRE.

Podpisałś ?

FERRARDO.

Podpisałem !

SAINT-PIERRE.

Bardzo Xieciu dziękuję !

Któżby to uwierzył, że w oryginale, w téj scenie, autor potrafił umieścić róże, grób ojca, widmo i całą kartę słów próżnych? Gdyby to kto silniejszy pisał, zemsta Saint-Pierra mogłaby zrobić wielki effect; lecz charakter ten szczęśliwie wymyślony, mdławieje i miękczy się przez deklamacye, którym Sheridan opędzić się nie może.

Wystawcież teraz sobie, tę poezycę miłą, dumającą Sheridana Knowles, to wyszukanie sentymentalno-moralne, ten wdzięk błady i sztuki pełen,—użyte do napisania dzieła, którego osnowa jest dziką, okropną, najstraszniejszą jak być może; będziecie mieli z pomieszczenia tego dwójga niegodziwy dramat, jak jest *the Daughter*. Na północnych brzegach hrabstwa Cornouaille, w kraju dzikim, i pustym, którego piaski i skały corocznie okrywają się tysiącznemi szczątki rozbitych okrętów i potarganemi członkami biednych topielców; mieszka lud żyjący łupem, którego bogactwem są szczątki te, lud który wygląda burzy, błąka się po przylądkach, dobija umierających i odziera tych, których

woda na brzeg wyrzuci. Ci ludzie zowią się *wreckers*, od wyrazu *wreck* (rozbite). Niepodobna mieć na nich oka; żyją zdala od miast, nie wychodzą z domu inaczej jak zbrojni, a popełniając zbrodnie na bezbronnych i współumarłych; przez to samo unikają kary i sądu, jak równie oczu świadków. Poeta jeden angielski XVII wieku, w dramacie jakimś z pospolitego życia, tym *wreckers* dał role silne i pełne affektu; dzieło jego jest nacechowane gwałtownością, brutalstwem, brak mu pięknych słów i wytworu, ale nie zbywa na sile. Sheridan Knowles, biorąc ten sam przedmiot, niby go (w swoim przekonaniu) upiękniał, dodając heroinę romansową, córkę jednego z tych *wreckers*, która gada jak panna świeżo z pensyi wyszła, i mięsza z dzikim wiatrem i burzą oceanu, sentymentalne jęki, śmieszne i nieskończenie długie. Nie ma tu odrobiny siły wewnętrznej Shakspearą, nie ma jego ludzi tak prawdziwych, tak cudnie naturalnych, nie ma także ostrój prostoty gburostwa Southerna i Lillo; mnóstwo występków, zbrodni oburzających, a obok nich, dziewczyna elegijna, naperfumowana — różowy lakier na trupach. Ktokolwiek ma uczucie sztuki i uczucie potrzeby harmonii, wzdryga się.

Widzieliśmy sztukę dramatyczną w Anglii, sparalizowaną, dwóma różnemi wpływami; a-

nalizą metafizyczną i sentymentalną affektacją. Spójrzmy jeszcze co się stało z dramatem, pod wpływem napuszenia epicznego. *Paracelsus* pochodzi, naśladuje Wordswortha. *The Daughter* przypomina Otwaya. *Kosmus Medicis*, o którym wyżej wspomnieliśmy, napisany został pod natchnieniem wziętém od Milтона i Goethego.

Metafory, allegorye, uosobienia, króluja w tém dziele, którego autorem jest człowiek mało znany P. Horne. Główna myśl jest antithezą; dwa charaktery sprzeczne postawione obok siebie; ojciec i syn; zasady i namiętności, wola i instynkt, siła i niestateczność. Horne nadużywa figur retorycznych, ukazuje na przykład: *Rospacz wyciętą z lodu, rozciągniętą na gościńcu doświadczenia — Miedzianą nogę ślepego przeznaczenia, idącą po drodze brukowanej koronami. — Okropność siedzącą we włosach na jeźonych Mediceusza. — Głowę zabójcy uwieńczoną krwawym zmrokiem*. Te naśladowania wymowy Eschylera, ani są dziś stosowane, ani się dadzą wytłumaczyć w dramacie z nowszych czasów. Najwyższy wdzięk stylu Shakspeara, zależy na użyciu łatwém i urozmaiconém wszelkich barw, wedle potrzeby i zmian zachodzących w dramacie; on jest razem wzniosły, elegijny, wesoły, rubaszny, żywy, naiwny, wdzięczny i uroczysty. Tysiąc strón, odzywa się pod biegłą jego ręką. Alfieri zna tylko jeden ton,

Shakspeare wszystkiemi włada. P. Horne zaś, stylem swym, pełnym fałszywej wzniosłości i świetnych obrazów, przypomina, nie istnie dramatyczną giętkość Shakspeara, lecz *Chapmans mighty line*, jak mówiono w XVI wieku, wspańnię wiersze Chapmana. Jest to coś nakształt Bréboeuf, nakształt Pindara nawet, nieustanne warczenie namiętności i metafory; słachacz musi się znużyć tém napuszczoném kłamstwem; zdaje mu się ze dźwięki, które słyszy, dochodzą go powiększone miedzianą trąbą. Złanie wszystkich dźwięków, oddanie harmonijne ich rozmaitości, udało się tylko dotąd, jednemu największemu artyście, który miał dosyć giętkości i śmiałości na to — jednemu Shakspearowi, który wszystko objął i wszystko wydał. Trzeba naprzykład w *Macbethcie*, przypatrzeć się, elegii rodzącej się z dalekiego przeczucia przyszłych nieszczęść, rozwijającej się w wierszach pełnych melodyjnej prostoty; potem czarodziejskiemu światowi czarownic, ryczącemu didtyrambem piekielnym; a duszy kobiety którą duma w męczyznę zmienia piorunującą jak błyskawica na czarném niebie. W *Romeo* znowu mieszają się głosy świegotliwej mamki i naiwnego dziecka ledwie poznającego miłość; głos miły i śmieszny, a za niemi odzywa się uroczysty, religijny mnicha katolickiego.

Plan *Kosmusa Medicis* bardzo prosty. Jan i



Garcia, synowie Kosmusa, zakochani w jednej kobiecie oboj, polują razem na dzika w lesie pod Florencją. Każdemu z nich zdaje się, że zabił oszczepem zwierzę, które umknęło w zarośle.

J A N.

Ja to!

GARCIA.

To ja, powiadam ci! to ja!

J A N.

Mój oszczep go przebił.

GARCIA.

Ale gdzież on? wypadł się.

J A N.

Jużem go dotykał, gdy tyś się rzucił na oślep bijąc. Z twojej przyczyny, dla twego szalonego zapалу, straciłem go.

GARCIA.

Tędy zwierzę uciekło. Oto gałęzie które potrzaskał kłami, oto ślady jego przejścia, znać białą pianę na liściach; ale już nie czas za nim gonić.

J A N.

Nie przykrzejszego, jak tak się zwieść szkaradnie. Nie cierpię tych zabawek bez celu; ale gdy wychodzę na nie, nie zniosę, abym sam miał być igraszką dla drugich.

GARCIA.

I ja tak sędzę... Na cóż się bardzo trapić, polujmy dalej.

J A N.

Rób sobie co chcesz a daj mi pokój; nie jestem w humorze znoszenia czegośkolwiek błądź.

GARCIA.

Jak ci się podoba.

J A N.

Żartujesz sobie ze mnie?

GARCIA.

Las wielki, twój humor może się w nim pomieścić, nie dotykając mnie. Uspokój się, wróc do matki; wyproś u pięknej Hippolity kilka słów miodowych dla przywrócenia ci słodkiego humoru.

J A N.

Hippolity! co ty mówisz? co chcesz przez to rozumieć? wspomniałeś jój imię aby mnie obrazić.

GARCIA.

To imię nadto mi jest drogie, abym go na taki cel używał.

J A N.

A! to imię jest ci drogiem! ty ją kochasz!

GARCIA.

Tak! kocham ją, — No — cóż to ci się stało? drżysz, usta ci się skrzywiły, ręce zatrzęśły?

J A N.

I ja kocham Hippolitę.

GARCIA.

Ty!..

J A N.

Ja — kocham ją z całej duszy. Zyskałem jój miłość, jestem jój pewny, kochamy się wzajemnie.

GARCIA.

A! przeklęty! masz inną kobietę zaślubić, a tę mi odbierasz, wyrywasz mi jój miłość, jedyny skarb mojej duszy! Podłość i podłość?

J A N.

Dzięcie! milcz! Ani słowa więcej, milcz!

GARCIA.

Nie chcę milczeć, nie będę milczał — kocham ją jak duszę moją, więcej niż życie, nad wszystko! podły!

J A N.

Niewytrzymałam — Ukarzę cię płazem tego miecza —  
(*dobywając oręża.*)

. . . . .

GARCIA.

Co ci jest Janie?

J A N *raniony.*

Jam winien Garcia — ukarany jestem, umieram.

GARCIA.

Ach! nie umrzesz! to być nie może! rana twoja nie głęboka,

J A N.

Śmiertelna.

GARCIA.

To nie może być — nie! nie.

J A N.

Czuję uchodzące życie — Trawa krwią moją zarumieniła się — ciężki tuman mnie opasał — wszystko widzę przez całun mglisty.

GARCIA.

To nic, to nic.

J A N.

Nie, nie — tylko śmierć — słuchaj, słuchaj ostatnich słów moich, (*Garcia kłęką*) zanieś błogosławieństwo moje Hippolicie — na wieki! Błogosławię ją a wieczności — Przrzecz mi to dopełnić.

GARCIA.

Obiecuję ci, przyrzekam — o Boże!

Ta scena, bardzo dobrze ułożona, jest z całego dramatu najlepszą, a podobno jedynie dramatyczną. Po dokonaniu zbrodni, zatrzymuje się sztuka, i niema końca deklamacyom. Kosmus Medicis, ukarawszy niesprawiedliwie syna swego Garcia, który padł zabity przez zbira, dowiaduje się potém o jego niewinności, i wyrzuca sobie gorzko, okrutną swoją srogość. Msza żałobna nad truną młodzieńca, na której znajduje się ojciec dręczony wyrzutami sumienia, kończy dramat, nad którym dłużej zastanawiać się nie będziemy; — piękniejsze części jego zbytęcną zeszpecone napuszonoscia, zbliżają się do epepei i ody.

Wśród tego powszechnego upadku sztuki dramatycznej w Anglii, upadku do którego nachylała się oddawna, jakeśmy to wyżej przykładami okazali, Edward Lytton Bulwer, powziął myśl reformy sztuki i dokonał tego szczęśliwie. Umówiwszy się z aktorem Macready, począł od oczyszczenia materyalnego teatrów, oddawna rzuconych na łup rozpucie; opuszczonych przez lepsze towarzystwo i uczciwe klasy niższe a służących za schadzki dla rozwiązłej młodzieży. Był to pierwszy krok do podniesienia sceny. Potém, dla zaciągnięcia pod nową chorągiew, znakomitszych talentów, dla uzyskania ich współdziałania czynnego, postarał się o ważne zmiany w prawach,

slużących autorom dramatycznym, względem własności ich dzieł. Było zwyczajem w Anglii, kupować dramat u autora, co się zwało *copyright*; potem zaś wielkie czy małe były zyski z przedstawień, należały już całkowieie do dyrektora i teatru. Ztąd, brak emulacyi, nie nie zachęcało pisarzy, dawano dzieła tłumaczone z francuzkiego, nie nie kosztujące; teatr szedł ciągle i widocznie do zupełnego upadku. (a) Bulwer, członek parlamentu i literat, wziął na siebie obronę pisarzy; dzięki jemu, własność dzieła zapewniona im jest w Anglii, dzieli on, jak we Francyi, zyski z przedstawień, i ma swój własny interest we wzroście sztuki i teatru.

Bulwer, przygotowawszy tak wszystko, wziął się do samego dzieła. Usiłował zająć publiczność dramatai, któreby nie były mechanicznie, wyrobniczo, bez myśli naśladowane; lecz istotnemi dziełami sztuki, razem znowu oparł się wpływowi mystycyzmu metafizycznego, deklamacyi szkolnej i pantomimy z dekoracyami, tak ulubionej od ludu. Z kolei probował historyi i romansu na scenie, tworząc z nich —

---

a) Bez mała czego, jesteśmy w tém samym położeniu, z tą różnicą, że tego upadkiem zwać nie można, bośmy wyżej nigdy nie byli. P. T.

*i Rachelieu'go, Panne de la Vallière i the Sea Captain.* (Kapitana okrętu.)

W téj ostatniej sztuce, najlepiej udało się Bulwerowi, zmieszać pierwiastki, które chciał połączyć. Dzieło to, w Londynie, najlepiej teraz jest przyjmowane,

Pewien młody człowiek, opuszczony przez matkę, przypadkiem, nieznając jéj, zbliża się do niéj; ona przyjmuje go w swoim zamku jako gościa.

NORMAN.

Po rozbiciu okrętu, byliśmy w najsmutniejszym położeniu.

LADY ARUNDEL.

A mówisz Pan o tém tak wesoło.

NORMAN.

My, żeglarze, tacy jesteśmy, ale i na mnie przycho-  
dzą złe godziny.

L. ARUNDEL.

Pan, zdaje mi się, oddawna opuściłeś Anglią? Rodzi-  
ce jego z radością go ujrsz znowu.

NORMAN.

Ja nie mam rodziny.

L. ARUNDEL.

Smutne a tak spokojnie wyrzeczone wyrazy! Chcia-  
łabym być Panu użyteczną, chciéj mi zaufać.

VIOLET.

O Normanie, możesz, możesz zaufać Lady Arundel.  
Historia twoich lat młodych, musi każdą duszę kobiety  
poruszyć.

NORMAN *do L. Arundel.*

Pani, głos twój, jak dzwoneczarodziejski, obudza w mo-  
 jém sercu, struny oddawna milczące. Powiem ci przy-  
 gody wygnańca, jeśli chcesz je słyszeć. Nie są one dłu-  
 gie. Do latj czternastu żyłem u starego pocziwego xię-  
 dza w tych okolicach. Nie spokojnego mego dzieciństwa  
 nie zamieszało; nagle opanowały mnie dzikie, niespokojne  
 myśli. Brakło mi czegoś na tym pięknym i szczodrym  
 świecie: jednego wieczora, gdy milczące gwiazdy jasnie-  
 jąc, strzegły pokoju ziemi i wody, w mojej duszy powstał  
 żal jakiś i boleść; spytałem pocziwego staruszka — *czemu  
 ja niemiałem matki?*

L. ARUNDEL.

Coż ci odpowiedział?

NORMAN.

Zapłakał i rzekł — Masz znakomitą familię,

L. ARUNDEL *na stronie.*

Oszukał mnie.

NORMAN.

Dodał, że przyjdzie zapewne chwila w której ciemna  
 przeszłość moja rozjasni się jasną przyszłością. Natenczas,  
 słuchając go, zdało mi się żeś sobie przypominał postać  
 jakąś piękną i bladą, mówiącą do mnie czułem wyrazy,  
 wyrazy które tylko matka wyrzec może.

L. ARUNDEL.

Boże, co ja cierpię!

NORMAN.

Pokazał się natenczas w naszej wiosce, człowiek je-  
 den w obejściu otwarty i gburowaty, był to majtek który  
 dziwy opowiadał o dalekich krajach, Ja go słuchałem chę-  
 wie. Zapaliło się serce moje tém opowiadaniem, i ja za-

żądałem przepłynąć ocean, którego fale, biły o ściany naszej chatki. Wielkie imię Waltera Raleigh poruszało serca wszystkich; uwiedziony porywającym mnie głosem, uciekłem z majtkiem.

L. ARUNDEL.

A ten xiądz, nie objaśnił cię o twojem urodzeniu?

NORMAN.

Nie. Dozwolił mi odpłynąć niesprzeciwiając się temu i rzekł: Idź, zasłuż sobie na imię, któreby nawet największej pochlebiało dumie; ci którzy cię opuścili, z chlubą cię po tém przyjmą.

L. ARUNDEL.

Oddycham.

NORMAN.

Serce twoje pani, potrafiło się zająć losem obcego człowieka? Zbladłaś kilka razy.

L. ARUNDEL.

Opowiadanie pańskie mocno mnie zajmuje, mów dalej proszę.

NORMAN.

Nędznik którenum zaufał, wsiadł zemną na szalupę, lecz gdyśmy przybyli do okrętu, który do niego należał, okuła mnie w kajdany, — był to morski zbójca. Odpłynąwszy na morze, wywiódł mnie na pokład i w obecności wszystkich rzekł z uśmiechem. Dziecię, nie moja w tém wi-na, kajdany twoje złoto ukulo, to złoto dała matka twoja.

L. ARUNDEL.

Kłamstwo! szkaradne kłamstwo!

NORMAN.

Tak pani, ja sam zawołałem na niego że kłamał i porwawszy sztylet, który trzymał w ręku, uderzyłem go nim



w czoło. Dwadzieścia mieczów zabłysło nad moją głową; ale zbójca ocierając krew z czoła, rzekł: — O! byłaby to za lekka śmierć dla niego. — Przywiązać go do deski i wrzucić w morze. Rozpięto żagle, ja pozostałem sam jeden na morzu, sam, a nade mną Bóg tylko.

VIOLET *biorąc go za rękę.*

Łzy które mi z serca płyną, napęłniły te oczy ... Bóg cię ocalił!

NORMAN.

Cały dzień jeden, całą noc potem, krucha deska oddzielająca mnie od przepaści, bita falami płynęła zemną. Ucichły wiatry, a gdy gwiazdy zaświeciły na niebie, świat zdał się tak miły, niebo tak piękne, morze tak łagodne, że przypomniawszy słowa owego nędznika, rzekłem do siebie: — Wiatry i fale więcej mają litości niż matki! Pani płaczesz.

L. ARUNDEL.

Ja? płaczę! Mów pan dalej.

NORMAN.

Dzień zaświtał — Naprzeciw słońca ukazał się żagiel, potem banderola.

VIOLET.

Nakoniec.

NORMAN.

Przełynęli nie postrzegłszy mnie. — Nadeszło południe, z niem pragnienie; głód; spalonymi ustami wzywałem śmierci, usiłowałem wyrwać się z więzów krępujących mnie i przejadających ciało, chciałem się utopić. Naówczas zdało mi się, że przez wód przezroczystość, ujrzałem poruszające się i płynące ku mnie, coś wielkiego, czarnego, z oczyma świecącymi, goniącymi za mną; — była to potwora, która płynie za okrętami czatując na pastwę.

Życie w obliczu niebezpieczeństwa, znowu mi się drogiem stało, z wzrokiem wlepionym, z najeżonemi włosy płynąłem dalej, usypiając — członki moje zdrzewiały, traciłem przytomność. Oczy potwory ciągle były we mnie wlepione.

VIOLET.

Mów dalej, mów.

NORMAN.

Gdym odzyskał przytomność, usłyszałem język różniny, ujrzałem oczy niespokojne z dobrocią spoglądające na mnie, leżałem na pokładzie — uszedłem śmierci. — Bóg czuwał nademną.

Już kilku utalentowanych pisarzy, czujących w sobie powołanie do teatru, skorzystało z zaprowadzonych w nim przez Bulwera ulepszeń. Między niemi odznacza się Leigh Hunt, dziwny człowiek, który dotąd w Anglii nie wiele zyskał wziętości. Pewna namiętna przesada, zastępująca natchnienie, a nie umiarkowana siłą rozsądku, która jego charakter stanowi, nie przypada do narodowego charakteru Anglików. Najlepszym jego dziełem, jak się nam zdaje, jest podobno ostatnia tragedia pod tytułem: *Legenda Florencka*. Należy ona widocznie z planu do szkoły sentymentalnej, o której była wyżej mowa; zbywa jęj na sile, różnitości, na węzłach. Ciągłe styl patetyczny Eurypidesowy, mniej wprawdzie zniewieściały i naturalniejszy niż Sheridana Knowles; ale powieść sama z życia codziennego przyjemnie rozłożona na sceny.

Braknie tu rozmaitości, jaka jest właściwa prawdziwemu światu, braknie spójrzenia na świat sumiennego, z wysoka; lecz sztuka ma swoje zalety w prostocie i namiętności, które ją odznaczają.

Leight Hunt nie wysilił się na osnowę, jest to tylko *Guido i Ginevra*. Rzecz dzieje się we Florencyi, za papieztwa Leona X. Ginevrę, młode dziewczę ubogie, pokochał szlachciec Antonio, miłością pełną uszanowania i czystą; ona poszła za mąż za niejakiego Agolanti, człowieka podeszłego wieku, charakteru podejrzliwego, egoistę, bez serca. Rozchodzą się wieści ośmiesznej zazdrości jego po Florencyi. Wierna swym obowiązkom, Ginevra, której charakter wdzięczny jest odmalowany, odsyła nieczytając listy Antonia; chociaż jego młodość i miłość potrafiły pozyskać na swoją stronę służące, paziów, cały dwór Ginevry. — Zniewieściałość włoska XVI wieku, żywo tu odmalowana w dramacie, i to nie mała jego zasługa. Ostatni list Antonia, którego Ginevra odesłała nieczytając, wpada w ręce męża. Znajduje w nim dowód jej niewinności, lecz odtąd baczenie zaczyna ją śledzić. Niepodobna mu się smutek młodej żony, i gdy ona rozmawia z kilką przyjaciółkami, zbliża się do niej z gniewem i wyrzutami; rozjąttrza go spokojna cierpliwość Ginevry, chwytając ją silnie za ręce i ściskając woła:

— Za kwadrans czekam cię w czerwonym pokoju; słyszysz to? [www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

Wszyscy się usuwają i wkrótce, mąż i żona schodzą się w swym pokoju czerwonym, który jest raczej oratorium włoskiem, z ołtarzykiem Madony.

AGOLANTI.

We wszystkim mi się sprzeciwia. Kazałem jęj zdjąć ten obraz, nie chciała. Zna moją cześć ku Najświętszej Pannie, wie, że mój gniew jakkolwiek najsprawiedliwszy, nie potrafi wybuchnąć w obec tego obrazu. Pobożność jęj nawet jest podejściem — Przeklęta!.. Przeklęta!..

*(Agolanti zamyka obraz, podaje krzesło żonie i staje przy niej.)*

GINEVRA *wesoto.*

Dészczyk ten odświeżył powietrze, wychodziłeś rano, lękałem się, żeby cię ten dészcz nie spotkał, żeby ci nie zaszkodził. —

AGOLANTI.

Lękałaś się! chybaś się spodziewała! Lękaszze ty się tego, czego ja się boję, spodziewasz czego ja spodziewam? Moja pani, dość tych mów, dość tego zmyślanego mną zajęcia, oddalającego cię tylko od przedmiotu, którego się lękaszz: odemnie. Jutro wielka uroczystość we Florencyi, zapewne zechcesz w niej uczestniczyć, ty co drżysz za każdym drzwii stuknięciem i upadnięciem szpilki! Będą tam trąby i bębny, wyborne lekarstwo na choroby nerwowe! Nie jedno pchnięcie szpadą na igrzyskach, które nieśmiałe płaksy do łez pobudzić potrafi.

GINEVRA.

Dotąd nicoświadczyłam ci chęci widzenia turnieju,

ani uroczystości, niczego co ty uznasz nieprzyzwoitem dla mnie. [www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

AGOLANTI.

Zapewne nic nie mówiłaś, nic nie chciałaś, czekasz aż mąż osądzi co jest przyzwoitem, żeby mieć przyjemność uczynić przeciwnie.

GINEVRA.

Przysięgam ci że nie będę tam, i to bez żadnego żalu, uważaj to za niezawodne.

AGOLANTI.

No! ale ja myślę być na turnieju, to dla tego zapewne zostajesz *bez żalu*, żeby swobodnie odebrać list od Antonia.

GINEVRA.

Wszakże odesłałam je wszystkie nieczytane.

AGOLANTI.

Wiele ich było?

GINEVRA.

Trzy.

AGOLANTI.

Tak — trzy nieczytane, prawda; a wieleż czytanych? Milczysz upornie — co znaczy to kiwnienie głową?

GINEVRA.

Mój Boże, czy milczę czy co mówię — wszystko to jedno, zawsze będę połączoną. Nie powinienbyś się tak zęmną obchodzić. Jakkolwiek jestem cierpliwa, nie mam siły znieść tego. Nie dawno byłam bardzo chora i jeszcze dotąd jestem osłabiona.

AGOLANTI.

Widziałem cię słabszą, a zawsze gotową do walki zęmną, zawsze pełną nienawiści ku mnie.

GINEVRA.

Nie jestem aniołem, kobietą tylko.

AGOLANTI.

Przynajmniej żeś się przyznała! Zapewne to nie są występne wyrazy oburzenia, które mi z ust wyrывa ciągła twoja ku mnie pogarda.

GINEVRA,

Mogłam zblądzić, żal mi tego; ale nie można porównać winy, z latami całemi cierpień, które mi zadajesz bez przyczyny, bez zgryzoty.

AGOLANTI.

Bez przyczyny! co za głoszek słodki! co za anielski tonik! Co za kłamstwo istoty nadto drobnój, aby ją warto było ukarać, nadto nieczulój, aby ją można poruszyć. Ty mnie nigdy nie kochałaś, nigdy u ołtarza nawet, gdy z zimną podłością, z rezygnacją niecną, z kłamstwem na ustach, wzięłaś mnie za męża, spodziewając się zyskać niepodległość, dom, majątek, gardząc tym który ci dawał to wszystko.

GINEVRA.

Nigdy tobą nie gardziła. — Nie wiedziałam co to pogarda, byłam dziećciem ufném i niewinném — O! gdybyś mógł — Ale na cóż powtarzać to, co codziennie napróżno ci mówię? (*wstaje i przechadza się po pokoju*) krew mi z gniewem do głowy uderza, nadto wymagasz odemnie! Cożem uczyniła o Boże! żeś mnie ukarał tym despotyzmem okropnym, który wymaga od swój ofiary cnot wszystkich, a sam nie ma z nich żadnej.

AGOLANTI.

Bardzo pani dziękuję — szczerą jesteś w końcu.

GINEVRA.

Przebacz, przebacz, gniew nie zna pomiarkowania, i nie wie co mówi.

AGOLANTI.

Aha! tak to! pani nigdy nie odpowiadasz! pani jesteś cierpliwa, łagodna—

GINEVRA.

Kończ, kończ, masz słuszość. Ja com ganiła gniew, sama się nim uniosłam. Mógłbyś mi jednak przebaczyć i mieć litość nademną, bo i ty nieraz zgrzeszyłeś podobnie.

AGOLANTI,

Co za dobroć! co za słodka ironija!

GINEVRA.

Nie, nie, na moją duszę, mówiłam szczerze, z głębi serca, o wspólnej nam obojgu wadzie — Przebacz mi, będę ci wdzięczną.

Antonio, dość niezręcznie, wyzywa na pojedynkę męża i wymaga od niego, aby mu zdał rachunek ze złego obchodzenia się z żoną, o którym wie już całe miasto. Wśród dzikich wykrzyków kochanka i ironicznych męża odpowiedzi, który, potrzeba wyznać, ma słuszość za sobą, przychodzą oznajmić Agolanti, że żona jego — umarła. Wrażenie jakie ta wiadomość czyni na mężu i kochanku, dobrze oddane. Szpady wypadają im z rąk; słyhać dzwon pogrzebowy na ulicy, Antonio zdejmuje kapelusz; mąż niemy pozostaje z nakrytą głową.

— „Odkryj głowę, podły!“ woła na niego Antonio.

Tym czasem, łatwo to zgadnąć, Ginevra nie umiała prawdziwie. Według zwyczaju włoskiego położona na łożu paradnym, obudziła się z letargu i okryta całunem, paszła zapukać do drzwi męża, który z przestachu zabobonnego, zamknął je przed nią, padając na kolana. Odepchnięta, udaje się do mieszkania Antonio, którego znajduje samego, w nocy wspartego o jeden z pilastrów, utrzymujących portyk jego domu.

ANTONIO.

O najpiękniejsza, o najmiłsza! życie moje było życiem w dowiem, ona nie była moją! (*Ginevra zatrzymuje się o kilka kroków.*)

GINEVRA.

Antonio.

ANTONIO.

O nieba! kto ty jesteś?

GINEVRA.

Nie lękaj się spojrzeć na mnie, Antonio, jestem Ginevra, pochowana lecz żywa, wyszłam, lecz nikt nie chce mnie do siebie puścić, matka nawet moja przeleżała się mego głosu, przychodzę błędna, niemając schronienia, zapukać do drzwi twoich. Miej litość nademną, dobry Antonio, wybaw mnie, bo lękam się tych ulic pustych, w nocy.

ANTONIO.

O! z najstraszniejszych i najczudniejszych rzeczy, najstraszniejsza, najczudniejsza — kto ty jesteś? Jesteś li aniołem z nieba oznajmującym mi nowe próby i nowe walki? Jesteś li żyjącą jeszcze, ta ręka może się dotknąć mojej?

GINEVRA.

Weź mnie za rękę, prowadź do siebie, bo przestach,



zdziwienie, długa słabość, czynią mnie samą sobie straszna — nie wiem, jak utrzymać się mogę.

(*Antonio podchodzi z wolna, bojaźliwie, dotyka jej ręki i przyciska ją do serca.*)

ANTONIO.

To Ginevra! — w mojem ręku! pada... droga moja! Izy jej miesza się z mojemi, — Umiera, umiera! ja ją zabiłem.

(*Ginevra, wysuwa się z jego objęć i kłeka.*)

GINEVRA.

Wróć mi siły — o panie! dobry Antonio — Bądź ty takim jakim cię wyobrażała sobie — nie myśl o mnie złego. Dozwól mi przejść ten próg bez obawy hanby — do-  
tąd jam nieszczęśliwa lecz czysta!

ANTONIO.

Wstań; jeśli się sama będziesz mogła utrzymać, ja się oddam — oddam od ciebie to serce, które cię kocha, lecz szanuje. Oszalałem, szaleję widząc cię żywą i tak blisko mnie, lecz o najdroższa, ty aniele Antonia! Powiedz słowo tylko, przemów, ja cię kocham tyle, że orzeźwiwszy cię chlebem i winem, sam odprowadzę cię do twego domu, do twego męża — wrócę niebo temu człowiekowi, który żałować będzie swego przeszłego postępowania.

GINEVRA.

Nigdy! Grób nas rozdziela — ręka niebios to uczyniła! On sam, on sam uczuł to, gdy ciskając się do drzwi jego odepchnął, i odpędził. Twój tylko dom i klasztor przyjmą mnie jeszcze w tém życiu — ty mnie do niego zaprowadzisz. Daj mi schronienie do ranka? Masz matkę?

ANTONIO.

Dobłą matkę, dzięki Bogu, pobożną, litościwą, odważ-

na. Będzie ona twoją matką, póki ten dom twym domem. Wstanie zaraz, zaprowadzi cię do osobnego pokoju i przyjmie jak córkę.

GINEVRA.

Dzięki niebu! — widzisz jak silnie idę o swojej mocy.

Ginevra przepędza pięć dni całych u Antonia, którego monolog wart zacytowania.

ANTONIO.

Pięć dni szczęścia, nikt nie wie jaką skarb ten dom w sobie zamyka. Wszyscy ją tu kochają. Wzięła za rękę moją matkę — mówiła że miłe jęj oczy. Wczoraj, dwa razy moje imię nasunęło się jęj, zamiast innego. Ach! tak też jestem dumny, tak silny; coż to za szczęście miłość i choćby odrobina nadziei wzajemności! Nie pojmuję jakbym mógł być szczęśliwszym, jak moje położenie stać się może rokoszniejszym, świętszym? Nie dotykam ziemi, nie nie widzę, moją tajemnicą tylko żyję. — Na całym świecie dla mnie tylko dwie istoty — *ona* na którą patrzę — *ja* co się wpatruję zawsze. —

Potém mąż przychodzi po żonę i odbiera ją nazad do siebie. Przyjaciele Antonia, młodzi panowie, w własnym domu drwią z starego Agolanti. On, jednego z nich uderza sztyletem, uderzony nawzajem, umiera a Ginevra zostaje żoną Antonia.

Takie to są usiłowania, lat kilku ostatnich, podniesienia ęatru w Anglii. Nie wspomniałem tu o tragedyi klassycznej, adwokata Talfourd, która wiele narobiła szumu w literackim i modnym świecie. Tytuł jęj *Jon*; odznacza się

dokładném naśladowaniem form greckich, wierszowaniem wytworném, kolorytem świeżym, i wdziękiem pełnym pokuju, szczęśliwie wziętym od muzy Sophoklesa. Dramat ten grany być nie mógł jednakże. Sztuki Bulwera, nadewszystko *the Sea Captain* (Kapitan Okręto-  
wy) łączą w sobie dobrze umiarkowane pierwiastki poezyi i dramatycznego interessu; przez to staną się może popularnemi. Lecz czy się uda podnieść, zreformować, odrodzić teatr angielski? Rzecz wątpliwa.

Jedna podobno tylko jest epoka dla dramatu, w życiu ludów; a europa cała niesiona niepojętym pędem, codzień się oddala od owych błogich czasów młodości naiwnej, w których dramat dla ludów jest potrzebą, chlubą i potęgą.

*Philarète Chasles.*

(*Revue des deux mondes* 1840.)

---

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

III.

**S Z T U K I.**

## I.

### WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH PARYZKA 1840.

Ażeby dać wyobrażenie czytelnikom naszym o obrazach i rzeźbach wystawy tegorocznej paryzkiej, wyliczym znaczniejsze i przywiedziem zdanie o nich P. Gustawa Planche, wyjęte z artykułu jego w *Revue des deux Mondes*, opuszczając to tylko, co albo niezrozumiałém, albo mało zajmującym byłoby, dla tak nieoswojonych z dziełami sztuki i sądem o nich, jak my dotąd jesteśmy.

— „Portrety P. Hornung z Genewy, okrzyczane były oddawna, pisze autor artykułu, zcuda, mające w sztuce prawdziwą uczynić rewolucyą; mówiono że nigdy nic podobnego nie wyszło z pod pędla Titiana, Rubensa i Van Dycka. Z wielką uwagą przypatrywaliśmy się portretom P. Hornungi przekonałiśmy się, że w istocie szkoła Wenecka i Antwerpska nic podobne-

go nigdy nie wydały. Z nadesłanych dzieł P. Hornung, nie ma jednego, któryby się dał porównać z Titianem, Rubensem lub Van Dykiem; w tém przystajem na zdanie wielbicieli P. Hornung. Szkoły Wenecka i Antwerpska zalecają się szczerością, prawdziwością kolorytu; starają się twarzy ludzkiej nadać pewien charakter wielkości, idealności; — nic podobnego nie znaleźliśmy w portretach, o których mowa. Przyznajemy chętnie, że one z cudowną cierpliwością i bardzo zręcznie są wykonane; ale nie ma w nich sztuki pojętej tak, jak ją pojmowali owi wielcy malarze, których imiona wspomnieliśmy. Ciała (Karnations, chairs) P. Hornung wszystkie są koloru spalonej kości, a włosy i brody podobne drutom; nic naturalnego. Gdyby nawet P. Hornung najdokładniej oddał wzory swoje, daleko by był jeszcze od Titiana, Rubensa i Van Dycka, którzy nie mieli jedynie na celu ściśle wzorów swoich wynasładowywać. Wszyscy więksi artyści pojęli to, że aby walczyć z naturą, potrzeba ją wykładać swobodnie, nie niewolniczo naśladować. P. Hornung daleki jest nawet od dokładnego naśladowania, oryginały jego portretów nie mogą żyć i exystować; bo nigdzie na świecie nie ma twarzy z kości i włosów drucianych. Dla nadania portretom swoim charakteru prawdy, P. Hornung studiował twarze za pomocą szkła powiększającego, szukając w nich

najmniejszych drobnostek; spisał inwentarz wszystkich marszczków, plamek i brodawek; a przyjaciele malarze nie mogli nie uwielbiać go. Ale malarz nie powinien wdawać się w inwentarze; plamy, brodawki i marszczki nie są dla niego najważniejszą rzeczą. W niejednym portrecie P. Hornung usta podobne są do zapleśniałego starego muru, skronie okryte górami, wyściami. Bardzo być może, iż familia oryginałów tych portretów płacze z radości na widok tak doskonałych kopij dziadunia lub babuni; lecz ci którzy sądzą portrety jako dzieła sztuki, zmuszeni są wyznać, że uwielbienie P. Hornung niezmieennie przesadzono. Drogie to są dary cierpliwość i zręczność, ale tego jeszcze nie dosyć.

Jeśli P. Hornung chce zostać przy pozyskanej sławie, niech więcéj nic nie przysyła na wystawę do Luwru.

Dziesięć portretów Champmartina, nie warte są poprzedzających dzieł jego, któremi sławę pozyskał. Kiedy P. Champmartin malował pierwsze swe portrety tak sprawiedliwie uwielbiane, starał się urozmaicać sposoby, w miarę rozmaitości swych wzorów; każda głowa była dla niego nowém studium. Chociaż oddawna pewny był swéj ręki, chociaż pęzle były mu posłuszne; sam nie łatwo swoją robotą się zadowalał, a publiczności dobrze

z t $\acute{e}$ m było. Dzisiaj P. Champmartin nie dość jest surowym sędzią dla siebie, zaniedbuje rozpoznania charakteru specjalnego głów, które za wzór bierze. Gdyby się przywiązywał do cierpliwego studiowania każdego wzoru z osobna, portrety jego nie tylko byłyby podobne, byłyby lepsze pod względem sztuki, boby miały sobie właściwą indywidualność; za różnorodnością linii, poszłoby urozmaicenie kolorytu i tonów. Nadesłane dzieła P. Champmartin dowodzą pewnie wielkiej biegłości, ale są widocznie niedokończonemi, niekompletnemi, (portrety te są PP. Henriquel Dupont, Emile Deschamps, Ricourt, Jules Janin, Eugene Delacroix etc. etc.)

P. Amaury Duval, zaślepiony pochwałami swoich przyjaciół, coraz się bardziej oddala od natury i prawdy. Portrety jego PP. Alexandra Duval, P. Barro i Pani Menessier Nodier, wszystkie mają jedne wady. Każdy z nich wedle jednostajnego narysowanego systematu, każdy ma też same błędy. Nic już nie mówię o szarym nieożywionym ich kolorycie, bo P. Duval, jako uczeń P. Ingres, uważa koloryt za rzecz zbyteczną, a nawet szkodliwą czystości stylu i wzniosłości myśli; ale cienie są aż do śmieszności poprzესadzane, a rysunek nie wytrzymuje rozbi $\acute{e}$ oru.

Portret Pani Oudine, przez Hippolita Flan-



drin daleko jest lepszy od wszystkich P. Amaury Duwal. Kolorytowi brak wdzięku, ale maska twarzy modelowana śmiało. Pomimo błędów rysunku, nie jest ta sztuka bez zalet.

Portrety Pana i Pani Aguado przez P. Cornu z wielką odrysowane biegłością. W obudwóch jednakże ręce źle położone, rysują linie niekształtne.

Portret panny Rachel (artystki dramatycznej) przez P. Charpentier dość niedokładnie przypomina barwę i wyraz jej twarzy. P. Charpentier nie chciał literalnie wynaśladować wzoru swego, była to myśl sama z siebie dobra; ale zdecydowawszy się na wolne tłumaczenie tej twarzy, powinien był usiłować dójść jej charakter wyłączny i logicznie uczynić go wyrazistym, nawet nieco przesadzić, byleby był dobitnie oddany. Tego nie uczynił, nie ma w tym portrecie tej ironii i lekkiej wzgardy, które są właściwe twarzy P. Rachel; — portret P. Charpentier wyraża tylko znudzenie. Linie twarzy są czystsze, poprawniejsze niż w naturze; ale wyraz zniknął. Toż samo zarzucić można portretowi P. Guyon, którego oryginał więcej ma siły i energii niż zadumania; a portret rozmyśla ale nie okazuje siły. Jeśli autor życzy pozyskać sławę trwałą portrecisty, powinien się odzwyczaić od tych zdrobnień wyrazu; bo portrety PP. Rachel i Guyon, więcej-

by nierównie warte były, gdyby P. Charpentier wydał w nich charakter zwyczajny swoich wzorów.

Portrety P. Dubufe przechodzą niezgrabnością i poczwarnością swoją, wszystko cośmy dotąd widzieli. Trudno sobie wyobrazić rysunek śmieszniej fałszywy, koloryt tak bezwstydnie nienaturalny. Kobiety P. Dubufe nie mogłyby ani wstać, ani ręki podnieść; pochwały, które im powszechnie oddają, dowodzą, że we Francyi uczucie sztuki nie jest tak powszechne jak mniemamy; bo P. Dubufe nie jest nawet malarzem. U niego najpiękniejsze twarze nabierają wyrazu dziwnego, najdelikatniejsze usta, najwięcej znaczące spójrzenia, stają się pospolite, trywialne. Mówmy szczerze, popularność P. Dubufe, oczywista, niezaprzeczona, jest istnieniem zgorszeniem. Nie ma oberży wiejskiej, którejby szyld rysunkiem i kolorytem, nie przechodził portretów P. Dubufe. Póki P. Dubufe nie przestanie malować, póty krytyka nie przestanie powtarzać, że jego portrety są poczwarne i okropne; nie przestanie objaśniać tych, dla których sztuka nigdy nie była zajęciem, tylko zabawką, że P. Dubufe nie umie rysować głowy ani ręki, że oczy jego portretów nie patrzą, palce nie mają składów, usta nie mogłyby się otworzyć, że, наконец dzie-

ła jego, są jakąś generacją potwor bez imienia, niemających podobieństwa do rodu ludzi.

*Sprawiedliwość Trajana*, P. Eugeniusza Delacroix jest najpiękniejszym obrazem tegorocznej wystawy. Łatwo byłoby w tém dziele okazać kilka wad rysunku; lecz wady te, wynagrodzone są pięknościami pierwszego rzędu, znajdującemi się w obrazie. Drugi i trzeci plan obrazu, przypominają najpiękniejsze tego rodzaju dzieła szkoły weneckiej. Ozdoby architektury pomyślane są i oddane śmiało, z prostotą, harmonijnie, i przypominają wszystkim obraz *Wesela w Kanie a*). Jeśli to prawda, jak zapewniają, że *Sprawiedliwość Trajana*, z trudnością została przyjętą do wystawy i to większością jednego tylko głosu; ubolewać musim nad zaślepieniem członków czwartej klasy Instytutu, z których żaden wykonać nie podobnego by nie potrafił, a tém mniej pomyśleć. Nie wiele potrzeba umieć, aby okazać błędy rysunku pierwszego planu tego dzieła; nie największej potrzeba biegłości, żeby się dopatrzyć w czém koń Trajana jest źle narysowany; lecz ażeby skupić w jedno wszystkie części tego o-

---

a) Domyślamy się, że tu mowa o sławnym obrazie *Gód w Kanie Galilejskiej* przez Pawła Veronese, znajdującym się w Galeryi Drezdeńskiej.

brazu, ażeby stworzyć ten tłum patrzący i słuchający, trzeba szczególnego, rzadkiego talentu, trzeba daru niebios, którego nigdy nauka nie zastąpi, trzeba uczucia wielkości i siły. Prawdziwie tylko godny nazwiska malarza człowiek, mógł pomyśleć ten obraz; toteż najsurowsza krytyka, nie przecząc błędom rysunku pierwszego planu, wskazuje go jednak powszechności, jako wyborne dzieło. Wady są niezaprzeczane, lecz piękności także pierwszego rzędu. Nic w tym obrazie nie ma dzieciennego, wymuszonego; wszystko śmiałe, pewne; niepodobna nie chwalić, gdyż dzieła tego rodzaju rzadkie są dzisiaj bardzo.

*Otwarcie Izby Stanów (Etats-Généraux) w r. 1789.* P. Couder, ma kilka części dokonanych szczęśliwie, kilka grup wybitnie i naturalnie zarysowanych; nadewszystko zręcznie nacechowano (tiers-état) średnią klasę. Lecz ogół kompozycyi, nie jest wcale zaspokajający; mieszanina kolorów białego i fioletowego, nadaje obrazowi szczególniejszy pozór, jak gdyby miał wyobrażać śniegi. Dodajmy do tego, że osoby są rozrzucone przeciw prawidłom wszelkim, a między nimi zostające tu i ówdzie otwory, przeciwią się harmonii linearnéj. Jeśli to wypadło z programmatu danego P. Couder, wina programmatu. Bardzo być może, iż obraz ten zgadza się z dyaryuszem posiedzenia i opisem

jego, ale przeciwi się przepisom sztuki. Trzeba było dając przedmiot malarzowi, zostawić mu swobodne wykonanie i ułożenie myśli, wedle wymagań i prawideł sztuki.

*Le 18 brumaire* P. Bouchot, niższy od poprzedzającego obrazu, podobne nastrocza uwagi. Autor *Pogrzebu Jenerata Marceau*, musiał także mieć sobie wskazany nie tylko przedmiot, lecz sposób ukazania go. Głowa Bonapartego nie dobra; lecz tyle jest dowodów talentu w tym obrazie, iż należy sądzić, że P. Bouchot byłby nierównie lepszy obraz zrobił, gdyby go nie krępował programmat.

*Śmierć Prezydenta Brisson* P. Alexandra Hesse, nie ma zupełnie stylu; gdyby nie katalog obrazów, niepod obnaby zgadnąć do jakiej klasy należą wystawione tu osoby. Głowy wszystkie niezmiernie pospolite.

Jeśli, jak powiadają, Belgowie unoszą się nad talentem P. Keyser, musieli przestać już czuć Rubensa, bo *Bitwa pod Woeringen* tego malarza, jest to zbiór najpospolitszych rzeczy, nic nieznaczających a źle odrysowanych. Płótno całe zabite a nie napelnione; wzrok nie wie gdzie spocząć i nie spotyka jednej postaci, któraby go zastanowiła śmiałością obrysów lub wdziękiem kolorytu; są obicia pokojowe nierównie wyższe od tego obrazu.

*Colloquium w Poissy* P. Roberta Fleury, przed-

stawia zbiór głów słuchających uważnie i kształtnie modelowanych; scena jest dobrze pojęta i oddana w sposób dla patrzących zajmujący. Obraz ten, nierównie jest od innych tegoż autora, wyższy. Można by zarzucić P. Fleury, że wszystkie jego osoby są na jednym planie, lub mało co dalej; można by zarzucić, że sala nie jest głęboka; lecz pochwalić należy różnorodność wyrazów twarzy, chociaż patrzącego uwaga nie rozerwana jest żadnym epizodem dziecinnym. Widać że autor usiłował wydać rzecz jak najlepiej i okazać o co chodzi tym zgromadzonym, widać że sam sobie surowym był sędzią. Koloryt obrazu nie ma nic wdzięcznego; lecz całość harmonijna. Piewszy to obraz tej wagi P. Roberta Fleury.

*Święty Jan* P. Gleyre, zasłużył na tę, jaką pozyskał wziętość; głowa, ręce, draperya studiowane są pracowicie, i biegle bardzo wykonane. Koloryt silny, rysunek poprawny, poruszenie naturalne. Głowa, oświecona z przodu, wyraża doskonale zachwycenie, w którym S. Jan zostaje; pod względem naturalności, cała maska twarzy godna pochwały, lecz może nie dość idealna. Wyraz bardzo dobry; ale linie nie mają tej prostoty i wzniosłości, którejby wymagać należało. Taki jednak jak jest, ten obraz wart jest, aby zwrócił uwagę, bo dowodzi wielkiego talentu w exekucyi i śmiałości

peźla; któraby w większych posłużyła lepiej obrazach. Mimo braku idealności, widoczna jest że P. Gleyre ma talent do przedmiotów religijnych; w postawie (*attitude*) i draperyi Ś. Jana jest ta wzniosłość stylu, której biblijne przedmioty wymagają.

Z trzech pejzażów P. Corot, jest jeden, którego układ nie niepozostawia do życzenia; ten to, którego nazwano: *Zachodem słońca*; ziemia, drzewa, niebo, pastuszek, składają całość harmonijną najsurowszych zachwycającą sędziów. Jest to pejzaż, na którego miło było często spoglądać. Nigdy dotąd P. Corot nie potrafił tak dobrze wyrazić swęj myśli; szkoda że częściowa *execucya*, nie odpowiada pomysłowi. *Masy* drzew są dobre, ale patrzeć na nie z bliska nie można, tak niezgrabnie i bezsilnie wydano pnie, gałęzie i liście; postać pastuszka wybornie umieszczona, odrysowana nienajlepiej. Jednakże, pejzaż ten ogólnie wzięty jest wyborny; jest to prosta starożytna sielanka.

Obrazy P. Marilhat niższe są od poprzedzających dzieł tego autora. Dla uniknienia ostrości tonów (*crudité de tons*), które mu w początkach wymawiano, rzucił się w jakąś do żadnej szkoły nie należącą *execucyą*, nie odznaczającą się ani kolorytem, ani rysunkiem; zdaje się że jak najdalej ucieka od oryginalności; przerzuca swoje kartony i kopiuje szkice Wschodu, nie

zadając sobie pracy układania obrazu. Jeśli P. Marilliat nie poprawi się, pewnie wszyscy zapominą o jego początkowych pracach.

*Widok Zamku Arques* P. Pawła Huet w znacznej części jest dobry; zdaje mi się, że mogę pochwalić z wszelkiem bezpieczeństwem koloryt wzgórza, nieba i nieba, ale niepodobna mi zgodzić się na drzewa umieszczone na przedzie obrazu; tony tu tak są surowe, że robią widoczną plamę. Szanując kontrast, którego P. Huet chciał zachować między drugim a trzecim planem obrazu, zdaje się, że można by jednakże drzewa uczynić lżejszemi i nie tak ciemniemi.

Pełzaże P. Cabat, nie równają się jego poprzedzającym, a w miarę jak powiększa swe kompozycje, widoczniejsze stają się wady. Obląkany zamiłowaniem dokładności, sądzi się ohowiązanym zarówno wykończyć wszystkie plany obrazu; tak na przykład w widoku *Jeslora Némi*, głębi jest równie wypracowany jak przód, co efektowi szkodzi. To przywiązanie się do wykończenia bardziej jeszcze nie może uderzać w obrazie nazwanym *Samaritaninem*. Droga idąca po prawej stronie obrazu, od przodu w głębi wszędzie jest równie skończona, i dla tego zdaje się cała równie blisko patrzącego. Lewa strona wykonana jest z rzadką zęcznością; ale jakiegokolwiek są zalety tej kompozycy, zdaje się, że nie tak wielki obraz, pełzak jest



za mało znaczący, zmniejszony do dwóch trzecich lepiejby się wydawał. Co się tycze paraboli, którą P. Cabat mniema, że zamknął w tym widoku, zdaje się że ona źle z nim się łączy. Gdy Poussin historyczny pejzaż układa, stara się zawsze umieścić osoby swoje tak, aby w nim były potrzebne, konieczne; usunąwszy je obraz nie byłby kompletny. W *Samarytaninie* P. Cabat, wprowadzone osoby nie tylko nie są konieczne, lecz nie są wcale potrzebne; czy są czy ich nie ma, pejzaż ma też samą wartość i myśl. P. Cabat ma więc uczyć się jeszcze dwóch rzeczy, optyki i poetyki pejzażu; potrzeba aby się zastanawiał nad odległościami, gdy wykończy, aby się nauczył sztuki trudnej wiązania pejzażu z osobami, któremi go ożywia.

*Widok Konstantynopola* P. Gudin, już żarciem jakimś, podobnym do przeszłych improvizacyi tegoż autora. W obrazie tym, którego kolorytu niepodobna oznaczyć, nie można także znaleźć jednego wyraźnego kształtu. P. Gudin zrobił z Konstantynopolem to, co wprzód czynił z Włochami; obraz tegoroczny nie nauczy nic tych, którzy nie widzieli, nie przypomni tym, którzy widzieli; kolor świeżego maseła rozlany po całym płótnie, nie maluje żadnego klimatu; jest to kompozycja ze zbyteczną dokonana łatwością.

*Port Marsylski* P. Eugeniusza Isabey, jest

jednym z najlepszych jego dzieł; wody są doskonale naturalne, okręta cudownie zręcznie wykonane. Szkoda że kształt obrazu szkodzi efektowi kompozycji i lepiejby było ująć jedną trzecią jego wysokości.

*Strafford* Pawła Delaroche, sztychowany przez Henriquel Dupont, jest arcydziełem wykonania, dokładności, czystości rysunku; wszystkie części tej blachy są wykonane z największym staraniem i rzadką zręcznością. Głowy, ubiory, kamienie, wykonane są tak delikatnie, że niepodobna byłoby nic doskonalszego zrobić. Same pochwały winniśmy P. Dupont, lecz zdaje się nam, że każdy wpatrzwszy się w ten sztych, przekona się o małej wartości kompozycji P. Pawła Delaroche. Sztych jest próbą stanowczą, której obrazu podrzędnej wartości nie wytrzymują bezkarnie. *Strafford* jest obrazem, w którym P. Delaroche najwięcej okazał talentu częściowej ekzekucyi; ale obraz nie wiele przez to znaczy i w sztychu ta czczość jego najmocniej się wydaje. P. Dupont uczynił co tylko mógł, nie potrafił jednak rylcem swoim dopełnić, czego tu brakło.

Portret P. Guizot sztychowany przez Calamatta, jest godzien artysty, który tak wybornie oddał *Ślub Ludwika XIII*. Maski twarzy i ręce są oddane z giętkością i naturalnością, nie niezostawującą do życzenia. W reszcie posta-

wy, P. Calamatta usiłując nadać koloryt właściwy draperyi, poświęcił rysunek i chybił. Należą mu się pochwały za zwycięskie oddanie dziwnego wymysłu P. Delaroche, który głowę na tle marmurowym (1) umieścił; worygi-pale była to śmieszność, w sztychu jest dowodem biegłości niepospolitej. Na autora obrazu spaść także powinny zarzuty, chybiłnego rysunku twarzy, którego Calamatta wiernie oddał.

*Przemienienie*, sztych P. Desnoyers, jest dziełem sumiennem, godnem pilnego zastanowienia. Autor starannie oddał obrys i wyrazy każdej głowy; i pod tym względem sztych P. Desnoyers wyższy nam się zdaje od Raphaela Morghena a). W sztychu jego, niebo, ziemia, ubiory

a) Znamy bardzo dobrze sztych Raphaela Morghena, znajduje się on w *Musée-Napoleon*; ale znawcy zaspokoić nie może. Gdyby chodziło tylko o delikatne wykonczenie, o jak najdelikatniejsze cięcia, ryłca, naówczas wyznalibyśmy, że sztych ten dość jest dobry, lecz szukając wyrazu i ogólnego efektu, trudno go pochwalić, choć sławne imię Raphaela Morghena wymaga tego koniecznie. Widać z tej blachy, że ją sztycharz z wielką pracą, cząstkowo wykończył, ale się nie zastanowił nad nadaniem obrazowi harmonijnej całości. — Każda postać zdaje się skądś inąd wzięta i jedna z drugą nie godzą się. Twarzę z bliska widzianą nie tylko, nie ma ją wyraża, lecz znaczącymi błędami rysunku bija w oczy.

i głowy oddane są jednostajnym sposobem (pro-cédé); cała blacha jest jakby jedną siatką pokryta. P. Desnoyers zastosował rylec swój do przedmiotów, które oddawał, sztych też jego zaleca się wyrazistością niepospolitą. Draperye tylko trochę są ciężkie. Ażby osądzić ostatecznie o sztychu, trzeba by widzieć dzieło Raphaëla. Zdaje mi się wszakże, że w obrazie jego, większa być musi harmonija kolorytu, niżli się jęj z tłumaczenia P. Desnoyers domyślać można.

*(Dalszy ciąg o wystawie dzieł rzeźbiarstwa  
nastąpi w drugim tomie.)*

Przytém wszystko jest ostre, twarde i ciężkie, nie się nie złowia, nie łęczy; nie wiem czy nie zbyt znaczne wysilenie sztycharza, było przyczyną, że mu się oalkowicie nie udało jego tłumaczenie.

*J. Ig. Kraszewski.*

## II.

### **WYNALAZEK DAGUERRA I LIEPMANA UWAGI.**

---

Dwa nowe wynalazki mechaniczne, będą niechybnie miały wpływ znaczący na sztuki graficzne. Daguerrotyp i machina Liepmana do kopijowania obrazów olejnych. Niektórzy uważają je za zgubne dla sztuki a bardziej jeszcze dla artystów; lecz w tej myśli jest równy przesąd, jaki dawniej w wynalazku machin parowych, przędzalni, warstatów etc. wskazywał same dla społeczności szkody. Biorąc na uwagę, że mechaniczna, bezmyślna część sztuki nie przez człowieka wykonywaną już będzie, musimy wyznać, że cała ta rzesza kopiistów, artystów bez talentu, wyrobników, nie będzie miała chleba. Lecz jestże z tém gorzej? Artysty imienia tego niegodni, obrócą się do innych zatrudnień, staną na właściwym sobie miejscu. Codzieln się mnożą wymyślne potrze-

by życia towarzyskiego, — będzie zawsze co robić i czem się zatrudnić.

Wynalazek Liepmana naszym zdaniem płodniejszy jest w skutki od Daguerrotypu. Wyroby tego ostatniego dotąd dość kosztowne, służą tylko za studia szczególnej dokładności dla artystów. Jeśli, jak ciągle mamy nadzieję, przyjdzie do użycia papieru zamiast blaszek, zawsze nie zniży to tak dalece ceny wyrobu, aby ten miał być popularniejszy od sztychów i bardzo już tanich a przystępnych wszystkim litografij. Tak więc Daguerrotyp, może się przyłożyć do nadania sztuce więcej trochę dokładności w exekucyi, o co podobno nie wiele tu chodzi — i na tém koniec.

Wynalazek Liepmana zniżając cenę obrazów olejnych (dotąd tak drogie nawet w dobrych kopijach), doprowadzając kopiją do tego stopnia doskonałości, o jakim mówią; przez to samo upowszechni dzieła sztuki, poda środki upopularyzowania jej. Jest to bardzo wiele. Każdy będzie mógł mieć za małą cenę to, co dawniej kosztowałoby monarchiczną fortunę (świadkiem owe tak drogie arcydzieła Galeryi Drezdeńskiej); każdy będzie mógł w domu zapatrywać się wygodnie na to, co wprzód albo w niedokładnym i zimnym widział sztychu, albo daleko odbywał pielgrzymkę, aby ujrzeć.

Powtarzamy, jeśli tylko fama o wynalazku

tym nie za wiele mówi (jak często w początkach bywa), stanowić on będzie epokę w historii sztuki. Dagnerrotyp udoskonala pejzaż pod względem podrzędnym dokładności (mijamy inne jego nie artystyczne użytki) — machina Liepmana rzuca w obieg arcydzieła, czyni je popularnemi, przez to samo rodzi zamięłowanie powszechniejsze sztuki.

Nie potrzeba się lękać, aby te wynalazki artystów zabić miały, jak niektórzy mówią. Są to zawsze tylko maszyny bez myśli; a póki w sztuce potrzeba będzie myśli i uczucia, póty jeden tylko człowiek artystą być potrafi. Prawda, że cała czereda mierności, zabita; ale tego nie wielka szkoda. Z mierności tych chociaż wyrabiają się talenta przez pracę; tych jeśli zaród jest w młodych artystach, nie go nie zniszczy.

Czy wynalazek Liepmana zniży w ogólności cenę obrazów, a mianowicie starych? To się nie prędko pokaże. Albo upowszechnienie kopij, zabije oryginały (jeśli kopije będą im równe) albo jeszcze wyżej ich cenę podniesie. Przewidujem jak kompletne będą teraz Galerye!! Ile druk wpłynął na literaturę, tyle prawie wpłynie ten wynalazek na losy sztuki. Żytych bowiem najdoskonalszy nawet, jest zawsze bardzo tylko słabym odbiciem obrazu; ten kolorystyczny, którym dają starają się satysfakcje

brak istotnego zastąpić, jest ledwie wskazówką, sztych jest zawsze trochę abstrakcją; nie okazuje też mechanicznej doskonałości artysty; która w pewnym względzie jako malująca jego charakter i stopień ukształcenia interesuje przynajmniej lubowników i znawców. Są obrazy mające wartość niezaprzeczoną (większa część pejzażów), których jednak efekt, znaczenie, myśl nawet zależą od kolorytu, że poznanie ich prawdziwe, winni dopiero będziemy wynalazkowi Liepmana. — Ocenienie także szkoły flamandskiej pod względem exekucyi i kolorytu, pocznie się u nas i po innych krajach, gdzie sztuki mało kwitną, od daty poznania ich, że tak powiem w oryginałach.

Jakże się nie cieszyć, jak nie weselić myślą, że sztuka dotąd kryjąca się po pracowniach artystów i pałacach możnych, zejdzie do wszystkich; że nowy zmysł, nowa rokosz, przybędzie biednym ludziom.

Lecz czekajmy. Może też za nadto łatwo wierni, gdy dziś tak skąpą, ostrożnie gazetom i doniesieniom wiarę dawać należy; może roim to, co nie przyjdzie do skutku, z powodu że wynalazek mniej jest doskonały, mniej rozległych wpływów na przyszłość, niżeli nam go opisują. Czekajmy więc; — według świeżych wiadomości Rząd ma zakupić sekret i ogłosić go. Będzie to prawdziwie godnym największej wdzię-



czności. Wynalazek taki zmieniony w monopolium, nie będzie mógł mieć rozległych skutków; ścieśniony, zprofanowany u źródła, nie wyda owoców. Zakupi go banda przemysłnych i zbuduje na nim fortunę! Jeśli w czém, to w upowszechnianiu wynalazków wielkiej pod jakimkolwiek względem dla społeczności wagi, okazują Rządy swoją pieczołowitość o dobro powszechne.

Bodajby wszyscy składać się mieli na zapewnienie nagrody pracowitemu i tyłą ofiar znękanemu artyście. Lepiejby dać na to, niż na pomnik dla niego po śmierci; bez którego prawdziwie wielcy ludzie się obchodzą, a miernym nie na wiele się on przyda.

Zniecierpliwością oczekują wszyscy, których obchodzą sztuki, rozwiązania zagadki, odkrycia sposobu a nadewszystko objawienia się wpływu, jaki mieć musi koniecznie tak ważny wynalazek. a)

Gródek d. 5 Sierpnia. 1840.

*J. I. Kraszewski.*

---

a) Sposób jakim Liepman działa, jest ogólnie wiadomy i to jest zasada jego; ale wiedząc wszystko co dotąd o tém wiedzieć można, trudno wszakże pojąć, jak w sześć godzin osoba nieznająca rysunku, pięćdziesiąt kopij nieustępujących w niczem oryginałowi zrobić może. I. K.

---

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

IV.

# **ROZMAITOŚCI.**

## **SPÓJRZENIE NA DZISIEJSZĄ LITERATURĘ POLSKĄ.**

---

Dosyć pocieszający jest widok stanu literatury polskiej w teraźniejszych latach. Nie chcemy przesadzonemi pochwały usypiać działalności ledwie budzącej się naszych pisarzy; owszem radziłyśmy zapisując i rozpoznając wyraźny postęp i ożywienie dodać tém bodźca. Bo to co czynim, cośmy uczynili, wiele jest gdy patrzymy tylko na samych siebie, mało bardzo gdy się porównamy z innymi, nawet słowiańskiego szczepu literatur postęпами. Nie chcemy więc zakładać już rąk i mówić sobie: Wieleśmy zrobili, dosyć uczyniliśmy. Owszem pracujemy goręcej jeszcze, jedni drugim dodając odwagi i ochoty.

Od lat kilku dawały się czuć w literaturze, jak przed porodem, poruszenia pewne, dowodzące brzemienności. Tam i sam wyrwały się oderwane głosy. Skarżyliśmy się na brak piszących, na małą czytających liczbę, na tłumaczenia zalewające prassy xięgarskie. Ten głos był dowodem uczucia swojego stanu i proroctwem mających powoli zająć odmian. Jakoż, wśród powtarzających

się żalów i sarkani, wzięto się do pisania (więcej jeszcze niż do czytania podobno), niektóre domy dając dobry przykład, dozwoliły sobie na dziesięć tomów francuzkich, kupić dwa polskie przynajmniej i odważyły się kłaść je otwarcie na stolikach salonu! Wszyscy jednogłośnie bijąc na zamięłowanie zbytczne w literaturze francuzkiej, osłabili wręście smak do niej przynajmniej w klasie średniej; wyrodził się wstyd uczciwy, a za wstydem przyszła jeśli nie cała, to przynajmniej częściowa poprawa. Krajowa literatura więcej osób obchodzić zaczęła; co się jawnie pokazuje z tego, że nowe publikacye polskie mają czytelników i konsumentów, a więcej wartające dzieła, doszły w krótkim czasie drugich wydań. Po większych miastach ożyły polskie księgarnie.

Nie myślemy tu kręślić historii kilkoletniego kolejnego postępu i wyliczać wyszłych w tym przeciągu czasu dzieł, już to że artykuł nasz stałby się przez to nadmiar nasz obszerny, już to że trudno jest do takiego przeglądu zebrać materiały, gdy dotąd nie mamy żadnego bibliograficznego dziennika, któryby się skrzętnie trudnił spisywaniem wszystkich dzieł polskich nowo-wyszłych. Taka kronika literacka jest bardzo pożądaną. Wprawdzie niektóre pisma peryodyczne urywkowie ogłaszają nowe dzieła, ale nie zajmując się tém wyłącznie, publikując tylko to, co je przypadkowo dochodzi, nie mogą zupełnie zadość uczynić potrzebie zgromadzenia w jedno, wiadomości o wszystkich nowych pismach.

Abyśmy dali, choć lekkie wyobrażenie stanu bieżącej literatury, przejrzymy głównejsze ogniska, z których wychodzą nowe dzieła nasze, poczynając od najbliższego nas, Wilna.

Tu, poczniemy od publikacyj Zawadzkich. Główną jest *Obraz bibliograficzno-historyczny literatury i nauk w polsce*, wydawany przez *A. Jochera*, którego tom pierwszy całkiem ukończony. O tém dziele mowiliśmy już tyle razy <sup>a)</sup> że na nowo tu sądzić je i chwalić nie widzimy potrzeby. Zwrócim tylko uwagę czytelników na to, jakiej ślachtetnej odwagi, jakiej wiary w naszą publiczność potrzeba było (a taka wiara zaszczyt ludziom czyni) aby dzieło, niesłychanych kosztów redakcyi i wydania, zbioru materiałów ogromnego, podruży, starań tylu wymagające, ośmielić się wydawać u nas, gdzie, co tylko trąci nauką, poważnym wykładem, tak ciężko przystaje do głów większości, uważającą literaturę za zabaweczkę.

Drugim większém nakładu Zawadzkich dziełem, są *Wizerunki i roztrząsania naukowe*, których Redaktor *I. Szydtowski*. Zbytecznaby była o tém mówić, mają już *Wizerunki* ustaloną wziętość i zasługi swoje, ogłosiwszy tyle ważnych artykułów obchodzących krajową historią i literaturę. Nowa przedmowa Redaktora przy trzynastym tomiku nowego pocztu, tak wybornie pomyślana, plan nowy na przyszłość temu pismu zakreślająca, napisana z szczególną prostotą i wdziękiem a powagą, na największe zasługuje pochwały. *Wizerunki*, zastępujące w Wilnie brak pisma peryodycznego literackiego, wybornie pomyślanym planem i Redaktora i nakładzcę chwałą. Oprócz tych dwóch dzieł, wychodzi u Zawadzkich: nowe wydanie *Słownika Łacińsko-polskiego X. Floryana Bobrowskiego*; a niedawno ukończone zostały, *Kazania wzorowe*. Długo oczekująca nakładzcy nasza *Historja Wilna*, której

---

a) Patrz Tygodnik Petersburski.

ledwie Tom pierwszy z tysiącem omyłek wydany został, a dalszych tomów wyjście, zbieg okoliczności tamował — znalazła także u Zawadzkich ochotne przyjęcie. Pierwszy jej tom ozdobnie wydrukowany, wyszedł już, inne gotowe do druku, wkrótce się po nim ukazą. Dwa tomy zbioru pod tytułem *Rusalka*, zawierającego prozę i poezję ukraińców, wołyńiaków i podolan, wyszły tu w latach 1838 i 1839. Trzeci oczekiwany.

U Zawadzkich wychodzą także *Spomnienia Olizara*, (wyszedł zeszyt 1-szy) ukazały się *Obrazy Litewskie* przez I. Chodźkę; Nowe poezye J. Korsaka we dwóch tomach, *Szkice obyczajowe i historyczne J. I. Kraszewskiego* (*Cate życie biedna. Mistrz Twardowski*). Prawdziwie ważnym jest nie wielki, ale pełen myśli drugi zeszyt *Obrazu myśli* przez Fl. Bochwica, który tu wyszedł; o nim czytaj artykuł M. Grabowskiego w Tygodniku. Nie wymieniamy innych publikacyj, albo ściśle naukowych, albo utilitarnych i mniej literaturę obchodzących.

Spodziewane są też z pod prass Zawadzkich, poezye A. Spasowskiego, który częściowo znajomy jest z umieszczanych dawniej w pismach peryodycznych Wileńskich, potem w Tygodniku.

U T. Glücksberga ciągnie się dalej *Encyklopedia Powszechna*. Dzieło to, jest myślą obcą, na naszą ziemię dość szczęśliwie przesadzoną. Właśnie temi czasy ukazujące się zbiory podobne niemieckie, francuzkie, angielskie, rossyjskie, podały wydawcom myśl ich dzieła. Dokonanie w początkach słabsze było niż teraz, lecz pod ostatnim Redaktorem w Wilnie, gdy artykułów oryginalnych coraz znaczniejsza liczba przybywać zaczęła, *Encyklopedia* widocznie się ulepszyła, mianowicie

wszystkie artykuły o Litwie odznaczają się wielką nauką i nowym ~~wcale sposobem~~ <sup>nowym</sup> widzenia rzeczy. Spodziewamy się że ta publikacya, ulegnie jeszcze odmianom na lepsze, co daj Boże. Tak powolnie redagowana, ta publikacya ma czas zebrać się na siły i materiały zgromadzić. Teraz dla przyspieszenia wychodzi razem w Warszawie i w Wilnie. Oprócz Encyklopedyi, powzięli bracia Glücksbergowie olbrzymi pomysł, wydania nowego wszystkich klasyków polskich, pod tytułem i na wzór *Pantheonu* nie dawno ukończonego we Francyi. Na ten cel nawet, dla pospiechu sprowadzono nową kosztowną prasę, która 12,000 arkuszy w dzień odbijać będzie. Mają także wydawać *Niesieckiego*, wielce zapewne pożądanego dla wszystkich, byleby redakcyja lepiej była pojęta, niżeli N. Bobrowicza, którego nowy Niesiecki, pięknnością tylko wydania się zaleca, a podrzędna bardzo zasługa.

Zresztą T. Glücksberg co do ozdobności swych wydań, nie ustąpi spodziewamy się zagranicznym, nie szczegółając kosztów na to. Świeży dowód w pięknej edycyi tłumaczenia Shakspeara przez J. Kefalińskiego, dzieło ważnem, którego ukazanie się, jest niejako dowodem, że się nam dopiero na istotne poznanie obcej literatury i reformę swojej, oczy otwierać zaczynają.

Zapowiedziano także wyjście u T. Glücksberga ważnego dzieła, *O stosunkach literatury narodowej z historią*, dalsze ciągi dzieła M. Gr.... *Literatura i Krytyka*, *E. Tarszy* autora *Koliszczyzny*, *Stannicę Hulajpolską*, której dwa pierwsze Tomy, wystawujące tak malowniczy obraz brzegowej ukraiiny, już wyszły, *Podróż X. J. Hotowińskiego do ziemi świętej*, odbyta w r. 1839, pier-

wszą pielgrzymkę ziomka naszego od czasów Radziwiłła; *Podole, Wołyn i Ukrainę, A. Przeddzieckiego, tegoż Próby dramatyczne, Poezye S. Konopackiego, Pisma przedślubne i przedślubowe, Johna of Dycalp*; Tom drugi przekładu Shakspearą, nowe wydanie przekładu Tomasza a Kempisa, trzeci zeszyt *Obrazu myśli F. Bochwica. Z dawniejszych wydań wspomnim ważne Pomysły Herdera.*

A. Marcinowski, dawny wydawca dziennika Wileńskiego, ciągnie dalej publikacją *Dziejów Litewskich T. Narbutta*, których wyszedł już tom dziewiąty, nad dziełem tem zastanawialiśmy się dawniej i tu nieco powiemy jeszcze. Jest to owoc pracy wielkiej, żmudnej, cierpliwości zasług pełnej, dzieło ważne dla historii Litwy, lecz mówiąc otwarcie, ważne tylko jako materiał bogaty. I sposób widzenia rzeczy autora i sposób obrobienia nie zaspakajają wcale. Pierwszy nadto technicznie łatwowiernością, prostotą, nadto z dzisiejszego stanowiska patrzy na wieki wcale innego charakteru; nadto *gabinetów, ministrów i widoków politycznych* miesza w działania XI, XII i dalszych wieków, nadto przypomina i odtwarza Strykowskiemu, z jego wszystkimi wadami, gadatliwością, łatwowiernością, gawędami o krytyce a brakiem istotnej krytyki; nadto lubi domysły, rozprawiania. Jak Strykowski pewien siebie staje przeciw wszystkim, mało rozbiiera źródła i ich autentyczność, gdy te jego tylko fantazyi i przedsięwziętemu systematowi dogadza, z którego nie go, nawet najjawniejsze dowody historyczne zwićć nie zdołają. Co się tyczy stylu, układu, literackiej wartości, o tych nie ma co i wspominać, bo P. Narbutt pogardził nimi widocznie i dziełu swojemu na-



dać inną nad historyczną wartość nie starał się. W pierwszych [w jeszcze tomach](http://www.litmatomach.waw.pl), więcej było użytych krajowych podań i wiadomości z naszych kronik czerpanych, w nowszych przemaszają źródła niemieckie, szczegóły z archiwów, zapomniane nawet o Strykowski, dla kroniki Litewskiej Bychowca, która jakkolwiek mogła być jednym ze źródeł kronikarza, nie godzi się wszakże na nią jedna spuszczać, zwłaszcza gdy jej wartości dotąd krytycznie nie oceniono. Trzymanie się zbyt wiele może źródeł niemieckich, jak wpływa na zmianę charakteru historyi, łatwo pojąć. P. Narbutt jakkolwiek nie nawidzi po litewsku krzyżaków, sam może nie postrzega jak ich proteguje czerpiąc z ich źródeł.

Tak więc dzieło P. Narbutta przyznając wielką wartość, musimy ubolewać, że tylko cennym być może, jako materiał, jako zbiór; wysoka zaś cena dzieła tak obszernego, musi je uczynić mało popularnym i nieprzystępnym dla wielkiej liczby czytelników. Sądząc, że liczba tomów *Dziejów litewskich* o połowęby się zredukować dała, gdyby autor nie zapędzał się co chwila w zbyt rozwlekłe gawędy, domysły i rozumowania.

U tegoż A. Marcinowskiego wyszły: *Przystawia ludu litewskiego*, przez X. L. A. Jucewicza, młodego litwinofila, który także wydał *Obrazy miejsc świętych z Michaud i Poujoulat*, a pracuje nad *Badaniami Starożytności litewskich* i układem Noworocznika *Wejdzalota*. Niecierpliwie oczekujem jego przybliżających *Rysów Żmudzi*, które nam nowy, dość nieznanomy świat odkryć powinny. Po X. L. A. Jucewiczu wyglądamy dalszych prac w przedmiocie litewskich starożytności, zwłaszcza, że i talent po temu i autor językiem, tak

mało u nas komu z piszących znanym, wprawnie włada, znając go doskonale.

Drukarnia *Blumowicza*, wydaje powolnie dziełka różnej treści i wartości. Tu wyszły tomy naszych *Wędrówek* i wkrótce wyjść ma *Poezyi* tom trzeci.

Mniejsze drukarnie wileńskie co roku wydają mnóstwo drobnych pisemek, po większej części tłumaczonych; odbijanych na bibule z tysiącami omyłek, które się rozchodzą razem z *Kalendarzami* *Manesa* i *Zymela*, na plecach żydków i wózkach podróżujących xięgarzy. Nie wspomnieliśmy nawet, o tej gałęzi dzikiej naszej literatury, gdyby coraz mnożąca się liczba wyrobów tego rodzaju, nie dowodziła w niższych mniej zamożnych klassach, rodzącej się potrzeby czytania.

W Warszawie literatura całę inny ma charakter, tu na pierwszym względzie jest spekulacya, książkę uważają za lepszy lub gorszy towar, dogadzający smakowi publiczności, lub zwietrzały — dla tego też Warszawskie publikacye po większej części są mdłe, a największy ruch i życie, objawiają się w literaturze peryodycznej.

*Przegląd Warszawski* (Review) którego już kilka wyszło numerów, czyni nadzieję pisma literacko-naukowego, zupełnie oryginalnego i krajowemi wyłącznie mającego się zajmować przedmiotami. Wydawcą P. Budzillowicz. *Przegląd* powstał na ruinach i na papierze dawnego *Muzeum Dmochowskiego*, które znikło (bez żalu wszakże) razem ze swoim wydawcą. Mówią, że F. Dm. . . . rzucając *niewdzięczną niwę* tak długo w pocie czoła uprawianą, poszedł pracować na inną i

sieje hreczkę. Oby mu się lepiej, niż jego tłumaczenia i recenzje udawała.

*Magazyn Powszechny* zapowiedział wielkie odmiany (malownicze publikacje wychodzą widocznie z mody) przyrzekają nadal więcej się swojakiemi przedmiotami zajmować i zmieniając się z *Magazynu* w rodzaj *Dziennika literackiego*. Spodziewamy się wiele po Redaktorze, którego imię jest rękojmią dla pisma. Nim jest P. Leon Roglaski. Nie czytaliśmy dotąd *Magazynu*, nie wiemy więc o ile słowa dotrzymał. Cena jego prenumeracyjna znacznie podobno niżona w widokach, że przez to popularniejszym się stanie. Nie można tego nie chwalić.

Wychodzą jeszcze w Warszawie *Muzeum śmieszności* i *Humorysta*, złe pojęte naśladowania tego rodzaju pism francuzkich i niemieckich (*Figaro*, *Charivari*, *Les Guêpes*.) Przez jakiś czas (parę lat) był i *Świat dramatyczny*, który nie złe rzeczy tłumaczył, ale oryginalnych artykułów, recenzyj teatralnych i t. p. prawie nie zawierał. Każda też z gazet politycznych, ma mniej więcej warte literacko-rozmaitościowe *Dodatki*, pod różnemi tytuły. Jedne składają się z kradzionych artykułów z lepiej redagowanych polskich dzienników, drugie z mizernych tłumaczeń, przeplatanych [czasem] recenzjami bez znajomości rzeczy i bez sensu. Jedna tylko podobno *Gazeta Poranna*, której *Dodatki*, noszą tytuł szumny *Piśmiennictwa krajowego* obiecuje wiele, bo stara się o niewidzianą w Warszawie śmiałość i sprawiedliwość sądów w materyach literatury, o dobór artykułów, o ich świeżość, o wiadomości z literackiego świata; bo troszczy się nareście nie o zabaweczkę tylko

dla płochych czytelników, którym *Wieniec* i *Tęcze* wystarczają wybornie, ale o sumienne zaspokojenie potrzeb umysłów ukształconych lub kształcających się. Ztém-wszystkiém Warszawa, która nie pojęła *Panoramy* A. Szabrańskiego, szukając w niej *primo loco* powiastek i wierszyków, wątpię żeby ocenić potrafiła piękne chęci i gorliwe usiłowania Redaktora *Piśmiennictwa Krajo-owego*.

A. Szabrański, o którym tylko co wspomnieliśmy, ogłosił prospekt na nowe literacko-naukowe pismo periodyczne — *Biblioteka Warszawska*, mające wychodzić miesięcznie i składać się z artykułów ile możliwości oryginalnych, lub choć tłumaczonych, ale mających czasową i literacką wartość.

Idźmyż teraz do dzieł wydawanych w Warszawie. Mnóstwo ich, wychodzi w dwóch rodzajach — dla gospodarzy i dla dzieci. Te ostatnie pisane są po większej części przez kobiety, które przykład Klem. Tańskiej zapalił, są w ogólności bardzo dobre, jako książki dla dzieci, lecz nie mogą żadnym sposobem liczyć się do wyrobów literackiej wartości, bodajby były w swoim rodzaju najlepsze. Toż powiedzieć o książkach w najpiękniejszej myśli edukacji ludu wydawanych (Pan Wojciech), których tu nie będziemy wspominać z tychże powodów, równie jak bardzo licznych arcydzieł P. N. Kurowskiego i Kompanii, pisanych dla gospodarzy i gospodyń, owezarzy, kucharzy i t. d. Z boleścią serca widzimy jak liczne, jak pokupne są te wyroby; zdumiewamy się, gdy je ogłaszają pod tytułem *dzieł nowych*! Trudno się omylić, to okazuje, że w Warszawie *utile* jest godłem wszystkich, że życie istnieje umysłowe niżej

jest daleko od życia agronomicznego, spekulacyjnego, gastronomicznego i t. d.

Kobiety, które jakem wyżej rzekł, zagrzewa dotąd przykład i sława K. Tańskiej, wiele tu bardzo wpływu mają na literaturę. Grzeczność nie dozwala ni powiedzieć szczerze, jak ten wpływ uważam. Ztémwyszystkiem i to prawda, że kobiety w Warszawie, stosunkowo lepiej pojmują (po swojemu) literaturę niż mężczyźni, więcej się nią zajmują, więcej jej poświęcają. Ale zarówno na umysłach literatów płci obojęd, cięży jeszcze tradycya XVIII wieku, z której się otrząsnąć nie mogą; ci nawet co słowaczą Łamartina i V. Hugo, przyprawiają ich w sposobie dawnych przekładów Horacego i Boileau, starając się ile możności o mdłą wytworność, o gładkość wiersza, o nieposzlakowaną średniówkę i rym niepokalany!

Wychodzi tu co rok Noworocznik, z samych prac kobięcych złożony, pod tytułem *Pierwiosnka*. Myśl dobra.

Najskuteczniej pracujący w Warszawie są Słowianofile, na których czele stoi W. A. Maciejowski, człowiek z rozległą nauką, żywą wyobraźnią, śmiałym acz często paradoxalnym sądem o rzeczach. Teraz on wydawszy część *Pamiętników*, znowu odbywa podróż, w celu gromadzenia nowych materyałów. Drugi po nim K. W. Wojcicki autor dzieł kilku, pracowity badacz starożytności, któren widoczny niedostatek talentu nagradza niezmordowaną pracą. Wychodzą teraz jego *Gaśdędy* i *Obrazy*, dalszy ciąg (tylko pod formą dramatyczniejszą) tego rodzaju zbiorów, jakimi były: *Przystawia*, *Śpiewy* i t. d. Wielkie dzieło jego dawno zapo-

wiedziane: *Badania Starożytności słowiańskich*, jeszcze leży w tece. [www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

P. Kucharski jest trzecim słowianofilem, innych nie wymieniam, bo znajomi są zdawna wszystkim, a mianowicie zasłużony Linde.

P. M. Baliński, którego nówsze prace tu się drukują w części, (choć on sam do literatów Wileńskich należy) liczy się do najcelniejszych Warszawskich pracowników. Jego są *Pamiętniki o Barbarze*, *Historya Wilna*, *Żywot J. Sniadeckiego* i wiele innych pism, Materiały do nich autor potrafił zgromadzić liczne i ciekawe, układ w nich wyborowy, styl jędrny, umiarkowany, poważny, osobnym charakterem cechują wszystko co z pod pióra jego wychodzi. J. Żochowski (który nie dawno zamieszkał w Warszawie) drukuje tu ważne swoje dzieło, mające dać nam historya Fizyki. Wspomniałem już o A. Szabrańskim, niegdy wydawcy *Panoramy*, teraz *Biblioteki*, współpracownikowi wielu pism peryodycznych, utalentowanemu poecie; dołączę także A. Tyszyńskiego autora *Amerykańki*, osobliwszego dzieła, które mimo wielkiej wartości oddzielnych swych części, jest niepraktykowaną amalgamą grammatyki i romansu.

Wychodzą tu w Warszawie: *Żywoty Świętych* (publikacya stygnąca) *Życie Napoleona* (obrazkowe). Dzieła wszystkie Hr. Br. Kicińskiego. *Pisma Hr. Skarbka*. Pierwszy Noworocznyk religijnej treści — *Alleluja* — ukazał się tego roku.

Bawił nie dawno w Warszawie Gaj Kroat redaktor pierwszego pisma peryodycznego kroackiego — *Dennica*; ten osobliwszą tu zwiastował nowinę (relata refero) poemat słowiański, drukowany w XVI wieku o Władysławie

wie Warneńczyka, przechodzący obszernością i wartością swoją dotąd znajome poemata słowiańskie (?) Wkrótce mają go przedrukować. Nie jestli to tylko bajeczka?

Zapomnieliśmy mówiąc o pismach periodycznych wspomnieć o *Dzienniku sztuk pięknych*, wydawanym przez B. Skotnickiego, lecz podobno zapelniającym się samemi tylko tłumaczeniami. Niechby i taki był początek, bodaj słaby, bo brak pisma wyłącznie sztukom poświęconego, mocno się u nas czuć daje. Możeby i takie wzbudziło choć odrobinę uczucia sztuki i zapal ku niej.

Czas nareście wspomnieć o pisarzach Wołynia i Ukrainy, którzy w różnych stronach pisma swoje drukują. Na czele ich postawim M. Grabowskiego, (E. Tarszę) Hr. H. Rzewuskiego, X. J. Hołowińskiego, J. Kełalińskiego, A. Przedzieckiego. Do tych także liczą się K. Podwysocki krytyk, który ocenia pisarzy XVIII wieku w artykułach drukowanych w *Rusałce*, *Tygodniku*, *Gazecie porannej*, A. Groza wydawca *Rusutki*, M. [Jeziński narodowy wołyno-ukraiński poeta i wielu innych.

W Lipsku u Breitkopfa i Härtla pod przewodnictwem N. Bobrowicza przedrukowują się książki polskie, w czyisto spekulacyjnych widokach. Wydań tutejszych główną zaletą powierzchowność schludna; poprawnością się wcale nie odznaczają. Tym sposobem odbijają tu Niesierkiego; oryginalnych polskich pism mało wychodzi w Lipsku. Na edycye zaś ozdobne i Lipskim nieustępujące bynajmniej (tylko poprawniejsze) zdobyć się już możemy i w Wilnie, sztychów chyba, klisze i stosownych ozdób zbywaćby nam mogło. A póki po nie uciekać się będziemy za granicę, póty zawsze książki będą miały minę dorabianych i łatanych. Bardzoby się powszechności

zasłużył ten przedsiębiorca, któryby pierwszy zwrócił uwagę na krajowych artystów i dopomógł (biorąc na siebie koszt) do sprowadzenia narzędzi, wzorów, i t. p. do drzewo-rycia. Wszakże nie dalejby po to posyłać i jeździć trzeba jak do Petersburgu, gdzie szkołę Baron Klot otworzył. Co do litografii, to w Wilnie (mianowicie Oziębłowskiego) lepsze są niż w wielu nawet ze granicą zakładach.

We Lwowie dwie publikacye mianowicie głośniejsze od innych. *Stowianin* redagowany przez S. Jaszowskiego, mający wartość literacką i malujący dobitnie, nie zbyt energiczny charakter literatury Galicyjskiej i *Lwówianin* pismo obrazkowe, mało warte, bo bez znajomości rzeczy, choć z usilnością i gorliwością redagowane przez L. Zielińskiego, o którym czytamy dziwne szczegóły w Tygodniku literackim Poznańskim. Oczekujemy ztąd napróżno dalszego ciągu *Teatru A. Hr. Fredra*, Do Galicyjskich wyrobów liczym *Prace Literackie*, wydane w Wiedniu przez J. D. Borkowskiego, zalecające się kilką pięknymi artykułami. Wspomnieć jeszcze należy o wychodzącej tu *Galicyi w obrazach*, której nieskończenie wysoka u nas cena upopularyzować się nie daje, o *Różnorożnościach Lwowskich*, piśmie półliterackim, a przy naszym ubóstwie nie pominiem już i *Dziennika Mód*.

W ogólności Galicya nie zbyt szczerze koło literatury krajowej się krząta; daleko tu mniej ludzi pisze, daleko mniej książek wychodzi, niż u nas i w W. X. Poznańskim.

Tu, ruch i zajęcie literaturą większe jest niż gdziekolwiekbydz. Przypisać to należy w części gorliwości E. Raczyńskiego, w części innym ludziom, żywo zajmu-



jącym się sprawą oświecenia powszechnego i literatury *Tygodnik literacki* trzeci rok już tu wychodzący, wydawany przez A. Wojkowskiego, jest dotąd podobno najlepszym pismem literackim polskim, pod względem doboru artykułów oryginalnych, interesujących a niepoehlebiających wszakże dziecinnie (jak innych pism) płochęj tylko czytelników ciekawości. Najślabszą stroną *Tygodnika* dotąd jest krytyka, nie oparta jeszcze na pewnych posadach i stalego nie mająca charakteru. Oddał sprawiedliwość zaletom *Tygodnika literackiego* w swoim zdaniu sprawy *Dziennik Ministerstwa Oświecenia*.

Obok *Tygodnika* założono w Poznaniu drugie pismo peryodyczne, literackie, polskie, pod tytułem *Orełdownik Naukowy*. Redaktor jego A. Popliński i J. Łukaszewicz. To pismo, co do planu swego nie będzie się różniło od *Tygodnika*, i nie ustąpi mu pewnie co do wartości wewnętrznej, bo nad tém usilnie pracować będą Redaktorowie, aby się nie dać prześcignąć. Dość ważną także, a najdawniejszą z publikacyj peryodycznych polskich w W. X. Poznańskim jest *Przyjaciel ludu*, pismo obrazkowe, popularne, poświęcone mianowicie zbieraniu pamiątek krajowych, ciekawe, do potrzeb czasu; miejsca zastosowane, niegdyś redagowane przez X. Tyca, teraz przez J. Łukaszewicza, wychodzące w Lesznie u Günthera. Pismo to liczy zgórą tysiąc prenumeratorów. Zarzucim mu że niewając *niekiedy* dobre rysunki, nie stara się mieć je *zawsze*. Ostatnie, z roku 1839 są szkaradne. Pismo to mogące rozkrzewić zamiłowanie sztuki u nas, powinno się koniecznie starać aby tylko tacy jak Oleszczyński i T. Mielczarzewicz rysowali do niego. Prosimy o to w imie sztuki, w imie własnej korzyści i sławy wy-

dawców, prosimy o ulepszenie rysunków, a nadewszystko pejzażów. ~~W które litonickiego nie są podobne.~~ Niech się nakładzca zlituje i raz na zawsze wezwie znajęcego sztukę artystę. Były dla *Przyjaciela* lata lepszych rysunków, czemuż teraz znowu, tak dalece gorsze nastąpiły; albo dać pokój zupełnie rysunkom, albo się trzeba poprawić. Rada ta pochodzi z najżyyczliwszego dla téj publikacyi serea.

W Lesznie wychodzi także *Mata Encyklopedya polska* przez L. Platera, dziełko bardzo użyteczne. *Szkółka Niedzielną* i t. d.

W Poznaniu pierwszym nakładcą jest E. Raczyński, któremu już tyle winna literatura. On wydaje teraz *Gabinet medalów polskich*, wielkie, przepyszne dzieło, które żal, że ledwie u nas znajome, dla bardzo wysokiej ceny; on wydaje tłumaczenia *klassyków tacińskich*, *Pamiętniki do dziejów XVIII w.*, *Historią Jana Kazimierza* niewiadomego autora, *Pamiętniki Radziwitta* i t. d. Ażebyśmy dali wyobrażenie liczby dzieł wyszłych i wychodzących w Poznaniu, wymienim tu jeszcze niektóre.

— *Pamiętniki Millerowe do panowania Stefana Bato-rego*, tłumaczone z niemieckiego przez Lipińskiego. *Satyry Opalińskiego*, poczynające zbiór starożytnych klassyków polskich, *Kodex dyplomatyczny W. polski*, wydanie piękne. nie potrzeba mówić nawet o ważności dzieła. Drukują się tu: *Żywot Bogustawa Radziwitta* z rękopismów Kurnickich Działyńskiego, *Żywoty kilku sławnych polaków* przez Koźmiana (młodego) wydanie Raczyńskiego, *Statut Litewski* z trzema obok textami i notami Lelewela i Danilłowicza. Druk jego poczęty jeszcze w roku 1829, teraz się kończy.

W Lesznie ma wyjść tłumaczenie *Długosza* przez *Bornemianę*, niektórzy też w Wielkopolsce gotują *Noworocznik*, z samych prac wielkopolskich składać się mający, pod tytułem *Świętojanki*. We Wrocławiu wyszła powieść wielkopolska! pod tytułem *Bogunka* przez Berwińskiego, i Bronikowskiego *Marzenia*. J. Łukaszewicz autor wybornego *Obrazu miasta Poznania*, pracuje nad historią Dyssydentów litewskich. Poszukiwania historyczne skłoniły go teraz do podróży. Zapomnieliśmy jeszcze jedno pismo peryodyczne poznańskie wymienić, wychodzące dwa już lata, pod tytułem — *Dziennik domowy*. Jakkolwiek żywi się przedrukami, zaleca się ich wyborem przynajmniej.

Chociażemy tu zaledwie część publikacyj Wielkopolskich wyliczyli, widać z ich liczby, że ruch umysłowy w W. X. Poznańskim zajęcie się historią, literaturą, są wielkie, tak dalece, że Poznań za najważniejsze dziś dla literatury polskiej ognisko uważamy, osobliwie zaś dla historii.

Kraków ma kilka pism peryodycznych, bardzo średniej wartości. Wychodził tu, ale krótko niezapomniany *Kwartalnik*, dla czegoż tak prędko ustał? Dwóma mianowicie pisarzami poszczycić się może jeszcze Kraków, M. Wiszniewskim i J. Muczkowskim. Pierwszy jest to wielkich talentów człowiek, który dowiódł ich we wszystkiem co wydał. Jego *Historia literatury polskiej* nowemi pomysłami, śmiałościami i trafniemi postrzeżeniami się odznacza; niecierpliwie oczekują wszyscy ukończenia jęj. J. Muczkowski bibliograf i filolog pracuje jak mówią nad historią Uniwersytetu Krakowskiego.

Pozostaje nam dla dopełnienia tego rzutu oka, wspomnieć jeszcze o kilku literatach naszych, pracujących w Rosyi. Na czele ich stoją niezaprzeczenie J. Daniłłowicz i O'Nacewicz jako historycy, J. Korzeniowski jako poeta, Wydawca Tygodnika Petersburskiego, jako człowiek, który tak znaczny wpływ wywarł na literaturę wydawaną przez siebie pismem. Tu policzmy także X. Krasińskiego, i Wiernikowskiego, tłumacza poezyj wschodnich. Stolica nasza wydała już dwa Noworoczniki polskie, w latach przeszłym i terażniejszym. Gotuje się nowy na rok następny pod tytułem: *Zorza*. Wydawcą jego jest znany Tygodnika Wydawca. Tu miejsce jeszcze raz powtórzyć, jak to pismo (Tygodnik Petersburski) wiele dla nas uczyniło i czynić nie przestaje, mianowicie pod względem literackim. Z niego dowiadujemy się o nowo wychodzących dziełach, w niemi rozwiązują się najważniejsze literackie spory, w niemi M. Gr. ogłasza swoje recenzje, Żochowski naukowe marzenia. Jakkolwiek wydawca dla niepojętych nam przyczyn, usiłuje się chować za drugich i bardzo mało ukazuje, znać jego ducha w piśmie, a często mała jego nota, przypisek, dodatek, uwagi zastanawiają bardziej od całych artykułów; bo w kilku słowach tego człowieka, znać erudyta niepospolitego we wszystkich prawie nauk gałęziach, a co więcej samoistnie myślącego, swój trafny i oryginalny sąd mającego w każdym przedmiocie. Co za szkoda, że tak skąpo się udziela wpływ *Tygodnika*, tém u nas jest większy, że go nie nie krzyżuje. Od dawna posiada wziętość i popularność, wszyscy go czytają. Zastępuje on wybornie brak właściwie literackiego peryodycznego pisma; a wiadomości polityczne które zawiera, podają go w ręce tym, którzy ina-

ezéj możeby się go nie tknęli. Tak Tygodnik wzięty u literatów, czytany jest nawet przez obojętnych, a tym sposobem wpływa na zaszczerpicie smaku do ozytania, którego większej części towarzystwa, brak u nas bardzo.

Wskazaliśmy treściwie, stan terazniejszy pismiennictwa polskiego, daj Boże, abyśmy co dzień postępy tylko zapisywali.

Gródek 12 Sierpnia 1840.

*J. I. Kraszewski.*



## Korrespondencya Athenaeum.

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

Mamy sobie za obowiązek złożyć publiczne dzięki tym, którzy na pierwszy ogłos o mającém wychodzić piśmie naszém, raczyli je wesprzeć nadesłanymi artykułami, przyrzekając mu nadal pomoc swoją.

M. Grabowski udzielił artykuł o powieści *Poeta i Świat*; pełen ważnych uwag nad charakterem przeszłej i przyszłej poezyi.

Hrabia H. Rzewuski nadesłał wyjątek ważnego dzieła swego: *O prawidłach Cywilizacyi Narodów*, odznaczający się trafnymi, nowymi pomysłami; — i Rys prze-wyborny, pełen powcipu, charakteru, prawdy; *Karol Rys. (Wyjątek z pamiętek Soplicy.)*

X. J. Hotowiński na prośbę naszą, dał jeden rozdział z *Pielgrzymki do ziemi Świętej* opisujący *Nazareth i Tabor*.

P. S. Nowoszycki z Kierzemieńca udzielił ważnych i ciekawych, niewydanych pamiętek dawnych. Obiecuje on nam w swym ostatnim liście z d. 26 Października nadsyłać do dalszych numerów, także, kopie posiadanych przez się dokumentów i aktów. Jakoto: Doniesienia Pułkowników Hetmanowi Jerzemu Lubomirskiemu w czasie wojny Zadnieprskiej za Jana Kazimierza. Nowy Dyaryusz wyprawy Wiedeńskiej Jana III. — Uniwersał Bohdana Chmielnickiego — Nowiny ze Stambalu od posła polskiego z roku 1683 i t. d. i t. d. Przykład Pana S. Nowoszyckiego powinienby zachęcić wszystkich posiadaczy dawnych pamiętek, aby je Redakcyi Athenaeum nadsyłali.

Odebraliśmy także piękne poezye Gustawa Hr. Olizara, pod tytułem — *Pielgrzymki*, które pospieszym umieścić w trzecim zeszycie pisma naszego.

W liście swym z dnia 19 Października autor *Wspomnień Szwecyi, Prób dramatycznych* i innych pism, P. A. Alexander Przeddziecki, przyrzekł łaskawie udzielać nie tylko oryginalnych artykułów, lecz dawnych dyplomatów, wyjątków ze starych rękopismów i t. p. za co niech przyjmie największe dzięki.

P. W. Smokowski znany artysta, odpowiadając na wezwanie nasze w prospekcie, w liście z dnia 12 Października, przyrzekł zająć się dla Athenaeum artykułami w przedmiocie sztuki, które zważywszy jak mało kto u nas jest w stanie pisać o tém, będą prawdziwie wielkim darem dla pisma naszego.

Nieznajomy nam autor, który się podpisał — *Autor Lutni Chrystusowej*, udzielił powiastkę pod tytułem: *Nasz Wiarus* i urywki pełnych ognia poezyj. Artykuły te po części w trzecim zeszycie umieszczone zostaną, a żądania autora o ile możliwości, starać się będziemy spełnić.

P. A. Szabrański, założyciel *Biblioteki Warszawskiej*, dawny wydawca *Panoramy*, oświadczył także pomoc swą listem z d. 6 Października.

Z pociechą widziemy, że Athenaeum interessować poczyna piszących, bodaj tak i małą jeszcze u nas liczbę czytelników zająć potrafiło! Ponawiamy podziękowania tym, którzy najpierwsi odpowiedzieli tak prędko wezwaniu naszemu, zapewniając że wszelkimi siłami starać się będziemy, aby Athenaeum nie zawiodło oczekiwań i ulepszało się coraz a coraz bardziej.

d. 5 Listopada 1840 r.

Gródek.

Rozie się znówu iak pies kęps w. w. e.  
Deszore mi się tu iak w. w. e. p. p. e.  
Deszore mi się tu iak w. w. e. p. p. e.  
Deszore mi się tu iak w. w. e. p. p. e.  
Deszore mi się tu iak w. w. e. p. p. e.  
Deszore mi się tu iak w. w. e. p. p. e.  
Deszore mi się tu iak w. w. e. p. p. e.  
Deszore mi się tu iak w. w. e. p. p. e.  
Deszore mi się tu iak w. w. e. p. p. e.  
Deszore mi się tu iak w. w. e. p. p. e.

Deszore mi się tu iak w. w. e. p. p. e.



[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

# SPIS

RZECZY ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM.

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

## I. Historia.

stron.

- I. *Elekcya Michata Wiśniowieckiego, z Pamiętników Kaspra Hrabiego Chavagnac* . . . . . 7.  
II. Potwierdzenie praw i swobód Tatarom Litewskim, uczynione r. 1568 d. 20 Lipca . . . . . 35.  
III. List Sokołowskiego do Biskupa Kujawskiego w sprawie Akademii Krakowskiej . . . . . 39.  
IV. Stanislaus Miński Surdus, Nicolao Simeoni Samborzecki coeco S. P. D. . . . . 40.  
V. Uniwersał Hetmana Żółkiewskiego, przeciwko partyzantowi Poniatowskiemu 1608 . . . . . 42.  
VI. Uniwersał Poniatowskiego . . . . . 44.

## II. Literatura.

- I. *Jakób Kwietkiewicz* przez E. Tarszę . . . . . 46.  
II. *Biata na Podlasiu* przez J. I. Kraszewskiego. 70.  
III. Wyjątek niedrukowanego poematu *Wirginia H. Lipskiego* r. 1652 . . . . . 96  
IV. *Sztuka dramatyczna i Teatr dzisiejszy w Anglii* . . . . . 105.

## III. Sztuki.

- I. *Wystawa sztuk pięknych Paryżka 1840* . . . . . 166.  
II. *Wynalazek Daguerra i Liepmana. Uwagi J. I. Kraszewskiego* . . . . . 182.

#### IV. Rozmaitości.

|                                                          |      |
|----------------------------------------------------------|------|
| <i>Spójrzanie na literaturę polską dzisiejszą, J. I.</i> |      |
| <i>Kraszewskiego . . . . .</i>                           | 188. |
| <i>Korespondencya Athenaeum . . . . .</i>                | 207. |

(Dodano fac-simile jednéj strofy Wirginii  
H. Lipskiego.)



*Następny zeszyt (prócz innych artykułów) zawierać  
będzie niewydany dramat hieratyczny polski z XVI  
wieku.*

# NOWE DZIEŁA

NAKLADEM I DUKIEM

www.libtool.com.cn  
TEOFILA GLUCKSBERGA

W WILNIE WIDAWANE.



Athenaeum. Piśm. historyi, literaturze, sztukom i krytyce poświęcone. Wydawca J. I. Kraszewski T. 1 i 2 z prenumeratą na T. 3, 4, 5, 6 . . . . . rs. 6.

— a poezji . . . . . rs. 7.

Bochwie (Floryan). Obraz myśli mojej, o celach istnienia człowieka. Z popiersiem autora . . . . . rs. 1 k. 35.

Dziennik Nabożeństwa dla użytku prawowiernych ułożony z uwagami o modlitwie przez X. Jana Pawła Woronicza Arcybiskupa Warszawskiego. W ozdob. oprawie z ryciną na stali rżniętą rs. 4.

— w oprawie w pap. safianowy . . . . . rs. 1.

Dzieła Williama Shakspeare. Tom 1, zawiera Hamlet, Rómeo i Julia i Sen w Wigilią S-go Jana. T. 2, Makbet, Król Lear i Burza. Wydanie świetne, na pięknym welinowym papierze z przepysznościami rycinami. Cena 2-ch tomów z prenumeratą na T. 3 rs. 6 k. 75.

Dzieła Jana Śniadeckiego 7 Tomów . . . . . rs. 5 k. 50.

— Jędrzeja Śniadeckiego 6 Tomów . . . . . rs. 5 k. 50.

(Oba te wydania są na pięknym welinowym papierze, ozdobione popiersiami autorów).

Encyklopedia powszechna Tomy 1, 2, 3, 4, z rycinami na stali rytymi . . . . . rs. 15.

Ditto 1840 — 1841 czyli na T. IX i X i z porządku T. V i VI, z rycinami . . . . . rs. 7 k. 50.

— z pocztą . . . . . rs. 10.

Grabowski (Michał). Literatura i Krytyka. Rok I część 1, zawiera: O poezji XIX wieku. — Literatura francuska. Część 2. O pieśniach Ukrainiakich . . . . . rs. 2.

Rok II część 3. O nowej literaturze francuskiej, nazwanej literaturą szaloną (La littérature extravagante) . . . . . rs. 2 k. 25.

Rok III Tom 1. O szkole Ukrainiakiej poezji. — Tom 2-gi Literatura romansu w Polsce . . . . . rs. 2 k. 25.

Herder Pomysły do filozofii dziejów rodzaju ludzkiego. Dzieło prze-

łokone z języka niemieckiego, z dodatkiem przedmowy i opisu życia autora, przez Józefa Rychowca 3 Tomy. . . . . rs. 10.

Johna of Dycalp. Pisma przedślubne i przedślubinowe, 2 Tomy. Wydanie ozdobne, z wienkami na pięknym welinowym papierze . . . . . rs. 1 k. 50.

Książka do Nabożeństwa dla młodzi rzymsko-katolickiego Kościoła, podług układu auterki: „Pamiętki po dobrej matce.” W pięknej oprawie safianowej z ryciną . . . . . rs. 2.

w oprawie w pap. safianowy . . . . . rs. 1.

Koliszczyzna i Stopy, powieść oryginalna przez Edwarda Turbat. . . . . rs. 1.

Konopackiego Szymona poezya . . . . . k. 50.

Kraszewski Józef. Wspomnienia Polesia, Wołynia i Litwy 2 Tomy . . . . . rs. 2.

— Szatan i Kobieta, Fantazya dramatyczna w XI rozdziałach.

O nowym sposobie uczenia czytać bez Abacedia i Syllabizowania . . . . . k. 15.

Pamiętniki Samuela Mańkiewicza, początek swój bierą od roku 1594 w lata po sobie idące. Wydane z rękopisów Biblioteki Szczorsowskiej Hrabiego Chreptowicza, przez Jana Zakrzewskiego . . . . . rs. 1.

Przeddziecki (Alexander). Wołyn, Podole Ukraina. Obrazy miejsc i czasów. Wydanie ozdobne, wzbogacone różnemi facsimilami wielkich ludzi, rzadkimi dokumentami, na pięknym welinowym papierze 2 Tomy in 8-vo.

Tegoż. Próby dramatyczne, zawierające: Halszka z Ostroga i Kapitalik. Cena 3-eh Tomów . . . . . rs. 4 k. 50.

Stannica Hulajpolska, powieść narodowa, przez Edwarda Tarszę. Tom 1, 2, (Tom 3 i 4 w druku) . . . . . rs. 3.

Słownik polsko-rosyjsko-francuski. Ułożony na wzór słownika Lindego, słowników Akademii rosyjskiej, podług najpóźniejszych wydań, pomnożony wyrazami technicznymi różnych gałęzi nauk i sztuk, przez towarzystwo kilku uczonych. Tomów 3 na papierze zwyczajnym . . . . . rs. 4.

na pap. lepszym . . . . . rs. 5.

Tomasz z Kempis o naśladowaniu Chrystusa ksiąg 4, przekład Tadeusza Matuszewica. Wydanie ozdobne, z ryciną. W oprawie safianowej . . . . . rs. 2 k. 25.

w oprawie w pap. saf. . . . . rs. 1 k. 35.

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

# Athenaeum

**TOM II.**

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

# ATHENAEUM

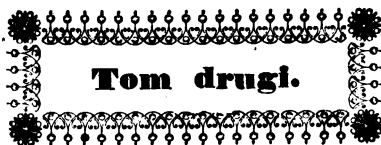
[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

PISMO POŚWIĘCONE

HISTORII, LITERATURZE,  
SZTUKOM, KRYTYCE  
i t. d.

WYDAWCA

J. I. KRASZEWSKI.



*Nejman*

*Sizuki*

WIENŃ.

---

NAKŁAD I Druk TEOFIŁA GLÜCKSBERGA  
KSIĘGARZA I TYPOGRAFA WILEŃSKIEJ CESARSKIEJ MED.  
CHIR. AKAD. I SZKÓŁ BIAŁORUSKIEGO NAUKOWEGO WYDZIAŁU.

1841.



**Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno 1840 roku 13 Pazdziernika.**

***Cenzor Professor h. Uniwersytetu Wileńskiego***

**JAN WASZKIEWICZ.**

*W. Waszkiewicz*

*W. Waszkiewicz*

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

I:

**H I S T O R J A.**

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

I.

**HISTORJA.**

---

**Materiały Historyczne.**

I.

*Rewersat listu Szlachcica jednego do drugiego pisany, w którym się obmawia że nie przybył na Séjmik w Opatowie pro 16 Mar. 1606 złożony, o którym zdanie swe i discursy różne przydawa. a)*

Doszło mnie pisanie WM. w którymś mi to WM. przypisował jakoby ja miał być *desertorem i proditorem patriae*, a to dla tego żem w Opatowie nie był. Dziwna mi temu, żeś się WM.

---

a) Ciekawy ten ułamek malujący wybornie usposobienie umysłów i ducha swego czasu, wypisaliśmy z Rękopismu Biblioteki XX. Pijarów Wileńskich.

P. R.

na mię do takowych słów rzucił, *sine ratione* jakobys WM. niebył świadom zdrowia mego i lat moich które mię od tych niepotrzebnych włókit hamują. Niepotrzebnych dla tego mówię, że te zjazdy na których o wolności swęj gadacie, mogą nazwać że są właśnie jak comediae Włoskie, na których bywają osoby poważne, osoby mądre, Królowie, Xiążęta *et id genus*, bywają też dziadowie, Pantalonowie, K....y, dzłeci, błaznowie, diabli, stroją jakąś larwę, *ostentatiae, peroratiae* reprezentując to co kiedyś bywało, a skoro po komedyi, to za się owe osoby poważne, mądre, pospołu z błaznami, z pantalonami, z djablami, z dziećmi, nic więcej zysku nie odnoszą, jedno to co się nagadali, nachodzili, stąpają z góry po pańsku, w szatach cudnych, coronach, z sceptrami. Także i wy nagadaliście się i nastroiliście się rad rozmaitych, chwalił jeden drugiego, była tam osoba poważna i mądra, był drugi który się sądził jako jaki król deklarując się umbrą wolności swoich, był też i odziany Panthalon, błazen, K...a, bawierę i diabeł, i tak nastroiwszy się igrzyska, z wielką deceptią odjechaliście do domów. O Panthalonowie, wołacie na Króla; ukazujecie wzory jego, ukazujecie exorbitancye Rptěj, cóż to wiecie dzieć jakich tam discursów i peroraty nie masz! A coż za zysk, kiedy sejm przydzie, nie stanie się nic na wasze querelle. Więc kiedybyście się

wżdy tam *ex intentione* zjeżdżali, abym was słusznie, *patres patriae*, nazwać mogli; ale założyłbym się o wielki zakład, żebym WM. samego, co to tak gorąco Rptą miłujesz, najprędzej corumpował. Łatwieby Króla naprawić, co go złym zowiecie; skoroby wam co dał, byłby bardzo dobry; ale niechcąc *defraudare* przyjaźni méj WM. a tom nieżałował pracy téj napisać też tu WM. *sententiam meam*, co też rozumiem *ex tenui minerva mea* o tych terazniejszych czasach i o Rptéj naszéj.

A pocznę ja ztąd, choćem w Opatowie nie był (bo WM. wiesz że'm nie duż) że wżdy WM. będziesz wiedział, że'm nie *desertor* ani *proditor patriae*. Wszyscy podobno ile Was tam było w tym Opatowie, wołacie źle, źle się dzieje, a okazujecie po części co się dzieje, a lekarstwa na to źle, na ten wrzód Rptéj nie znajdujecie i nie obmyśławacie. Toć i ja z wami zawołam, źle, źle się dzieje, ale wżdy zawoławzzy co najgorszego rozumiem *in Republica particulariter* pokażę, tylko WM. a krótko. Nie baczę coby was najbardziej psować miało, jako dwie rzeczy, że mamy Króla bogatego, a samiśmy ubodzy; a jako się u nas Król zbogacił, łacno się tego domacać, jako sobie uprawił.... i uprawuje, na mniej wielkie starostwa obcinając, jako u niego *omnia tenalia*, jaka intrata jego, i tak się zbogacił, że powiadają iż niebył nigdy tak bogaty

Król w Polsce jako to jest, zaczynam się podnosić w pychę ~~za tymi swymi~~ dostatkami, których się teraz na tym weselu jego, ludzie napatrzyli, jakie szaty, *mira suppellectilia—domestica* szata jedna śnać milion kosztowała, druga sześć kroć stotysięcy, służby złote, klejnotów gwałt, a zaż tam tego mało prawie, *alter Craesus*. Zaczynam przychodzim u niego w Contempt, nie miłuje narodu naszego polskiego, lekce sobie waży Senatary, lekce i szlachtę, niedba o nas. Już tak się nadął dostatkami swemi, że śnać mówił — Niechże ich Tatarowie wiążą, kiedy niechcieli o obronie radzić i obmyślać. — Niedoczekać tego aby nas wiążano. Przysięgi nam nietrzyma *a ztą się radą obsadził*, a śnać *aspirat* aby nam *absolute dominaretur*. Więc się rzeczy słusznój jął, milczenia, podobno był w onego Philosopha szkole, co kazał pięć lat milczyć. Z każdym hym się na świecie, by z najniezgodniejszym zgodził łbem, ale z tym co milczy, wie go kath. Jako byłem w Krakowie niedawno obserwowałem to, że więcej niżli godzinę zegarowa pięć Senatorów mówiło do niego; jeden przestał, drugi mówił, a on żadnemu nie nieodpowiadał, anim widział, by ustami ruszył i tak ich odszedł. Ach na jakiegośmy to pana natrafili, biadaż nam i krajowi naszemu! Jakie accessje podawał P. Bóg do Corony za panowania jego, Węgry, Wołochi, Multany, Siedmiogrodzia-

ny, Moskwę, Śląsko, Morawę, mało-li tego? a wszystko puścił mimo się nie mi-lu-jąc nas, ani narodu naszego — Więc i ożenie-nie jego, sam sądź WM. jeśli z Bogiem i co *imminet* Rpbl. za tamtym powinowactwem tych mi-łych przyja-ciół jego. Owa któżby się nawyliczał, co za *ci-tia* po tym Panu in *Republ.* się pokazują. Teraz by był tylko jeden swój drogi Kabat dał, tedy by było tak wiele ludzi w niewolę niezabrano, z rąk jego będzie ich P. Bóg patrzył; a kiedy mu co mówią to milczy.

Pamiętam raz, kiedy go nieboszczyk P. Ła-ski Wojewoda Sieradzki prosił o coś, a on sie-dział na krześle, po jednej stronie szeptał mu w ucho z półgodziny, prosząc i ukazując *meri-ta* swoje, nieodpowiedział nic. Za tym rzekł, podobno to W. K. M. na to ucho niedosłyszysz; i zaszedł do drugiego i szeptał u drugiego dru-gie półgodziny, a nie wyszeptał nic i tak bez respensu odszedł. Niechaj że to tak stanie o Królu i bogactwie jego, choćby było co więcej; które bogactwo ukazałbym przyczyną zginienia niewoli naszój, bo kiedyśmy mieli kró-le ubo-gie, co nie my od nich, ale oni od nas by potrze-bowali. Jako przeszłych czasów bywało, by-waliśmy w poszanowaniu, wolności nam trzy-mano, przysięgi nie gwałcono, wytargowaliśmy zawsze co na Królu, czego kiedy u nas chcieli, a teraz potrzebuje nas? macie jako Pan snąć i



to mówił — nie proszę ich o pobory, mam się bez nich dobrze. Pamiętam ja kiedy jakie festy królowie pierwszy odprawowali dla osoby majestatu swego Królewskiego, dla cudzoziemców kiedy byli spraszani, na takie, aż pożyczano u Senatorów u Biskupów srebra i aparatów innych i ochędóstwa, a teraz ten Pan tak bogaty, że na taką ozdobę Majestatu swego odprawując ten akt wesela, nie miał nic pożyczanego, jedno swoje własne, a snąć siła tego była od szczerego złota. Był ci by tu plac wspomnieć, co za Exorbitancje Rpta odnosi, ale to zostawuję WM. i odsyłam do artykułów przeszłego Sejmiku. Pójdę za się do ubóstwa naszego, a zaż WM. niewidzisz jako ubodzy Panowie, biędna jedno apparentia, coś się u nich cudzego bliskocze. Niepierwiej rozdzielę stany, abyś WM. snadniej zrozumieć mógł żeśmy *in genere* wszyscy ubodzy, xięża, panowie, ślachta, pospółstwo. Pocznę od xięży, ci oto mają trochę pieniędzy albo groszy, nie wszyscy wprawdzie, bo też i około nich wielki zbytek; by S. Bernardyn zmartwychpowstał niewiem jakoby teraz pisał, *de Corrupto Rpblicae statu*.

. . . . .  
 Pódzmyż do Panów, nie trzebać tu wielkiego discursu, widzisz to WM. sam, co się dzieje około nich, wachają cudzych skrzynek przed Rokami. Stan ten bardzo zubożał, a przyczyny

niebaczę, jedno zbytek po większej części a druga lichwa, więc i to co się niebożęta wyciągnęli. Porachuj WM. czasy od śmierci Augustowój, aż do wesela dzisiejszego pana, jakie oni koszty, podéjmowali, pocztę, Rothy sub interregno na Coronaty podéjmując. A zaż tego mało bywało, i tak się wyciągnęli, że gorzej być nie może, ktemu są niektórzy między nimi, bo siła pieniędzy do siebie zgarnęli; przypatrz się WM. jako trudno o tysiąc złotych, między ludzmi powiadają, że pieniędzy niemasz. Panowie je pobrali i potracili do kupców, kupcy je zaś wzięli do cudzej ziemi; a co była *residuitas*, to niektórych pozamykali w sklepach, król też na cegły pozlęwał i tak trudno o kopę, że nigdy trudniej, i już ci czerwone złote śnać po złotych dwa i groszy trzech, a talary po złotemu i groszy dziesięci, a monety gorszej być nie może, a bierają, będą po chwili i gorszą w tym niedostatku brali, więc z tego ubóstwa, jeśli się złych pieniędzy kować, dobrze śnać jednemu rzeczono, bij ty dudki, a wiedzą kto bije dudki a nie karają.

Za takowém tedy ubóstwem, choć będzie człowiek animuszu wielkiego, widzi, upatruje zgubę ojczyzny, ale *praemit* go *paupertas*, nałożył się dostatkom, zacność jego tego potrzebuje aby był widzian, a niemasz, każe milczyć, a musi rad nie rad obludy zażyć, u króla bogatego, aby mu dał co pilnować, i *ad nutum* jego

czynić. A mówilem jednemu niedawno — Mościwy Panie (ba i Mościwe Państwo, które się tak bardzo spospolitowało, musi się niżej tknąć) widzisz że to złe in Rplca, człowiekęś zacny, naprawuj to, przysiągłeś, *quid quid nocuum sensero, me opponam*. Rzekł mi, pomóżcie mi panowie szlachta — Pomóżemy, ale skoroby poczęli wołać i ukażywać to złe Reptěj, poszeptanoby wam od króla, że wam dadzą co, jedno nie nacierajcie tak ostro, puściłbyś WM nity M. Panie, a odbieżałbyś nas.

Nie rzekł nic, jedno ramionami ścisnął; niemam za złe, trzeba mu, ja mu niedam by gębę do ucha rozdzierał, bo niemam co, a król ma jak pan; ale o tych paniech dosyć, też to widzisz WM. co i pewienem.

Dalėj szlachtę rozdzielię nadwoje. Są jedni których też jako i pany *luxus* zubożył, w ubogim domu narodziło się Miłościwych Panów, przeciwiają się sobie, półmiskują, i nałożyli się, wina, korzenia *exotica* miłują; sobolno, ryśno, złotogłowo bankietują, więc się niektórzy do panów przywiązali, a panowie sami niemając im co dać, porzucają ich, albo ich obietnicami odprawują, więc się też niebożęta podlużyli. — Też ich lichwa zubożyła i tak ubóstwa i niedostatku swego nie masz; jedni PP. służyć nie mogą, drudzy muszą milcząć i dać się *corrumponować*, a swobody swoje tracić i *oppressyą* na

się włożyć; są za się drudzy ludzie *desiderosi*, *inutile pondus terrae*, *pusillanimes*. Drudzy drugą ślachtę psują, ba i panom się dostanie. Ci siedząc doma w szarój żupicy, choć ci luxu nie-masz, groch, kapustę, słoninę, krupy je, wodę pije, o Rptej nic nie myśli, pieniądze tka, zbiera wioski, co się zastawują propter Rempubl. lichwą gubią ludzie, znaczne majątności pochłonęli. Ci są wielki *virus* Rn Rpbl., a jeszcze urągają się z nich, ale i po tych mało, co mam pisać, znasz ich WM. dosyć takich.

Do pospólstwa przystępując. Ach mój panie, toż i ci zubożeli, tych prawie *luxus*, ale nie ich, tylko pański zubożył, a snąć w piekle ci podobno nie będą. Rzekłem ja jednemu, a on biedny, chudy, odrapany, coś wielkiego dzwiga, nieboże napracujesz się na tym świecie, już też i z nogami do nieba pójdziesz po śmierci.— Panie, i tam ja muszę być za panem, a ktożby tam za panem w piekle drwa woził. Przyznasz mi to WM. sam, że nie masz uboższych chłopów we wszystkiem Chrześcijaństwie, jako są u nas, ale i o tych, próżno mam WM. bawić. Ukazałem już podobno WM. dostatecznie, że mamy pana bogatego, a samiśmy ubodzy *in genere* wszyscy, prócz kilku senatorów aleć ja i tych ubogiemi zowie, bo choć mają a żałują na poprawę Rsptej, a potym się porównają, kiedy nieprzyjaciół pobierze, i to co nagromadzili, uka-

że jaka jest facies Rpbł. To już na Sejmiku bywacie, posły wyprawujecie, artykuły piszecie, i tak mniemacie, że to tak będzie, jako wy tam w Opatowie uknujecie. A insze Województwa także też czynią, jedno że różna fantazyja w ludziach, różne też artykuły posłom bywają podane. A potem oni posłowie zjadą się do kupy, ci swoich artykułów popierają, owi swoich nieodstępują, to roswar. Izbę poselską przyrównywan do gaju, co się na nim gawróni lęga, wszyscy tam wołają, a jeden drugiego niesłucha, ni karczma, ni browar, a potem chłop przyszedłszy, gaj podetnie, gniazda obali, gawrony rozbiera, toż podobno i nam *quod absit*. Swarzą się sześć niedziel, aż conclusia następuje, coż na oniej conclusiėj będzie, napiszą constitucyi gwałt, a żadna efektu nie weźmie, a jeśli któremu panuczego potrzeba, to swoją constitucyą wrzuci, zgola wszyscy prywaty patrzą, więc się rzkomo wstydzą, a mają swoje dudy; co je nadymają i tak dowodzą co chcą. *O miseranda facies Rpbł.* Więc strożowie praw a swobód naszych, jako przysięgają, jeśli dosyć swój przyśiedze czynią, *judicabit cor Deus*. Nuż sprawiedliwość jaka, w criminalów sądzeniu? owa z kąd ją poczniesz wszędy źle, wszędzie się nachyla do zguby, obłudy pełno, zdrady, oszukiwania, prywatą rządzi. Panowie w swą, xięża w ową, szlachta w swą. Wierę nie wiem by

był kto tak głupi, co by prędkiój ruiny niewiedział. Ale mi WM. rzeczesz, toś mi już wszystko zganil, nałajaleś i xięży i PP. Jezuitom, jeszcze wždy ukaż jako temu zabieżeć i tego poprawić, jeśli sam na Sejm niepojedziesz, tedy ja z swoją wielką gębą pojadę, będę wołał i u-  
-lasywał swoje rady i zdania. Ba, daj go katu, nie publicujecieś mię do diabła, stym co się opęta, hy mi kto zaż żebra niechciał pomacać. Posłucham ja WM. nie dla tego abyś WM. miał na to przypadać albo pochwalić (nie *ambitio procul*) ale abym WM. ucieszył, jako ongi kapłuna różbierając. Z tąd ja pocznę.

Ukazałem WM. rzecz być niebezpieczną, mieć bogatego pana, jako my mamy. Ukazałem co za *nocium* Rpbl. z tego, a jakeśmy miéwali pany przedtym, lecz i to ukażę co by z tém czynić, rzecz bo za się dobra kiedy w swój klubie, jako trzeba stawić bogactwo, i bodaj był pan bogaty, ale też kiedyby i Rpta i poddani niebyli ubodzy, tedyby to było oboje bardzo dobrze, i już by tu *contemptu inter pares* nie było. Tak wielkiego zubożyć pana trudno. Economiae mu podcinać i toć mu nie z drogi, ale by podobno trudno tego dopiąć, rzeczy to są znaczne, nie uczyni tego *omnino* król, żeby je miał Rptej puścić, więc tego zaniechać, bodaj miał i więcej, choćby Starosty economiami założył, zaczym executia na swowolne wedle prawa zginąć mu-

si, jednak by to niemogło być starosta bogaty, a każdy (~~oczém niżej będzie,~~) miał intratę. A żebyśmy tak niepotrzebowali dostatków królewskich i jego bogactw, za którą potrzebę musimy milczeć. Wziąć to królowi, aby, Rpta *vacantiae* rozdawała, i takby już potrzebniczkowie nie królowi, ale Rptej folgować musieli, i od niej do zatkania dziwnych niedostatków swych ratunku prosić, a o porządku rozdawania *vacantii* przez Rptę, łatwie by się sposób znalazł. Oczém potem. Ale WM. rzeczesz, toć już król straci zatym i *autoritatem suam*, i byłby u nas jako cyfra? Na co tak WM. odpowiem. Nie przyznam wierę tego WM. kiedyby był król ubogi mogłoby to być, ale iż bogaty, a nasi nienasycą się nigdy, będą radzi brali, jeśli im dadzą i od króla bogatego i od Rzptej nie ubogiej, a której by się dosługować musieli. Upewniam w tym WM. i każdego żeby się ni wczym prędziej zabieżało priwacyi ludzkiej, jedno tém, i król by był *in sua Majestate* uszanowany i zachowany, bo by był nie ubogi i Rzpta miałaby też swoje, coby jej dobrodziejstwa potrzebowali i służyli, bo by też była nie uboga, i nie cierpiałaby Rpta od Boga żadnych contemptów. Przystępując zaś do ubóstwa panów. Jeśli mi ich WM. każe ubogacić, to namże trudno dać im, co kiedy sam nie mam nic, ale i wtém co byś WM. rozumiał, dogodzę WM. zubożeli bardzo Panowie,

zubożyły ich wyprawy, częste sejmy, interregna, electiae, trzeba im jakie *medium* ukazać, aby im było lżej do czasu. Słyszałem kiedyś król jednemu chudzinie zasłużonemu *beneficium* uczynić niechciał, to mu dał dar żelazny, jakiś list żeby był od długów do czasu wolny. Ale to gruba człowiekowi zacnemu, wziąć drugiemu, dać trzeciemu, ale mediować te rzeczy, niechby po złotych cztery lichwiarze brali od sta, a warować to constitucją, aby i ten co ją wężmie większą i ten co ją da większą od kogo był pozwany, aby miał *forum* o to i znacznie był sądzon. Rzeczysz WM. toć pieniędzy nikt nie pożycz, kiedy będzie potrzeba. Potrzeby zachowaj Boże jakiej, kiedy *luxus* ustanie, który jakoby znieść ukażę wyżej — potrzeb mało będzie. Jest ci coś w Statucie o tej lichwie, ale do executiey któż poprze? Więc potrzeba kiedy ustanie, lichwiarz, kamieniowi nie rad w domu, da cztery złote od złotych sta. A jeśli majątność będzie trzymał, tak mu porachować intratę onęj majątności wychowanie pokazawszy u urzędnika, jedno żeby mu po cztery złote lichwa wyniosła. Niedosć podobno WM. czynię o tej lichwie tym *discursum*, poprawże WM. jako *zelator* Rp. I o żydowskiej lichwie, która też panów siła gubi, aby nie brali, jedno po ośmiu groszy na tydzień odesta, łatwo by lichwę i potrzebę i *luxus* znieść mógł, którego constitucjami nieznie-



słemy pewnie, bo mówią niektórzy, że to *libertati nostrae* wbrew, niemógłby go żaden wygubić prędzój jako sam król, kiedy by go sam porzucił, zaczym i jego słudzy, żeby się nim brzydzili. Kiedy kto do dworu przyjedzie w de-lij złotogłowem podszytj, aby się z niego śmiano, szydzono, z białych głów także panie dworskie; ażeby temu król nie dał nic i Rpta, co przy nim *luxus*, prędko by to stanęło między pany a ślachtą, a wolności niebyłoby żadne *praejudicium*. A na pospólstwo i Rzemieślniki, kupce i żony ich, którzy *non gaudent ea libertate*, jako my uczyniłbym *legem sumptuariam*, aby się *luxus* w nich zniósł, by jedno od równiejszych rzeczy począć od obówia, tedy by inne rzeczy *lente* ustawały, między nami. Niechajby żaden *plebejus cuiuscunque conditionis et status*, niechodził w safianie ani w kordybanie. Już niechaj ma na sobie salendysz, adamaszek, kitajkę, sobola pod czapką? jedno żeby obówia nie było tylko z prostego rzemienia, a kiedy mu pójrzę na suknie, na czapkę, mniemam że szlachcieć, a kiedy na nodze poznam że chłoptas. a) A wierz mi WM. że lekko kładąc wychodzi z polski na

---

a) Ten ustęp mógłby służyć za wyjaśnienie przysłowia znanego: — *Znać pana po cholewach.*

rok za safiany, kurdyban million. Jest teraz  
 ludzi w polsce (1606) co używają do sta tysię-  
 cy safianu, są drudzy, co pań wydają za rok sto  
 złotych, trzydzieści, drudzy dwadzieścia, dru-  
 dzy mniej, ale computując jednego z drugim po  
 złotych dziesięć na rok, uczyni million. Rze-  
 czesz WM. a skoroby safianu niekupowano tak  
 wiele, byłby prosty rzemień drogi, a teraz się  
 go dokupić niemożem. To sprawa żydów zdraj-  
 ców, bo go dużo do Niemiec wychodzi, ale by  
 temu łaćno zapobieżć o tym discursu niepo-  
 trzeba.

*(reszty brak.)*

---

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

II.

**L I T E R A T U R A .**

## I.

### RZUT OKA NA LITERATURĘ NIEMIECKĄ.

Dwanaście lat temu jak W. Menzel, w ten sposób zaczynał dzieło swoje o literaturze niemieckiej: „Niemcy nie wiele działają, lecz ogromnie piszą. Jeśli, za kilka wieków zamarzy się komu spojrzeć w tył na nasze czasy, uderzą go pewnie więcej xiążki niż ludzie. Pomyśli, żeśmy marzyli i spali w xiążkach. W istocie bowiem staliśmy się narodem przedewszystkiem piszącym, i zamiast dwógłównego orła, powinniśmy gęs nosić w herbie. “

Ten wylew xiąg, na który krytyka zwracała uwagę w roku 1828 z pełną gorączy ironiją, jeszcze wezbrał od tego czasu. Corocznie powiększa się katalog nowych publikacyj; corocznie tysiąc strumieni xięgarstwa niemieckiego, zale-

wa niezmierne składy Lipskie. Dawniej można było jeszcze wyrachować nie siłą się zbytecznie, dzieła które się ukazywały regularnie na jarmarkach wielkanocnym i Ś. Michalskim. Teraz, najbieglejszy statystyk nie odważy się na ten rachunek. Lepiejby liczyć liście, które wia-ter jesienny z drzew obrywa. Nie można tego stanu rzeczy nazwać normalnym, jest to raczej plaga, naksztalt egipskiej szarańczy.

Gdy Anglia i Ameryka oddają się bezustan-ku ciężkim doświadczeniom przemysłowym, gdy Francya skupia się przy trybunie politycz-nej; Niemcy nieruchome, siedzą jak prządka u komina i cierpliwie snują nić swojej kądzieli. To co tak żywo i gwałtownie porusza Francją, tu zaledwie przerwie milczenie. Rzucone my-śli nowe, podlegają pracowitemu rozbiorowi niemieckiemu, i gdy świat cały porusza się i działa, Niemcy marzą.

Raz tylko w naszym wieku, widziano Niem-cy powstające dumnie i z zapalem przeciw Fran-cyi. Jednym okrzykiem ozwały się wszystkie dawne pokolenia teutońskie, jedną myślą skupiły. Nie chodziło im o granice królestw, księztw, dominiów. Rozczłonkowane imperium dawne zrosło się pod zbroją jedną i pasem ry-cerskim. Północne Niemcy podały rękę połud-niowym, lud, rozjątrzony jak byk dziki, zaja-dły jak lew raniony, rzucił się na plac boju wy-

wijając mieczem, puszczając na wiatr długie złote włosy. Muzy nawet ubrały się w szyszak Minerwy. Professorowie wychodzili z zakątów swych, jak mnichy średnich wieków spiesząc na krucyatę, studenci przedawali książki a kupowali konie, poeta strunę swój liry na łuk naciągał. Zapalczywy Jahn na gościńcu do Francyi prawił o narodowości niemieckiej, młody, rycerskiego ducha Koerner śpiewał w biwaku *pieśń miecza* a Ruckert strzelał swojemi *zbrojnemi sonety* a) jak ostreimi strzały.

Lecz zaledwie z wysokości swego wozu rzuciło im zwycięztwo kilka palm nie płodnych, ci żołnierze jednodniowi pospieszyli do domów; a widząc ich, jak najrychlej zabierających się do nauki, rzec było można, że chcieli piórem nagrodzić czas, stracony z orężem w ręku, i potok krwi wylanój, zatopić w falach atramentu. Już w 1815 Uhland zapytywał z duchem proroeka-poety, czy boje i rany jego czasów ludzi, posłużą na co następcom. Dziś możnaby na to odpowiedzieć. Te boje i rany posłużyły za przedmiot wielu pisarzom i zrodziły mnóstwo książek. Niemcy, po bitwach nie wzniesli bronzowego pomnika jak francuzi, lecz wyższy i

---

a) *Geharnischte sonnetten*, świeżo przedrukowane pod tymże tytułem.

większy mogliby wystawić z broszur, pisemek, dySSERTACJI I niezliczonych opowiadań zrodzonych w ostatnich wojnach. W Niemczech połowa życia upływa na rozmyślaniu, druga połowa na pisaniu. Przejdź wszystkie zakąty staréj Germanii, zajrz do jakiego chcesz miasteczka, do nędznej miejsciny, w każdej znajdziesz pewnie drukarnią, może gazetę, a pewnie dwóch lub trzech literatów, piszących. Ci, którzy nie mają jeszcze posad, piszą aby je otrzymać, ci co są w urzędowaniu, piszą aby okazać, że są w stanie spełniać je godnie. Professorowie Uniwersytetów piszą dla utrzymania sławy swojego uczonego zgromadzenia, młodzi ludzie za ledwie schodzący z ławek szkolnych, piszą mszcząc się za odebrane od mistrzów swoich lekcye, słowem w tym szczęśliwym kraju, wszyscy piszą lub przynajmniej marzą o szczęściu pisania.

Niemcy całe, są rzeczpospolitą mandarinów (przypuszczając że wyraz mandarin nie jest zupełnie jednoznaczny z literatem.) Wydający najpotężniejsze tomy są Senatorami téj rzeczpospolitéj, bogaci xięgarze patrycyuszami, giełda Lipska Kapitołem. O czémże to nie piszą ci poczciwy, pracowici niemcy, od czasu jak się połączyli w jedno bractwo pisarzy i drukarzy! Pokażcie imie, fakt, książkę dawną lub nową, któreby nie zostały dotknięte i rozebrane przez



nich? Pokażcie myśl, któraby stokroć nie była przez nich rozkładaną, wyważoną? Coż jednak zostaje z téj masy xiąg, która co półrocze zalewa magazyny? Kilka dobrych ale rzadkich dzieł. Przeszedł ten czas, kiedy wielcy ludzie Wejmarscy zadziwiali świat wspaniałością swych tworów, kiedy Tieck budował swe czarodziejskie pałace kolumnami i łukami średnich wieków, kiedy Novalis opowiadał swe cudne widzenia, kiedy bracia Schlegel rozwijali swe wytworne teorye, a Jan Paweł Richter przebiegał olbrzymim krokiem nieskończoną krainę wyobraźni. Skonały jeniusrze, ludzie utalentowani drugiego rzędu, którzy ich przeżyli, zatrzymali się na drodze, znużeni wiekiem, zaskoczeni snem zarychłym. Pierwszy z nich najsilniejszy, po najsilniejszych, Tieck, rzadko już bardzo w osłabione ręce bierze pióro i papier, na któren wprzód wylewał tyle wdzięcznych fantazyi. Uhland swą melancholijną arfę rzucił pod trybuną. Grillparzer rdzawieje, dawszy się owionąć życiu zwykłemu swych współbraci.

A. W. Schlegel pisze wiersze saficzne, a od lat kilku muza zadumana i żartobliwa Henryka Hejne, przestała odzywać się piosnkami.

Minął czas dzieł wielkich. Goethe zakończył tę erę świetną, której przebiegł wszystkie epoki. Jak pilny gospodarz, który dogląda dzieła przedsięwziętego do końca, doczekał zejścia

ostatniego z robotników i schodząc do grobu, zamknął za sobą wrota, które otwarli Klopstock i Lessing. Gdy Goethe umarł, ci których on wstrzymywał potężném swém spójrzeniem, sądzili że przyszła godzina ich panowania; rzucili się na łupy jego, jak dawniej centurioni na pozostałe cesarzów Rzymskich insygnia. Temu dostało się berło, temu korona, ciężące i wgniatające ich do ziemi. Wielki cień poety uśmiechać się musiał za grobem. Ale, gdy postrzegli dziedzice, że wdziękując suknie Goethego, nieknęli w nią zupełnie; niemogąc go zastąpić jeli go zaprzeczać. Porzucili drogę przez niego utorowaną, tak piękną i szeroką, a złożyli towarzystwo, które nazwali *Mtode Niemcy* i poczęli od pierwszego dnia zaraz kazać i dogmatyzować. Między innemi to towarzystwo zowiące się narodowém, wynosiło nad wszystkie jeniussze Voltair'a; a apostołowało za Saint-Simonizmem! Myśli nowe zaiste!!! Założono dzienniki (między innemi *Fenixa*, który splonął już na wieki) pisano dramata, romanse, poezye, sądząc że niemi zreformuje się świat, brano nawet w dobrą wiarę oburzenie wzbudzone paradoxami, za oznakę powodzeń, kadzono się na wzajem i lubowano w tych dymach, których sobie członkowie po bratersku nie szczędzili. Już już miała się świątynia zamknąć dla braku prozelitów, rozwiniąwszy wszystkie swe teorye i

wyłożywszy obszernie korzyści swych zasad i wdzięki swego stylu. już, już miano usnąć w czczości i nikczemności dokonanego dzieła i pozyskanėj sławy, gdy towarzystwo zaczęło być prześladowaném; to je ożywiło trochę na kilka miesięcy przynajmniej.

Nareście pękły węzły wszystkie, a najgorętsi apostołowie zmienili się w uczciwych i spokojnych obywateli, żyjących w najlepszych ze wszystkimi stosunkach. Jeden z członków, który rzucał anathema, na instytucją małżeństwa, pierwszy się ożenił. Drugi, sławny z zapalczywości demagogicznój, zysk z sprzedaży ostatnich swych rękopismów, obrócił na sprawienie sobie liberyi i pracuje nad ułożeniem herbu.

Nie ma teraz szkoły pisarskiėj w niemczech, a raczej tyle jest szkół, ile ludzi piszących książki. Uczony, który nowym sposobem tłumaczy tekst starożytnego pisarza, stawia się głową nowėj szkoły, poeta który niezwyčajnym sposobem powiąże zgłoski i trafi na rytm nieznany, staje się także naczelnikiem szkoły. Krytyk paradoxem, historyk cytacją, romanso-pisarz melodyą miłostnego frazesu lub zręcznie użytą zbrodnią; zakładają szkoły. Zaledwie książka tego rodzaju ukaże się; nad obozem literacko-naukowym, jak gdyby się zjawiała chorągiew, spieszą do niėj wszyscy piszący i piórem wo-

jujący. Jedni napadają na nią, drudzy jej bronią. Dwa stronnictwa rzucają na siebie dysertacyami, metaforami, cytataми. Rzekłbyś że to jedna z tych walk scholastycznych średnich wieków; jedynym zaś tego wszystkiego wypadkiem coż jest? o to zbiór artykułów po dziennikach, xiążek, świstków, które czas zmiata i pogrąża w letę zapomnienia.

Natura niemieckiego języka, przyczynia się jeszcze do powiększenia liczby tych sekt jednolitych. Język podlega co dzień nowym próbom i nowym rozbirom; ludzie wielcy XVIII wieku wydoskonaliли go bardzo, lecz nie ustalili zupełnie. Żadna akademia nim nie rządzi, żaden professor retoryki nie przepisuje mu reguł. Nie ma obowiązku jak francuzki, iść ostrożnie brzegiem ścieżki, której znane są wszystkie zakręty, unikać zadawniałych sposobów mówienia i uciekać od neologizmów. Język niemiecki stosuje się do wszystkich fantazyj pisarza, poważny jest lub lekki, przybiera szatę średnich wieków lub gazowy strój tegoczesny, składa wyrazy, wymyśla przymiotniki, tworzy przekładnie. Ku południowi staje się słodkim, miesza więcej samogłosek dla przymilenia się uszom kobiet i poetów, ku północy, twardnieje, staje się filozoficznym, nie lęka się wszystkich innowacyj filozoficznych. Tu, jest on mieszaniną wyrazów cudzoziemskich, słów

zamienionych w rzeczowniki, frazesów których nie widać końca, w których znaki pisarskie nawet nie pomagają do wyjaśnienia rzeczy. Indziej, jest delikatnym haftem narysowanym sztucznie, wypracowanym starannie we wszystkich szczegółach. Koniec końcem, w Niemczech tyle jest języków, ile klas oddzielnej natury pisarzy. Język poety inny jest wcale, inny język historyka, innym pisze autor romansów, innym filozof. Hegel stworzył sobie jakiś dyalekt, którego wyrazów trzecia część nie znajdzie się w żadnym dykcyonarze, a wielu innych pisarzy miałoby wielką zasługę u poczynających czytać ich dzieła, gdyby byli łaskawi łączyć do nich glossarya i noty; bo, choć z tej różnorodności stylów, wynika bogactwo filozoficzne, sprowadza ona także zamieszanie, mianowicie, że wielu pisarzy niemieckich, zajętych jedynie główną myślą swego dzieła, obchodzą się z językiem, jak mistycy XIV wieku z ciałem, to jest uważają go tylko za grubą powłokę i materią, nie wartą zastanowienia i pracy. Był przed kilku laty w Heidelbergu professor, którego umysł wznosił się do najsubtelniejszych spekulacyj filozoficznych.

W ciągu długiego i pracowitego życia, wszystkiego się nauczył, wszystko zbadał, jedną tylko małą rzecz zapomniał, sądząc ją nie-

godną siebie: zapomniał nauczyć się sztuki arcypospolitój jasnego wyrażania swych myśli.

Gdy posyłał uczoną jaką rozprawę do roczników Berlińskich, cały komitet redakcyjny zgromadzał się dla czytania jój i tłumaczenia. W najciemniejszych miejscach każdy dawał zdanie; ale najczęściej szanowne to zgromadzenie, niemogąc wydołać téj pracy sfinxa, niepojmując wysokich zagadnień filozofa, odrzucało je, z żalem zostawując w rękopiśmie. Historia tego profesora jest historią wielu Niemców bardzo zapewne uczonych, lecz których nikt nie czyta, bo ich niepodobna zrozumieć.<sup>a)</sup>

W niedostatku wyższego rzędu jenuzu, któryby wskazał prawdziwą piękność i w sferę swoją pociągnął drugiego rzędu talenta; każdy pisarz idzie drogą jaka mu się podoba, każdy tworzy swoją teorią i język, ten źle, ten dobrze, wiele stopnia siły i cierpliwości. Każdy z nich, wydawszy dzieł kilka i nasyciwszy się ich sławą, w myśli swój staje się ważną postacią, koronuje się własnymi rękoma i czyni się królem małego jakiegoś kraju.

---

a) I to i wiele innych zdań przebaczymy powierzchownie trochę rzeczy biorącemu francuzowi, zdało mu się zapewne, że nikt nie zrozumie tego, czego on nie pojął!

(P. R.)

Odtąd wierzy w siebie najmocniej, tytułuje się królem z łaski Bożej i muz, a za zdradę uważa najmniejsze pokuszenie się krytyki. Jest i we Francyi wielu takich królików, ukoronowanych płatnemi pochwały i feuilletonami. Tam jednak, mimo blasku korony, widać nieraz ich nikczemność, są co ją czują, są co panowaniu przeczą. We Francyi, gdy żaden pisarz wielki nie ukazuje się na horyzoncie, żadne dzieło znaczące nie zjawia się w literackim świecie; krzyczą że sztuka upada, że brak myśli i żywota. Te krzyki oznaczają przynajmniej uczucie wewnętrzne potrzeby innego stanu rzeczy.

To czego się lękają, wyraża razem czego pragną; w Niemczech zaś zadowolniają się uspianiem, którego marzeń nie nie przerywa. Od dziesięciu lat, śmiało powiedzieć można, wielka liczba Niemców uczuła jak miły jest odpoczynek, jak szczęśliwa mierność.

Szczególną anomalią, iż ludzie którzy względem siebie, w stosunkach z sobą, są pełni obrazającej się dumy, dla cudzoziemców, skromni się stają zupełnie. Zjadle wyrywają sobie berło literackie, ale ustępują go grzecznie sąsiadom. Xiążka napisana w ich języku, wydrukowana w kraju, musi się lękać zabójczej pałki krytyka; lecz dzieło przybywające najskromniej z za Renu, lub z za oceanu, według wszelkiego podobieństwa, spodziewać się może pa-

tentu nieśmiertelności. Smutny jest ten stan rzeczy, bo w nim się zawierają oznaki słabości i zawiści, z jednej strony objawia się srogość niesprawiedliwa, z drugiej przesadzone uwielbienie, a co najgorzej brak zupełny uczucia narodowości. Cudzoziemiec lubiący Niemcy, pojmujący czémby ten kraj być mógł, zasmuca się widząc go poniżającym się dobrowolnie, zapierającym się swych sił. Stan rzeczy jaki malujem z boleścią, jest istotnym, niezaprzeczą mu Niemcy sami. Póki żył Goethe, wstrzymywał ich nad brzegiem, z którego gdy zabrakło silnej ręki, zsuwać się w głębinę zaczęli. On starał się utrzymać swoich ziomków w uczuciach szlachetnej dumy i narodowości. Wspomnienia jego lat świetnych, świeże jeszcze, wpływały na ugruntowanie w tych uczuciach. Dość było spojrzeć na kilka lat ubiegłych, wspomnieć sławne imiona tych, którzy z łona ich powstałi, dzieła których dokonali, aby się przekonać ile było życia i siły w Niemczech. Lecz zaledwie zgasły ostatnie brzaski téj świetnej ery, Niemcy uczuli niespokojność i pomieszanie na widok opasujących ich cieni i poszli dawniejszą swoją drogą. Dziś chylą się przed zagranicznymi wyroby literatury, niżej jeszcze niż za czasów Gothscheda. Trzeba się przypatrzeć z jakim staraniem ci literaccy herboryści układają w swych zielnikach exotyczne plan-



ty, z jakim zapalem poszukują wszystkiego, co pochodzi z Francyi, jak przedrukowują dzieła francuzkie, jak je tłumaczą. W tém zapalczywém odtwarzaniu literatury obcej, Niemcy, musim to wyznać, nie zawsze nawet złe od dobrego rozróżniają. Mylą się w sądach o stylu i wartości dzieł wielu francuzkich pisarzy; na jednej szali kładą płody bardzo różnej wartości i wprowadzają do pantheonu imiona, które się indziej nie spotykały. Bojąc się opuścić cokolwiek; chwytają co tylko wpadnie im pod rękę, od gałęzi cedru aż do listków hysopu. Nie ma we Francyi takiego pisarza, któryby nie był cytowany, rozbierany, a nawet tłumaczony za Renem, bo w Niemczech wszystko tłumaczą.

W Lipsku, w Jenie, są fabryki tłumaczeń, jak gdzieindziej drukowanych płócien, są wyrobnicy pracujący za byle od łokcia, od sążnia, którzy rano przy śniadaniu zaczynają przekład romansu, a we dwa dni potem rzucają go pod prasę, w niemieckiej sukni, gotowego wystąpić na świat. Z czego nie można zrobić książki, składają żurnale, dzienniki — Hamburskie *Literackie kartki*, *Didaskalia* Frankfortskie, *Minerwa* wychodząca w Jenie, *Europa* w Stuttgardzie i pięćdziesiąt innych tygodniowych pism lub miesięcznych, tłumaczą z francuzkich *Revue*s i dzienników. Z tych publikacyj, lepszymi są *Magazyn* P. Lehman i *Ausland* P. Pfizer,

które przynajmniej spełniają sumiennie to, co inne dzienniki starają się tylko dokonać jak najprędzej.

Ale to jeszcze nie wszystko. Niemcom nie dość, że z daleka obserwują francuzów, starają się im przypatrzeć z bliska i podróżują często w tę stronę. Często oni wyrzekali przeciw pisarzom francuzkim, że źle malują ich kraj, chcą też zapewne przykładem okazać, jak potrzeba poznawać obyczaje, ducha i charakter obcych narodów. A chciecież wiedzieć, jak podróżni niemieccy, którzy głośno wołają — Byłem we Francyi!! — widzieli ją i poznali? Oto dwa fakta na próbkę. Niemiec jeden przybywa do Paryża przed kilką laty, uważcie że to był człowiek w ważnym urzędowaniu, professor uniwersytetu, doktor filozofii, przyszły członek konsystorza, jednem słowem, znakomita figura. Wylądowuje na ulicy Richelieu, tém stanowisku zwyczajném, wieśniaków i cudzoziemców; tegoż dnia rozsyła prosząc o posłuchanie do dwunastu pisarzy, których uważał za najwięcej znaczących. Pierwszym z nich był P. Châteaubriand, drugim Paul de Kock, a P. Touchard-Lafosse zdaje mi się następował immediate w spisie po Wiktorze Hugo. Gdyby dziś przybył znowu, musiałby do nich dołączyć koniecznie P. Flourens. Nazajutrz najawwszy kabriolet, oddał jedenaście wizyt. Miał wielką ochotę

tę za jednym zachodem i dwunastą odbyć, ale tu trzeba było jechać aż za miasto, bo dwunasta była dla Berangera, który mieszka w Passy. Dopelnivwszy tego, Niemiec poszedł odwiedzić inwalidów i cyrk Frankoniego, burzę i kawiarnię ślepych (Café des Aveugles) ogród botaniczny i smętarz Lachaise. Przypatrzył się trzem xięgarniom i dwóm składom litografii, ponotował sobie z gazety wieczornej polityczne wiadomości, przebiegł w tymże celu pamflet P. Cormenin, kupił trzy romanse, które przedsięwziął tłumaczyć i pospieszył potem do dyliżansów Lafitta. W ośm dni po sławnym swoim wjeździe na ulicę Richelieu, już był na gościńcu do Niemiec, a ledwie z powrotem do uniwersytetu, wydał dość spory tom pod tytułem: *Listy o Paryżu (Briefe über Paris, von O. L. B. Wolff.)*

Inny Niemiec, który nie jest jeszcze profesorem, ale nim pewnie będzie i stara się sławę professorską uprzedzić pozyskaniem literackiej, mieszka w Paryżu od lat trzech, samotny w hotelu, jakby w studenckiej ciupce w Goetindze lub Lipsku. Nie wychodzi z domu, nie bywa na zgromadzeniach, nie miesza się do żadnego stronnictwa politycznego, do żadnej salonowej koteryi. Jeśli kto go odwiedzi, to chyba Niemiec; jeśli on sam zdecyduje się wysunąć się z pantofli i szlafroka, wybiedz zuchwale

na ulicę, to chyba dla odwiedzenia Niemca. Resztę czasu, poświęca przerzucaniu najcięższych woluminów z zadziwiającą cierpliwością, rozbiorowi całego *Monitora*, tłumaczeniu arkuszy ogromnych francuzkich gazet. A gdy tak zatrudnia się zbieraniem nót i posłyszysz rozruch w ulicy lub spadającą z dachu dachówkę, wysadza ledwie głowę i zaraz wraca znowu do swojej roboty. Cóż myślicie za dzieło pisze on w tém ustroniu, do którego nie dochodzi żadną szparą życie zewnętrzne? Dzieło w czterech tomach in 8-vo pod tytułem: *O stanie politycznym, moralnym i umysłowym Francyi w r. 1840*. Że to dzieło może w sobie zawierać ciekawe poszukiwania i wiele erudycyi, tak się zdaje; lecz żeby mogło malować żywo Francją — bardzo wątpię.

Jednakże wszystkie te książki dobre i złe, pisane pospiesznie lub powolnie wypracowane, drukują się i sprzedają, bo Niemcy potrzebują niezmiernie wiele książek. Potrzebują ich ludzie światowi, których jeszcze jak we Francyi, nie zajmuje wyłącznie polityka, potrzebują ich spokojni, szczęśliwi średniej klasy ludzie, mający sobie za obowiązek uczyć się i oświecać, potrzebują ich nawet rzemieślnicy i wieśniacy, wszyscy umiejący czytać i pragnący przy warstacie lub w chatce mieć kilka tomów na wieczory zimowe i dni niedzielne.

Ztąd pochodzi, że xięgarze, którym się trafiają fałszywe spekulacye, i którym w końcu roku wraca część dzieł nieszczęśliwych zwanych *rakami* (*krebsen a*) z bogacają się jednakże, lub przynajmniej utrzymują swoje interessa w dobrym stanie.

Malowałem dotąd złą stronę literatury niemieckiej, jest jednak druga, na którą miliej spojrzeć. Tracąc kolejno ludzi, którzy wzniesli tak wysoko Niemcy w opinii obcych narodów, nie pozbyły się one wszystkich swych ilustracyi, jak las, w którym siekiera drwała nie zostawi drzewa ni krzaczka. Życie ich nie zgasiło pod żałobą, męska piękność narodu nie osłoniła się całkiem wdowiemi szaty. Póki kraj tak wielki trzyma się swych spokojnych instytucyi, ogranicza się rozsądnemi ulepszeniami, i zachowuje zwyczaj pracy nie tracąc przymiotów swych głębokiej rozwagi i wytrwałości; czegoż po nim nie można się spodziewać dla literatury i nauk! Obracam się do was, szkoło braci

---

a) Wszystkie operacye xięgarskie w Niemczech, zaszczają się na komissach. Wydawca rozsyła exemplarze książek wydanej swoim korrrespondentom, którzy na jarmarku Lipskim rachują się z nim jeśli rozprzedali dzieło, albo pozostałe exemplarze zwracają. Exemplarze tym sposobem wracające nazad, zowią się terminem zwyczajnym *rakami* (*krebsen*.)

Grimm, i uwielbiam wzniesienie gmachu, zbudowanego przez was z tylu poszukiwań i pełnych talentu obserwacji. Otwieram podwoje Uniwersytetów, i spoglądam na cmy erudyty, którzy z cierpliwością mniszą, kończą prace poczęte przez swych poprzedników. Tu, Otfried Müller dopełnia swych poszukiwań archeologicznych, tam Ritter dodaje kartkę do swojej geografii, a gdy Bopp i Hammer, pod względem literacko-filologicznym korzystają z skarbów wschodu, Lachmann, Wolff, Hoffmann von Fallersleben, Vander Hagen, pobożną dlonią zbierają szczątki poetyczne średnich wieków. Jeśli tu nie cytuję Humboldta, to dla tego, że czytelnicy naprzód o nim sami pomyśleć musieli, bo mówiąc o uczonych Niemcach, on pierwszy przedstawia się każdemu. Z tego pola naukowego, schodząc do poezji, znajduję ostatnie wiersze i ostatnie listy, które Chamisso umierając, zostawił w spuściznie; dwanaście miłosnych idylliparabole wschodnie, i melancholiczne elegie Rückert'a. Obok smutnych i zimnych kwestyj zrodzonych xięgą Strauss'a, oto pobożne piosnki i najwne legendy Guido Goerres'a, syna filozofa, który je w myśli religijnej rozrzuca wśród katolików. Obok wszystkich słabych literackich naśladowań francuzów, oto poezye Gustawa Schwab, i podania niemieckie zebrane na północy i południu, mające przynajmniej na sobie charakter

narodowości. Wreście, wśród mnóstwa prób dramatycznych bez talentu i siły, po większej części kalkowanych z francuzkiego teatru, ukazują się niektóre, wróżące lepiej na przyszłość. Taką, między innemi, jest tragedia *Griseldis*, której autorem syn sławnego dyplomaty, P. Münch-Bellinghausen, pod pseudonimem skromnym, F. Halm. Jest to jedno z najtkliwszych podań średnich wieków udratyzowane przez człowieka, który głęboko uczuł piękności naiwne i poetyczność tej epoki. Jest to obraz poświęcenia się wielkiego, poświęcenia się kobiety miłości ku swojemu mężowi. Odzywają się tu wszystkie imiona znane w podaniach dawnych, ukazują wszystkie ślachtetne i wdzięczne postacie, odmalowane przez dawnych poetów Francyi, Niemiec, Włoch i Anglii; waleczny Artur, piękna Ginevra i Lancelot du Lac i Tristan, którego tragiczne przypadki opisał Gotfried Straburski i odważny Percival, o którym Wolfram z Eschenbach wyspiewał poemat dłuższy od Illiady! Wszystkie te jednak postacie nikną przy Gryzeldzie, biédnej córce węglarza, uwielbianej na świetnym dworze, przy tej kobiecie bez żółci i zazdrości, przed którą schyla czoło królowa. Nic tkliwszego nad scenę, w której, pozbawiona dziecięcia, wypędzona z domu, opuszczona przez męża, oddala się szepcząc jeszcze ostatnie życzenie szczęścia dla tego, który

wzniosłszy ją wysoko, dawszy jój imię wielkie, odrzuca ją znowu w nędzę i cierpienia. — Lecz, gdy jój potem oznajmują, że wszystkie jój cierpienia były tylko igraszką, że wydzierając jój dziecię, wypędzając z zamku, odzierając z imienia, chciano tylko wypróbować jój cierpliwości i łagodności; gdy się dowiaduje, że mąż własny śmiał jój zadać tyle boleści — znikają dla niej wszystkie złudzenia, znika szczęście. Dla tego, o którym sądziła że ją prawdziwie i gwałtownie kochał, znieść potrafiła wszystko, upokorzenie, ubóstwo, samotność; lecz myśl że została igraszką dziwaczego kaprysu, przedmiotem próby, ona tak ślachtetna, tak czuła, tak pewna swojej miłości, myśl ta sroższą jest dla niej niż doznane wprzód boleści. Naówczas pełna godności oburza się, i odrzuca od siebie tego, który był ślepym i poznać jój nie umiał, który był Nielitościwym i zadał jój tak okropne męczarnie. — Tu kończy się dramat. Nie zakrwawia go żadne zabójstwo, ale obraz ten przedstawia okropną boleść, wiarę gasnącą, myśl ślachtetną zabita i piękne serce na wieki zakrwawione. a).

Jest jeszcze gałąź literatury niemieckiej, która zasługuje na wzmiankę; — składają ją wszy-

---

a) Tragedya ta, która miała wielkie powodzenie w Niemczech, przetłumaczono na francuzki, układają ją nawet dla teatru.



stkie *Keepsake, Annuals, Taschenbücher* (noworoczniki), które w miesiącu Grudnia ukazują się w oknach każdej księgarni, w wytwornej oprawie, jak wiązanek kwiatów, które mieszkańcy północy rozwieszają nad oknami, dla ożywienia smutnych dni sniegu i zimy. W Anglii, drukują je na najpiękniejszym welinie, okrywają złotem i aksamitem, i mieszczą wrzędzie rzeczy *modnych*. We Francyi służą tylko dla dogodzenia wieśniakom i cudzoziemcom, którzy ich poszukują. W Niemczech jeszcze noworoczniki mają znaczenie literackie. W nich to około połowy XVIII wieku studenci Goetingscy poczęli drukować ody i elegie, które przepowiadały nową erę poezyi niemieckiej. W jednym z tych noworoczników Goethe i Schiller ogłosili sławne swe *Xenie*; bo one długo w Niemczech tém były, czém są we Francyi *Revue*s. W nich poeta i romansopisarz występowali raz pierwszy na świat literacki, a wielu pisarzy znakomych nieopuściło zbioru, który przyjął pierwsze ich próby.

Tieck wspierał *Urania*, dając jej co rok jedną z pięknych swych powiastek, nie dawno jeszcze przed śmiercią Chamisso imię swoje kładł na czele *Almanachu Muz*. W kraju, który całe swe życie naprzód układa, który za szczęście uważa powrót systematyczny jednakich materyalnych i umysłowych rokoszy, u-

kazanie się tych książeczek, które pod morowym futerałem ukrywają pretensye do wdzięku i wytworu, jest przyjemnością naiwną oczekiwaną zdawna, jakiej Francuzi nie pojęliby teraz. Niemcy równie zasmuciliby się, widząc zimę przechodzącą bez *Noworoczników*, jak wiosnę bez kwiatów lub jesień bez żniwa. Większa część tych zbiorów zawiera tylko powieści i poezye. Inne poświęcone są artykułom o sztuce, teatrze, historii. Każdy sobie wybiera noworocznik, jak gdzie indziej gazetę; są rodziny, w których szafach zachowują się święcie noworoczniki, jak pamiątka lat ubiegłych.

Z publikacyj poważniejszych wymienię książkę P. Arndt, o główniejszych wypadkach życia Gustawa III i Gustawa IV (*Schwedische Geschichte unter Gustaw dem dritten*). Jest to ten sam P. Arndt, który w czasie wojen niemieckich z Napoleonem, odznaczył się nadzwyczajną przeciw niemu nienawiścią i pismami swemi przeciw Francuzom. Gdy bitwa pod Jena zachwiała los Pruss, Arndt nie czując się bezpiecznym uknął do Szwecyi, gdzie pisma jego, anti-napoleonskie, zjednały mu naturalnie łaski Gustawa IV. Mieszkał czas jakiś w Stockholmie, przebiegł potem niektóre prowincye Szwecyi, opisał swoją podróż dość jednostajnym i nudnym sposobem, ale zawarł w niej wiele ciekawych obserwacyj i faktów. Potem wró-

cił do Niemiec i został professorem w Bonn. Tu rozpoczął swoje diatryby przeciw Francyi i rozprawy o stanie Niemiec. Podejrzany wkrótce od rządu, zaledwie, usunięty od wykładu publicznego lekcij, mógł się usprawiedliwić i wrócić do spełniania pierwszych obowiązków.

Dzieło teraz wydane, nosi na sobie cechy jego sposobu widzenia rzeczy politycznego. W przedmowie wyznaje, że powziął sympatyą dla Gustawa IV z nienawiści, jaką tchnął ku Napoleonowi. We wstępie maluje obraz obszerny i zajmujący stanu Szwecyi. Wszystko co pisze o stanie moralnym kraju, charakterze ludu i obyczajach, jest hardzo rozsądném i sprawiedliwém. Nie cierpi tylko arystokracji. Ile razy wspomni o niej, burzy się i wzdyma. Zapomina o tém, że ona przez kilka wieków była Szwecyi podporą, najistotniejszą częścią jój bytu, że się wstawiła na polu bitwy z Gustawem Wazą w lasach Delecarlii, z Gustawem Adolfem pod Lützen, z Karolem XII w Polsce. Opowiadanie następujące po wstępie nosi na sobie też cechy anti-arystokratyczne. Gustaw III i Gustaw IV ukazują się w niém, jako dwie postacie wielkie i poważne, wśród otaczających niespokojnego charakteru magnatów. Oba jednakie, wyznaje autor, mieli swoje wady, ale byliby największemi w świecie królami, gdyby nie otaczająca ich arystokracja. Takie zdanie

autora, ale jak fałszywe; każdy znający historią, łatwo postrzeże.

Gustaw III był, prawda, monarchą obdarzonym wielą przymiotami, piękny, dowcipny, uczony, namiętnie kochający sławę wojenną i naukową; lecz oślepił go widok obcych dworów, zaparł się mężkiej prostoty swych przodków. Otoczył się przepychem, naśladował kosztowny zbytek Wersaillu. Jednym słowem, z większą godnością i wznioslejszym umysłem, był Ludwikiem XV, Szwecyi. Był kochany i czczony jak on, lecz jak on także na kilka lat przed śmiercią, postradał współczucie.

Co się tycze Gustawa IV, popełnił on tylko jeden błąd niewielki, zdało mu się że był w siłę walczenia z Napoleonem z Francją, i nie jedną Francją z Rosją, Danią i Anglią! — sam jeden zapędził się w wojnę ze wszystkimi. Królestwo swoje wyobrażał sobie ziemią bajeczną, jakąś, której obszerności i bogactw nie pojmował dobrze. Jednego razu, nakazał kontrybucją 200,000,000 i bardzo się zdziwił dowiadując, że ta summa składała dwudziestoletni dochód całego kraju. Zdawało mu się że Szwecya była jeszcze *vagina gentium*, której ziemię uderzyć było tylko trzeba, żeby ludzi wydała. P. Arndt umniejszył ile możności błędy obu panujących; z tego względu dzieło jego nie jest kompletném, lecz zawiera ważne dokumenta

objaśniające wypadki, których sam autor był świadkiem. Zresztą, dotąd nie mieliśmy dzieła tak obszernego o tej epoce historyi Szwedzkiej, a nim Geijer odmaluje ją z przenikliwością sobie właściwą, a Fryxell ożywliwością myśli i siłą stylu, dzieło P. Arndt, będzie ciekawym pamiętnikiem, dającym się czytać z korzyścią i zajęciem.

Inny professor Uniwersytetu w Bonn, P. Loebell, który wydał już kilka rozpraw historycznych dość ważnych, napisał właśnie dzieło bardzo zajmujące. Jest to biografia dość obszerna Grzegorza z Tours (*Gregor von Tours und seine Zeit*), obraz jego epoki, i ludzi współczesnych. P. Guhrauer, który w r. 1839, przesłał akademii francuzkiej umiejętności moralno-politycznych, pamiętnik o projekcie ekspedycyi do Egiptu podanym Ludwikowi XIV przez Leibnitza, dokompletował teraz wiadomości o tym ciekawym fakcie i napisał o tém książkę, ważną dla historyków francuzkich (*Kurz-Mainz in der Epoche von 1672.*) P. Heeren i Uckert, którzy przedsięwzięli zbiór kompletny dzieł historycznych, nie ustają w swęj pracy. Wyszła teraz *Historja Anglii* przez Lappenberga i początek *Historyi Danii* przez Dahlmanna. Z innej sfery poszukiwań, wspomnim tu o zbiorze całkowitym Minnesingerów, od tak dawna

orzekiwanym, a nareście wydanym przez P. Vander Hagen. [www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

Tak więc, rozbierając nowe katalogi xięgarzy niemieckich, jeśli w nieskończonej liczbie dzieł, które zawierają, znajdzie się wiele wartego nagany, znajdą się także, dzieła pochwał godne. Nawet ganiąc Niemcy, potrzeba im trochę zazdrościć. Winą ich jest zbytek xiążek, ale one są uczone, po większej części wypracowane; dowodzą usilności i płodności. Czytająca publiczność niemiecka z bogactwa xięgarzy, gdy we Francyi ich rujnuje. W niemczech potrzebują całych tomów, we francyi dość feuilletonu.

(X. *Marmier Revue des deux Mondes* 1840.)



## II.

### RZUT OKA NA LITERATURĘ ANGIELSKĄ.

---

W roku dopiero 1688 protestantyzm przeniósł literaturę i obyczaje w Anglii. Duch protestancki, którego losy i upadek odgadł Bossuet, nie zgadłszy długiej jego wziętości; analiza niezależna od indywidualnej krytyki gwałtownie się objawiły za panowania Elżbiety, Karola I, Karola II i Jakuba II; jako broń zaczepna lub odporna, lecz nie jako pierwiastek organiczny. Twórczość zdawała się przeciwną jego naturze, zamykał w sobie znaczenie ujemne, tendencją niszczącą. Rewolucya 1688 roku dopełniła osobliwszego dzieła, pogodziła najniezgodniejsze rzeczy i uorganizowała czczość. Wszakże osobne grupy zostały względem się-

bie nieprzyjacielskiemi; znuzone wojną śmiertelną, przestały na nienawiści. Złożono broń, lecz nie uczucia. Jeden tylko katolicyzm został wygnany. Jako nieprzyjaciel wspólny wszystkich, łączył on stronictwa różne, które innéj sympatyi, nad antypatyą mieć nie mogły.

Wilhelm III osiadł na tronie. Wnet zmienił się ton literatury, rozpadła się ona jak protestantyzm na części; stała się specyjalną, drobnostkową, ulamkową; przyjęła charakter szczegółowy *hollenderski*, życie prywatne uorganizowało się moralnie, indywidua stały się niezawisłemi, czego wprzód nie było. Wszędzie panował protestantyzm; organizował i literaturę, wedle metody krytyki protestanckiej. Historia moralna literatury dotąd nienapisana, w Anglii objawia się pod bardzo zajmującemi względami. Tak, w XVIII wieku, Anglia, w której łonie nie licząc katolicyzmu, było dwadzieścia sekt religijnych, w literaturze swéj, miała dwadzieścia literatur osobnych; rzekłbyś że to były poezye i dramata kilku narodów, nie jednego, tak się między sobą różniły. Pope reprezentował dwór i wielki świat, u niego i u Adissona pewna konwencyonalna moralność dobrego tonu, łagodziła rozwięzłość obyczajów dawnego dworu; został przy wytworności, opędzając się zepsuciu. Richardson idzie daleko dalej, jest purytanem popularnym, kalwinistą



nieubłagany i niechodź mi o to żeby się zabawił; cześć on przedewszystkiem prawdę aż w najdrobniejszych szczegółach i skrupulatną prawidłowość. Cały systemat filozoficzno-religijny zawiera się w jego romansach. Fiel-ding przeciwnie, ten sędzia pokoju, który tak wyborne rzeczy tworzył popijając maderę i zając pasztety ze zwierzyny, autor (*Tom Jones*) *Podrzutka*, nudził się ciągłym jednostajnym purytanów śpiewem, i wierny obyczajom klasy średniej swego narodu, obyczajom weselszym i łagodniejszym, wyśmiewał bez litości hipokryzyą i *cant*. Inni reprezentowali filozofią sceptyczną, kwakeryzm, kościół anglikański, narodowość irlandzką, narodowość szkocką. Co raz bardziej literatura dzieliła się i rozłamywała na części drobne. Jakobityzm, toryzm, whiggizm, miały echa swoje. Mnóstwo *Review* i *Magazynów* jęły przemawiać z osobna do części różnych towarzystwa, dzieląc się jeszcze wedle zatrudnień ich i gustów. *Młośnik ogrodnictwa*, *Boxer*, *Koniarz*, *Mysliwiec*, mają wierne organa swoje. Nie ma podobno najdrobniejszego towarzystwa billardowych graczy, któreby nie wzdychało do unieśmiertelnienia się drukiem.

Ten potop drobnostek przypaść tylko może do smaku mierności. Wielcy ludzie są heroicznego ducha, oni walczą ze swoim wiekiem;

to ich przeznaczenie. To też syntheza, myśli wielkie uniwersalne, stały się im najdroższe, a tém droższe im ogół rzucał się bardziej w nieskończone frakcye i wyszukiwał stosownych sobie drobnostek. Taki charakter Burke, Walter Scott'a, Burns'a, Byron'a, Godwin'a, Southey'a, Wordsworth'a. Oni przemawiali do całej ludzkości, nadewszystko Walter-Scott, nie tylko odznaczający się wzniosłością i kolorytem, jak raczej miłą swoją sympatyą ku całemu rodowi ludzkiemu. W tém jego sława i Goethe'go. Crabbe i Cowper, zdolności rzadkich, poeci wyborni, już nie tak daleko sięgają. Winniśmy oddać tę sprawiedliwość Bulwer'owi, że starał się przynajmniej o uniwersalność w sposobie widzenia rzeczy. Lecz mnóstwo podrzędnych talentów, wynoszonych wysoko przez lat parę, znikło w ścieżkach ciasnych i niedojrzanych; jeden malował tylko okręt, drugi pisał jedynie o więzieniach, inna nie śpiewała o niczem tylko o swoim dziecięciu, inna znowu oddała się przedmiotom Biblijnym. Z tego wynikły częstokroć powodzenia, prace niekompletne, sławy kuse przechodzące z głowy na głowę, a dziś Anglia właśnie widzi już skutek ostateczny tej analizy nieskończonej. Poruszenia umysłowe zwykle wyczerpnawszy się dopiero zupełnie, ustają. Analiza protestancka, tworząc drobnostki, zastosowując podział pracy do twórców u-

mysłowych, zniszczyła wielkie filozoficzne przedsięwzięcia i dzieła.

Anglia, miasto jednej wielkiej literatury, ma dziś ze sto rodzajów literatur różnych. Nadewszystko powodzi się teraz literaturze obrazkowej i literaturze komicznej. Ukazują się zrzadka utwory literatury morskiej (*litterature maritime*) na przykład *Spitfire*, nie zły romans Kapitana Chamier; ale Kalambury Hood'a, fałszywe Cruis-hank'a i jego akollitów, daleko lepiej są przyjmowane. Cała jedna *Review* (*the humorist*) zapełnia się farsami, jest prócz tego *Comic Almanack*, *Comic Annual*, *Comic Review*, i, (kto-by to już uwierzył!) *Komiczna gramatyka łacińska!!* Przekręcono gerundia w kalambury i karnawałowe maski powkładano imiesłowom. Nie ma zdaje się nad ten pewniejszych znaków upadku literatury, po epoce płodnej Walter-Scott'a i Byron'a. A choć komiczność jest w modzie, jednakże satyra Swift'a umarła; nikt berła jego potężnej żartobliwości i wyobraźni śmiałej a delikatnej, niepodniósł, berła, które po Sternie odziedziczył był Karol Lamb; epigrammatami dowcipnemi Thomasza Moor'a zamknął się spis postrzegaczy satyrycznych obyczajów. Pewien anonim świeżo chciał się próbować w tym rodzaju i wydał *Postrzeżenia xiężycowe*, pisane pewnie chyba dla mieszkańców xiężycy, a zaledwie warte wspomnienia.

Stary Southey, jak Jan-Paweł Richter, zbrawszy ~~szczęśliwych~~ wypisów i ostatki niewypotrzebowanej erudycji, złożył z nich pięć tomów mieszanin, szacownych dla tych, którzy lubią osobliwości literackie. Hartley-Coleridge, Croker i Wilson posądzeni byli z kolei o tę xiażkę, przez zaintrygowaną czytającą publiczność; lecz powszechne jest mniemanie, że autorem tych zajmujących fantazyj musi być Southey.

Rzadki to talent Roberta Southey; płodny, głęboki, ognisty, zbogacony nieustanną pracą, nie dał się pożyć wszystko wysuszającej starości. Stracił nieco wytworu, śmiałości, popędu, epicznej żądz przywłaszczania wszystkiego, zapomniał o utopiach uniwersalnych; ale pozostał jeszcze czynnym, czułym, marzącym, myślącym, uczonym. Między Robertem Southey i Karolem Nodier, znający dobrze obie literatury, znajdą wiele podobieństwa. Anglia umiała wspomóc rozwinięcie umysłowe swego historyka i filologa i godnie go ocenić; francuzi, chlubiący się swém zamilowaniem prac umysłowych, korystali z Karola Nodier przygniatając go, odejmując mu siły i odwagę, męcząc go i spotwarzając. Za ledwie Akademia francuzka, z roczną nagrodą tysiąca dwóchset franków pensyi, uwieńczyła w starości tego polyhista, filologa, umiejętnego pisarza, poetę razem i erudyta,

te szczególną i pełną organizacją, zawołano, że Nodier, ~~niewdzięczny~~ **nie dość się zasłużył**, i nie wiele napisał. A jednak autor dwudziestu wielkich tomów kompilacyj, bez krytyki i stylu, spi tymczasem na beczkach złota, i twórcy wielkich dykcyonarzy mahrattskich i czerkieskich, zaspiają także swobodnie w Instytucie, utytułowani geniuszami! nikt im nie wyrzuca. Chcą francuzi koniecznie *tomów*. Śmieszny to i smutny symptomat dzieciństwa umysłowego, braku zastanowienia; to uszanowanie dla ilości tomów, ta część liczby ich i wagi. Nie sądzą, ale ważą tylko. Nad gran złota, wołają centnar ołowiu. Sto tonów, które wydał P. Delille de Sales Akademik, czynią go bardzo ważną figurą. Te zaś umysły zamilowane w prawdzie, rozsypujące powolnie i po jednym rzadkie promienie zgromadzonego światła, te dusze myślące, głowy mocne, które przenoszą jedną myśl wielką, nad uporządkowane a próżne kartki i rozdziały, we Francyi późno są cenione i przez nie wielu. *Pascal, Vauvenargues, la Rochefoucauld*, ledwie się z tłumu wybili, bo mało po sobie zostawili. Anglicy tém są wyżsi że umieją oceniać ludzi z wartości, nie z wielości dzieł. Coleridge i Lamb są dla nich wielkimi ludźmi, czczonemi, ulubionemi, chociaż nie rozleli bardzo wiele atramentu.

**Mieszaniny Southey'a wydane pod tytułem:**

*The Doctor*, przypominają dziełko Karola Nodier, *Petits Melanges tirés d'une grande bibliothèque*. Angielski pisarz wszakże mniej się stara o porządek, więcej dziwaczy, swobodniej idzie, przemawia tonem mniej zwyczajnym i okazuje się istotnie daleko niepodleglejszym. Francuzi choć udają swobodę i kaprysy, zawsze jednak chodzą jeszcze na paskach; szanują konwenanse zamiast cnoty, niemając siły, podpierają się na kulach. Co się tycze nauki, dowcipu złośliwości skrytej, erudycyi, cytacyi, stylu, wdzięku, satyryczności delikatnej i miłej, dwaj pisarze nie ustępują sobie. Southey odważył się w swoich mieszaninach na wszystko, czego tylko Karol Nodier nieśmiało próbował w *le Roi de Boheme*, romansie który swego czasu za szalony uchodził, a wcale jednak szalonym nie jest. W *The Doctor* znajdzie się wszystko: cytacye, biografie, powiastki zabawne, anegdotki, dissertacye, portrety, poezye, novelle, kazania, popychają się i mieszczą razem. Jedne rozdziały mają po kilka wierszy, drugie po sto stronnic. Staruszek dla swojej zabawki, o niczem nie zapomniawszy, położył *Uwagi* na początku, *Przedmowę* na końcu, *Ostrzeżenie* wpośrodku. Są także *preludja*, *interludja*, *pod-rozdziały wstawki*, i wiele innych rzeczy, których tu za wzór nie stawię, bo składają w istocie tylko okładkę xiążki samėj. Odwin tę okładkę, znaj-

dziesz pod nią skarb zachwycających cytacyi wyjętych z zapomnianych poetów, z nieznanym prozatorów, z pisarzy fantastycznych, wiązanek kwiatów, których czas nie zniszczył, kwintessencją trzydziestu tysięcy tomów, całą uczonego tekę, ale uczonego z duszą poetyczną, który to wszystko wysypuje dla twojej zabawy. Jakiż jest pisarz tak nędzny i mizerny, któryby nie utworzył w szczęśliwej godzinie, choć kilku wierszy godnych zastanowienia? Ocean zapomnienia je zalał; wody wieków płyną po tych zatopionych perłach; cierpliwy i sprawiedliwy Southey nurza się w głębinach i dobywa je. Przyłączył on do tych szczątków, swoje osobiste wspomnienia, fantazyje dziwaczne, pewną dozę kalamburow, jakąś historią, której nie ma początku i nie dopytać się końca, trzy czy cztery osoby spadające jak z obłoków, a z tego wszystkiego złożona mieszanina sprzedawała się wybornie, choć anonime wydana.

Zresztą, berło literackiego królestwa, które po śmierci Waltera Scotta pochwylił E. Bulwer, odtąd jest ciągle w ręku umarłych lub odpoczywających. Bulwer, który poświęca teatrowi wolne godziny, oddał się cały politycznemu zawodowi. Co dzień gasną dawne sławy wielkiej Brytanii lub siwieją i chylą się do grobu. Brougham, Southey, Wordsworth, Campbell, Thomas Moore stoją jeszcze na ruinach i mogiłach

ludzi, którzy tak świetnie otwarli wiek XIX. Southey w ~~wsamotności, on~~ ~~igra~~ ze swemi wspomnieniami układając „*The Doctor*“ Wordsworth ukryty w lasach, używa swój sławy, dojrzewając z czasem. Southey, przeziera i gotuje wydanie swych dzieł kompletne, Thomas Moore z zapomnianych xiąg robi wyciągi, miss Edgeworth w przeciągu dwóch lat wydała słaby romans, pod tytułem „*Helena*“ lady Morgan gaśnie, Rogers milczy, Leigh Hunt, znakomity ale niekompletny talent, pisarz przesadzony, kolorysta fałszywy, który we Francyi zapewne pozyskałby wielką sławę, a w Anglii stworzył szkołę wyśmianą; traci swą przesadę i wziętość; Wilson spełnia missyą krytyka w *Blackwood* (Magazynie); Lockhart, Campbell i Croly toż samo czynią. Wydają, piszą noty, komentarze, dodają obrazki; Byron, Scott, Cowper i Crabbe przedrukowują się pod wszelkimi postaciami. Bulwer uważając zawód swój literacki za skończony, wydaje zupełną edycyą swoich romansów.

Jest to epoka annotacyi, nót, komentarzy; wydawania pośmiertnych listów i biografij. Korespondencya i dzienniki Shelley'a ukazały się, wydane przez kobietę. Zaczynają zwracać uwagę na tę poezyę metafizyczną, długo niewiele przez Anglików cenioną, poezyą przezroczy-  
stą, ulotnioną, która nie idealizuje rzeczywi-



stości, lecz usiłuje w formę stałą zbić chmury panteizmu mistycznego. Zresztą uwielbiając Shelley'a, nie naśladują go. Literatura Angielska wygląda już nie jak literatura, lecz jako literatury zakończenie; po dniu zmrok. Niema nic nowego, nic wielkiego. Gdzie się podzieli mistrze? Gdzie Crabbe tragiczny, Lamb wdzięczny komik, myślący Coleridge; genialny Godwin, który jedno tylko stworzył arcydzieło; Szkot Galt; młody natchniony poeta Keats; najliryczniejszy z nowych pisarzy Shelley; Mistriss Hemans, której natchnienie więcej się odznaczało moralnością niż poezją, i ta nieszczęśliwa Miss Landon, która usnęła na wieki nad brzegiem dalekiego morza? Gdzie są, ekonomista Sadler, demokratyczny Cobbett, mizantrop Egerton Brydges, który pisał liczne sonety i zbierał rzadkie książki? Nawet pasterz E-trick'i, odbicie słabe Roberta Burns, umarł także; wszystkie światła jedne po drugim, gasną.

Tak umilkła muza angielska za Jakuba I, za Karola I, po wielkim wspianiałym koncercie najwznioślejszych swych geniuszów. Trzydzieści lat upłynęło, Milton, Butler i Dryden, za Karola II, nowym ją blaskiem okryli. Znowu potem nastąpił spoczynek i milczenie, aż dopanowania w pół zfrancuziałego Pope, Adisson'a i Samuela Johnson; po nich jeszcze nowa przerwa wypełniona zwycięzkimi nicościami Mason'a

i Hayley'a. Z początkiem XIX wieku ozwały się inne głosy; trzydziści lat świetnych i płodnych nadeszły, ale się już kończą.

Nawet romanse Bulwera, ostatnie kłosy tego wielkiego żniwa, zdają się wyczerpane. Nie zobaczymy już dawnych lat, które przynosiły z sobą tom Byron'a, zbiór od Wordsworth'a, historyczne dzieło Southey'a, próbę Lamb'a, hymn Campbell'a, melodyą Thomas'a Moore. Dymi się jeszcze wielkie ognisko, ale ci co je rozłożyli, pomarli lub odpoczywają. Gdy niedawno staremu Wordsworth'owi oznajmiono o śmierci, Etrickiego pasterza, Hogg'a; upadek literatury, gaśnienie kolejne wszystkich pisarzy, oberwanych jak liście jesieni, przyszły mu boleśnie na myśl. Poruszony tém napisał odę pełną prostoty i naiwności, poświęconą pamięci starego przyjaciela, człowieka miłego i dobrego, poufatego Walter Scott'a i Wilson'a, wieśniaczego partyzanta prerogatywy, przyjemnego opowiadacza, tęgiego bibosza, wierszopisa łatwego i pełnego prostoty:

— „On to, (mówi Wordsworth) pasterz Ettrick'i, wiódł mnie za rękę, gdy raz pierwszy, schodząc z rodzinnych gór, odwiedził dolinę odkrytą i nieplodną, skrapianą wodami Yarrow'y.

— „On jeszcze wiódł mnie znowu, gdy raz ostatni nad temiż brzegi przechodził gaje, których złocony liść zerwany jesienią zasypywał ścieżki.”

— „Wielki ten poeta nie żyje. Leży na wieki wśród ruin, które w proch się rozsypują. Śmierć zawarła powieki pasterza-poety, uspięnego nad krzaczystymi brzegi Yarrow’u.

— „Zaledwie dwa lata ubiegły, jak cudna myśl Coleridge’a ostygła ze wszystkimi dary tego potężnego ducha.”

— „I on spi w mogile, i on, z iskrzącym okiem, z czołem boskim, duszą natchnioną. I on spi także, Lamb; nie ma go przy samotnym domowym ognisku, nie ma miłego, żartobliwego przyjaciela.”

— „Jak oni jeden po drugim uszli, brat po bracie, opuszczając ziemię podświetloną, dla świata, któremu nie przyświeca słońce! spiesząc się jak chmury przelatujące przez gór wierzchołki, jak wody, których nic nie wstrzyma!

— „A ja zostałem, ja com przed nimi wszystkimi obudził się w kolebce dziecięcej; ja zostałem słuchając głosu, który mi szemrze i pyta — „Kto teraz upadnie i zniknie z was pierwszy?”

— „Życie nasze wieńczy się u wierzchołka ciemności, jak Londyn okrywa się czarnymi wyziewy; Londyn, na który patrzałem z tobą zdaleka, o Crabbe, gdyśmy stali razem na wrzosach Hampstead’skich, owiani łagodnym wiatrem.

— „Wczoraj to było, mój przyjacielu, a ciebie już nie ma, tyś mnie sam uprzedził. Możemyż słabi pozostawcy, płakać po was, dojrzałe kłosa, których żniwiarz zebrał?

— „Płacemy, ale po tej kobiecie-poecie (Mistriss Hemans), która uszła przed czasem, czysta dusza, duch

święty, nieskażona jak powietrze wiosenne, głęboka jak morze, płaczmy po tej, która zwiędła nim jesień nadeszła.” [www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

Dziwny to widok, u zmierzchu dnia umysłowego żywota; ciemności już wpół okryły przedmioty, wszystkie barwy gasną, i wielka zasłona spuszcza się, jak mówi Dante, na *belle cose*, piękne rzeczy stworzenia. My cośmy widzieli z blizka rozwinienie tych wszystkich kwiatów świetnych; my cośmy byli w Londynie, gdy Child-Harold z Włoch i Grecyi spadał na Anglią, jak lawa daleko wybuchłego wulkanu, my cośmy byli w Edimburgu, gdy *Waverley* wzbudzał równe uczucia w czułych i surowych sercach; nie możemy, na widok tego upadku coraz wyraźniejszego a nieuchronnego opędzić się smutkowi, któren głębiej jeszcze dojmuje czytając piękne strofy Wordsworth'a.

Ostatnie imie, które poeta umieścił w tym spisie niekompletnym, Mistriss Hemans, była bez wątpienia najznakomitszą z kobiet poetów angielskich ostatnich czasów. Nie Corinna to, nie Sapho; natchnieniu jój brakło siły. Mniej ma wyobraźni niż czucia, a uczucie jój nie jest namiętne; raczej łagodne. Lecz co za wdzięk w moralności, co za czystość wytworna, jak widoczne ślady uprawy umysłowej znakomitęj! wynoszące ją nad inne współzawodnice. Zdarza jój się czasem zastąpić myśl lub uczucie tą melo-

dyą marzącą, tak niebezpieczną dla poetów północy, jak melodia wyrazów nic nieznaczących, dla poetów zachodu. Dwie poezye, północy i zachodu mają równoznaczne sposoby zastąpienia myśli w sposób nic nieznaczący; jedna wywodzi tony, druga wiąże westchnienia, jedna śpiewa sonety, druga łzami się zalewa. W poezyi francuzkiej, dydaktyczna też samą gra rolę. Francuz, któremu brak zapału, rozumuje i rozprawia o miłości, przyjaźni; poeta włoski bez siły, nadstawia się dwunastą głośno brzmiącymi rymy; a poeta angielski, w niedostatku natchnienia, usypia na mogiłach i owija się o błąkami.

Zaraz po Mistriss Hemans, kładziem Miss Letycję Xandon, zmarłą młodo, która poszedłszy za mąż w r. 1838, zgasła w obcym kraju, w Październiku, tegoż roku. Była to kobieta dowcipna i miła, której los godzien litości; z wyobraźnią nie silną i nie bardzo płodną, z uczuciem nie tak żywem jak Mistriss Hemans, lecz biegła w swęj sztuce, umiejętnie urozmaicająca i kolorująca swe obrazy, odtwarzająca z talentem malownicze widoki, zamiłowana nade wszystko w wystawności, opisach świetnych i części teatralnej, poezyi; mogła była wydać dzieła pełniejsze, trwalsze, więcćj znaczące, gdyby towarzystwo, w jednej z chwil szczególnej, przesadzonej swęj skromności, nie ubo-

dło ją okropnie. Sama się sądząc i rzucając okiem na życie swoje i talent nierozwinięty, melancholicznie lecz sprawiedliwie, tak spiewała o sobie: (tłumaczenie cieniem tylko będzie wdzięcznego oryginału.)

— Życie się składa z gorzkich godzin. Wszystko cośmy posłać chcieli, wszystko cośmy okupili żądzami, nadzieją, usiłowaniem, wszystko za czém goniło pragnienie, przychodził naraście, lecz napiętnowane nie-szczęściami cechy, z myślą bolesną: *Niestety! myśmy być mogli.*

— Nigdy przyszłość przeszłości nie odda młodej wiary i ufności, które jęj powierzyła. Na białym kamieniu, który okryje nasze popioły, napiszcie te słowa, pierwszą i ostatnią prawdę naszego życia: *Myśmy być mogli.*

Miss Landon, przed samą śmiercią swoją wydała godny uwagi romans, *Ethel Churchill*. Proza jęj nie tak jest wytworna jak Lady Blessington, a mniej dowcipna od P. Gore; tych dwóch królowych romansu *fashionable* angielskiego. *Guvernantka* (*Governess*) lady Blessington jest jednym z tych delikatnych i drobnostkowych obrazów, które szczegółowie malują, jeden punkt obyczajów krajowych.

*The Governess* w Anglii, nie jest to, to co nauczycielka, *institutrice* we Francyi; mniej znowu niż *femme du monde*; troszkę pedantyzmu i odcień *niebieski*, wchodzą do składu tej

postaci, której tylko powierzchowny widok narysowała lady Blessington, ale nie pochwyciła strony komiecznej.

Jest nieco talentu także w *Diary of Nun*, podróży do Włoch, opisanéj w romansie, w *Faworycie* Miss Joanny Roberts, nawet w *Przyjaciółtach*, ostatniéj próbie historycznego romansu, tak zarzuconego dzisiaj. Lecz, mówny prawdę, wszystkie te kobiece utwory, płody chwil kilku wolnych, które w życiu angielskich są rzadkie; nie mają siły i oryginalności. W Anglii nie ma Sandów. Świetny i wonny kwiat jeden zagasiłby wszystkie te róże białe, kołyszące się z wietrzykiem i rozlewające woń słabą. Pani Gore, według nas, dowcipem, trafniemi postrzeżeniami, przechodzi wszystkie swe współzawodnice. *Cabinet Minister* pełen jest szczegółów komiecznych i śmiałych, *Dworak z czasów Karola II*, dobrze maluje epokę. Pani Gore dobrze zarysowuje charaktery, cieniuje i wyświeca śmieszną stronę, bez przesady. Wspomnienia dworu Jerzego III i ery świetnej, w której na jednym teatrze walczyli Sheridan, Burke, Fox i Pitt; dostarczyły jéj przedmiotu do romansów tém znakomitszych, im mniej są romansowe a więcéj czas malują.

Prawdziwie ważnemi dla historyi angielskiéj XVIII wieku, są *Listy lorda Chatham*, świeżo wydane. Dowodzą one fałszywości przy-

słowia pospolitego „*il n'y a pas de grand homme pour son valet de chambre.*” Zapewne, wielkość teatralna, fałszywa, szarlatanizm, heroizm aktorski, pozory wielkości, jenuiszu, poświęceń fałszywe, nikną dla blizkich; lecz są istotne przymioty duszy i umysłu, które zyskują widziane z blizka. Listy, o których mowa, podnoszą jeszcze lorda Chatham, ukazując go znowej strony. Odkrywają najpospolitsze szczegóły jego życia, zawsze pełnego prostoty i ślachtetności, uczuć wzniosłych i uczynków, dumy często obrażającej, lecz ślachtetnej i bezinteresownej. Roczniki polityki angielskiej XVIII wieku oczekiwały na to ważne dzieło.

Nie potrzebujem tu prawie wspominać o Kapitanie *Mendows-Taylor*, który zamarzył sobie ułożyć romans z życia indyjskiego *thug'a* (dusiciela, etrangleur). *Wyznania thug'a* będą pewnie tłumaczone, a raczej przekaleczone na francuzki, jak to jest teraz we zwyczaju. Postępowanie francuzów z utworami obcych literatur nadto jest dziwaczne, a może niedość wszystkim znane, żeby o niém kilku słów niepowiedzieć. Są we Francyi wycinacze xiąg obcych, którzy je rozrzynają, mieszają, posypują, układają, podlewają sosem i tak podają czytelnikom. Romanse kobiące, podróże wojskowych, zbiory anegdot, razem padają pod nożem tych kucharzy literackich. Z rozczłonko-



wania ich, składają szczególną przyprawę, której narzucają tytuł angielski. Gdyby się tak działo tylko z miernemi utworami, mniejszaby o to było. Ale najlepsze nawet książki podległy takiej metamorfozie; cudne kartki Audubon'a, jego życie w lasach, osobiste postrzeżenia, ten romans prawdziwy życia poświęconego zastanawianiu się nad naturą; jeden z najlepszych utworów nowej literatury, wkrótce wyjdzie tak obcięty, przekształcony, dla mizernej spekulacyi. Ktokolwiek zna bieżącą literaturę niemiecką i angielską, w tłumaczeniach francuzkich napotkatysię osobliwszych falsyfikacyi i pseudonymów dziwacznych. Dwanaście romansów różnych autorów, przyznano w tłumaczeniu autorowi *Trevelyan'a* i *Matgorzaty Lindsay*, dla tego tylko żeby się lepiej sprzedaly; *Pickwick'a* zmieszano z romansem Lorda Normanby, szczególne pobratanie najgęstszego błota z najnudniejszym zapachem. Nędzne te wyroby bardziej na śmiech niż na gniew zasługują; ale dowodzą brak sumienia zupełny i bezwzględne zaprzeczenie się spekulacyi.

Sąd Literacki Anglików, odznacza się jakśmy mówili wyżej, wielą liśmi dzikimi i owocami bez smaku, co jest nieuchronnym wypadkiem rozbicia się literatury na części, nieuznające żadnego ześrodkowującego dogmatu. Mają osobną literaturę baptyści, metodyści, swe-

denborgiści, katolicy, osobną najpłodniejszą, prozelici panującego kościoła. W tém scieraniu się opinii rozbitych, wznosi się wiele częściej kurza-  
wy, której zbierać nie będziemy. James Howitt i Marya Howitt, kwakrzy, zasługują tylko na uwagę. Są to dwie dusze poetyczne, zamięłowane w ideałach piękności, lecz przywłazane zwyczajem życia angielskiego do porządku, faktów, dat, ścisłej regularności, miejscowości i erudycyi sumiennój. Charakter nabyty, składający się z jakiejś surowości łagodnej i ścisłości w spełnianiu obowiązków, cudnie się wydaje, gdy go odżywia zapal prawdziwy i namietność, miło jest patrzeć na złoto polyskujące wyobraźni, rozsiane po tle ciemném i surowém. To też książki P. James Howitt, i utwory słabsze i prościejsze Maryi, zajmują czytelnika w sposób szczególny. Zamiast zimnego nieładu, jaki panuje w wielu francuzkich pismach, u James Howitt znajdziesz namietność spokojną. Kocha, duma, myśli, płacze, rozczuła się; wszędzie czujesz wzruszenie pisarza ciągle lecz utrzymywane na wodzy, nigdy lekko nie szkicowane, lecz wykończone, płomień to silny lecz czysty, egzekucya staranna, nie jak gdzieindziej gwałtowna i bezładna, formy czyste; wszystko to podrzędne przymioty gdy główna myśl słaba, lecz wiele znaczą w pisarzu głęboko czującym i myślącym. Niestety

a może szczęściem, Howitt, pilnując prawideł swęj wiary, nie porywa się na wielkie kwestye filozoficzne i historyczne, pisze tylko książki o wychowaniu.

Wspomniń tu tylko, *Historyą anegdotyczną królowych angielskich*, kompilacyą niesmaczną; nie złą podróż *po Renie* i *Oriental Outlines* przez *W. Wright'a*, w których nic nie ma odznaczającego się. Szkot Tytler, erudyta i znakomity pisarz, zawarł ciekawe i nowe materyały w swojém dziele, *Anglia za Edwarda VI* i *Marya Tudor*. Jednakże prawdziwi erudyci więcj się pożywią w *Mabinogion*, zbiorze podań i powieści, tłumaczonym z języka gallickiego (*welsh*) przez Miss Karolinę Guest. Dzieło to, które zaledwie wziąć można za kobięce, nie jest wprawdzie dopełnione z całą scisłością, jakiejby po niēm żądać można; lecz nie wielka ilość pomników literatury celtyckiej, ważnēm czynią i tę publikacyą. Musiemy zacytować dalszy ciąg *przypadków aktora Mathews*, książkę miernie pisaną, lecz tak zabawną, że jakiś manipulator śmiały, gotów ją będzie przypisać Talmie, Kean'owi, Iffland'owi, wedle życzenia xięgarza.

Noworoczniki i wydania obrazkowe zarodziły i tego roku. Brak myśli dobrze się zastępuje, tą manią sztychów, złudzeniem oczów przepychem dziecinnym, któren dziś tak bardzo

wszyscy lubią. Kochamy się w białości papieru, okrągłości liter, wielkości marginesów, wytworności oprawy. Poetyzujemy te dzieciństwa i zarzucamy stoliki salonów, wiązkami bez myśli. Gdy wydania obrazkowe wyczerpnęły wszystkie przedmioty angielskie, francuzkie, włoskie, szukają im pokarmu w dalekich, nieznanych stronach. Irlandya, Ameryka, Hiszpania, Australazya, okryły swemi widoki nieskończone przestrzenie miedzi i stali, teraz kolej na Gibraltar, którego major Hart wystawił w przepysznym lecz głupim Almanachu. Utalentowani nawet ludzie, prowadzeni przez rysownika, introligatora i sztycharzy, redagować muszą almanachy i napędzać prozą swoją bezsilną, zimną, całe ryzy welinu. Tak to, na grobie Byrona i Walter Scotta zakwita cywilizacya przemysłowa, poświęcająca myśl zmysłom, która obejmuje prawie wszystkie europejskie ludy. Miss Landon, której nie zbywało na wdzięku i łatwości, lady Blessington odznaczająca się dowcipem, Pani Norton tak srodze przez towarzystwo angielskie traktowana, Galt, którego opisom nie brak oryginalności, z kolei poddać się musieli rozkazom wydawców, władzy białego papieru, tyranii spekulacyjnej. Dawniej dorabiano sztychy do wiązek, dziś robią wiązki dla sztychów, Literatura staje się służącą, a była wprzód panią. Idzie pokornie za wozem

artysty rysującego winiety, złocącego jedwabne i axamitne okładki.

*Xięga piękności (Book of Beauty)*, któraby się lepiej dała nazwać — *Piękności angielskie*, ma honor być wydawaną przez lady Blessington; oto podobna cała jój zasługa. Tu z arystokracji nazwisk, przepychu, bogactwa, kokieterii, wybrano dwadzieścia uśmiechających się twarzy, z świecącymi włosy, pulchnymi rączkami, drobnymi usteczkami, wielkimi oczyma, kwiatami we włosach i melancholijnym wejrzeniem i postawą. Bawi na chwilę ta galerya. Tegoż rodzaju jest *The beauty of a Season*, lady Blessington; tu tylko nie tyle sztychów, jeśli nie myśl tu znajdziesz, to przynajmniej szczegóły prawdziwe, jeśli nie poezją, ładne wiersze, jeśli nie zajmujące opowiadanie, to wytworne za to. Niezmiernie to wszystko przypomina, owe kwiatki, które we Francyi rodziły się około 1750 roku; mało barwy, nie wiele ognia, żadnego zapалу, nieco powierzchownych postrzeżeń, słowem odbłask gasnący sztucznej cywilizacyi. Tytuł nawet nie powiada co ma znaczyć, mianowicie *The beauty of Season*, powinno było być: *Trzy miesiące z życia Angielki*. Naprzód piękna, ośmnastoletnia, pierwszy raz ukazuje się na świat, bale, wieńce, zabawy ją spotykają, bledną lica, rumieniec gaśnie od przedłużonego czuwania — to jest dopiero *coming out*. Potém,

otwierają się przed nią drzwi pałaców, przebiega marmurowe wschody królowej, ukazują się na dworze, to *prezentacya*. Następnie namiętność zabaw przychodzi, po kadryllu tyśiąć razy powtórzonym, szuka innego ślachtetniejszego zajęcia.

*Bal kostiumowy* przedstawia się jój dramatycznie z historycznemi wspomnieniami, poezją axamitów i atlasów; może zostać królową lub mlęczarką — wolno jój wybierać. Srednie wieki, Włochy, Tyrol, Szwajcarya, Flandrya, otwierają się przed nią. Wszystko to przebiega heroina i dobija nareście szczęśliwie do portu małżeństwa, wiedzona przez lady Blessington, która tu ją opuszcza kończąc utwor swój wdzięczny lecz dziecinny.

Tak to nisko spadła poezya; widzieliśmy na czém stoją historia i romans. Dramat tylko daje jeszcze znaki życia. a)

Wśród téj powszechnej niepłodności, ukazał się tylko jeden pisarz istnie oryginalny (jako pisarz pod względem stylu nieznaczący) nim jest *Carlile*, tłumacz *Wilhelma Meister Goethego* i innych dzieł niemieckich, nie należy on do żadnej szkoły angielskiej. Pełen tendencyj metafizycznych, wykarmiony od dzieciństwa

---

a) Patrz w N. 1 tego pisma, o *Teatrze dzisiejszym angielskim*.

Schelling'iem, Heglem i Novalis'em, pisze językiem **dziwacznym**, który nie jest ani angielskim, ani niemieckim, lecz w gruncie saxońskim; pożyczka form gramatycznych angielskich, składni niemieckiej; trzyma się wreszcie zwyczajów niemieckiego mistycyzmu, oślepiającego neologizmami bardziej niż nowością myśli. — Oryginalność wynikająca z tych cudacznych archaizmów, nie zawsze jest pierwszój próby. Znajdziesz u niego przymiotniki pięćdziesiąt łokciowe i składane wyrazy bez końca. Jak Richter którego za wzór sobie obrał, jak Novalis którego uwielbia, pozwala sobie przenosi straszliwych i obrazów dziwacznych. Głębokie myśli kryją się pod tą maskaradą stylu; lecz nadewszystko mamy mu za złe te wyciąganie myśli, te ustępy nieskończone, w których się płacze, te poszukiwania historyczne, co chwila i do wszystkiego wracające, przy najprostszych zadaniach. Tak, o *Chartyzmie*, nowój zupełnie chorobie, dotykającej klasy wyrobnicze, mówiąc, widzi potrzebę sięgania aż do kolebki pokolenia saxonów, od której idzie aż do początków rodu ludzkiego; a gdyby tylko mógł, poszedłby wyżej jeszcze. Zawsze to ciekawy fenomen, talent Carli'a; w którym zlewają się, duch obserwacyjny i praktyczny angielski z erudycją i mistycyzmem niemieckim. Gdyby ten znakomity pisarz, chciał oczyścić,

wzmocnić i ustalić systemat swój i postrzeżenia, mógłby obdarzyć Anglią tém, czego oddawna nie miała, dobrą książką filozoficzną.

On bowiem jeden, ze wszystkich polityków angielskich, pojmuje naszą epokę bolesną odrodzenia, próby ognia i łez którym podlega towarzystwo ludzkie, gdy przyjdzie czas odbudowania zwalonych gmachów.

(*Philarète Chasles. Revue des deux mondes 1840.*)

---



### III.

## NOWOŚCI LITERACKIE.

---

### Nowe dzieła angielskie.

Z nówszych dzieł angielskich, zwracają uwagę najbardziej następujące:

*Poezye Mrs Boddington*, które co do wdzięku i wykończenia delikatnego, porównywają z znanemi Felicyi Hemans; wyszły one w przepyszném wydaniu z winietami.

*Woman and her Master*. (Kobięta i pan jęj) znanęj lady Morgan, romans a raczėj rozprawa we dwóch tomach, gorsza od dawnych dzieł tēj autorki.

*The Pathfinder*, romans F. Coopera, lepszy podobno od pięciu, które go poprzedziły, a nadewszystko od historyi jęgo marynarki amerykańskięj.

Xięgarz Murray, wydaje *Pamiętniki Samuela Romilly*. [www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

Autor *Cosmusa Medicis* a) napisał nową tragedią, pod tytułem: *Grzegorz VII*.

Mnóztwo drobnych pisemek o kwestyi *opium*, zalewa drukarnie angielskie.

*Lord Mahon*, przygotowuje nowe wydanie *Historyi Anglii w przeszłym wieku*.

Professor *Milman* wydał nową *Historyą Chryścjanizmu*, wielce chwaloną.

Lecz podobno publikacją najślawniejszą, a przynajmniej najbardziej wziętą i czytana, jest dotąd romans H. Ainsworth, pod tytułem *Jack Sheppard*. Jest to historia sławnego złodzieja i rozbojnika, napisana z podań o nim, nie bez talentu zapewne; lecz przesadzona okropnościami. Romans ten o mało nie ufundował nowej szkoły rozbojniczych romansów, którą już zwano *szkołą Newgate*. Przyjaciele P. E. Bulwera, tego dość bladego talentu, korzystając z nowego wydania dzieł jego, stawiają je jako antidotum przeciw wyrobom w smaku H. Ainsworth; a nawet przeciw najpopularniejszemu dzisiaj Karolowi Dickens, zwanemu zawczasie w Anglii, *Shakespeare* romansu.

Z powodu bankructwa dyrektora teatru w Drury-Lane, P. Hammond; nowe rozprawy

---

a) Patrz pierwszy Tom *Athenaeum*.

o organizacyi teatrów, a między innemi: *A brief View of the English drama, by F. G. Tomlins.*

Jako dramatyczną osobliwość zacytować musimy dramat mający za przedmiot *Towarzystwo Wstrzemięźliwości!* pod tytułem: *The temperance emigrants.* Styl i rzecz téj sztuki, jak powiadają anglicy, składa się z *milk and water.*

Kapitan Marryat, po swoim *Diary in America*, wydał tylko romans *Poor Jack.* Podróży wychodzi coraz a coraz więcej w Anglii, nie darmo tak też wiecznie podróżują Anglicy, po całym świecie. PP. Turnbull, Gleig i Paget wydali dowcipny opis podróży swój po Austrii. Ostatni mianowicie opisał zajmującym sposobem Węgry i Transylwanią. G. W. Earl wytłumaczył hollenderskiego opis ekspedycyi brygu Dourga, na archipelag wysp Moluckich. Mrs Postan wydała szkice o Indyi. Townshend drugą edycyą swoich *Wycieczek towieckich* etc.

Oto wszystko prawie, co dotąd w r. 1840 znakomitszego wyszło w Anglii, dodawszy wspomniane wyżej w artykułach o *teatrze i literaturze*, czytelnicy nasi mieć już będą wyobrażenie stanu literatury Wielkiej Brytanii.

J. K. Kraszewski.



## **Nowe dzieła francuzkie.**

---

Jakkolwiek przeciwni jesteśmy zbytecznemu rozmiłowaniu się w literaturze francuzkiej i temu jej upowszechnieniu u nas, które postępom naszej własnej staje na przeszkodzie; nie możemy jednakże pozbawić czytelników naszych wiadomości o nowo wychodzących dziełach francuzkich, zwłaszcza wiedząc, że tym może jednym sposobem, potrafim się im podobać.

W literaturze francuzkiej wszystko zdaje się pożarł i w sobie zamknął romans; najwięcej wychodzi, pisze się i spożywa romansów; to dowodzi, że ci wszyscy, którzy się tak lekką strawą kontentują, silniejszej nie są w stanie przyjąć. Z liczby wielkiej wyrobów tego rodzaju, kilka ledwie pod względem artystycznym mają wartość, reszta istnie tylko wyroby i spekulacye, nie tyle xięgarskie, ile autorskie. We Francyi bowiem, piszący tylko w początkach piszą dla sławy i z zapalem, raz pozyskawszy imię i wziętość, pracują tylko dla pieniędzy, Ta uwaga szczególnym sposobem powinaby naszych amatorów literatury francuzkiej ku niej

oziębiać, lecz, niestety! żeby złudzenia nie stracić, ~~gotowi~~ **gotowi** ~~prawdziennie~~ **prawdziennie** wierzyć. Mówmy już o nowszych tegorocznych dziełach.

Trzeci tom *Babel*, publikacyi składającój się z artykułów cenniejszych pisarzy, wyszedł. Są tu przecie dwa kawałki historyczne dosyć ciekawe, kilka powieści i trochę poezyi. Zrobim tu jedną uwagę, a ta jest, że francuzi tak są cali w romansie i powieści, że nawet gdy piszą historią, sadzą się na to, żeby z niej coś przynajmniej podobnego do romanu uczynić. Oto jeszcze nowe powieści i romanse:

*L'écran* przez hrabinę Dash.

*Tribord et Babord*, romans morski Edwar-  
da Corbière.

*Soirée aux aventures*, Alfonsa Brot.

*Jacques Patru* przez Juliusza David.

*Rosémery; Celeste*, Leona Gozlan.

*Madame de Rieux* etc przez P. Reybaud.

*Jean Cavalier ou les Fanatiques des Cévennes* Eugeniusza Sue. Jest to dzieło potwierdzające to, cośmy wyżej powiedzieli o historii i romansie. Jeden feuilletonista, nazywa to historią ale zgadywaną. (c'est de l'histoire devinée).

*Lefoyer de l'Opera*, pod tym tytułem, ma być obraz obyczajów świata *fashionable*, odrysowany ręką bardzo wielu współpracowników. Pierwszy tom wyszedł, zawiera cztery artykuły.

P. Balzac wydał dwie nowe powieści. *Pierrette* i *La princesse parisienne*, a jego dzisiejszy współzawodnik Ch. de Bernard, *La Chasse aux amants*.

Komedia P. Walewskiego pod tytułem *l'Ecole du monde*, narobiła była przed kilką miesiącami wiele hałasu; więcej podobno dla tego że autor ma wielu przyjaciół na wielkim świecie, niż dla wielkiej swój doskonałości. Krytycy z professyi ostro ją osądzili, mszcząc się za kilka słów zawartych w przedmowie, które z wysokości swego arystokratycznego fotelu rzucił na nich P. Walewski.

Alfons Karr znany autor kilku humorystycznych romansów, w których potrafił zmieszać francuzki dowcip z niemiecką fantazją; zaczął wydawać szczególnego rodzaju satyryczne pismo pod tytułem *Osy* (*Les Guêpes*). Zbiera ono wszystkie plotki o wszystkich i zajmuje się wyśmiewaniem dowcipném. Zdaje się że mimo dowcipu jaki posiada P. Karr, nie potrafi on ostrzej kąsać i głośniej brzęczeć od wesołego *Charivari*.

*Confession generale*, Frederyka Soulié — Ni by znowu dalszy ciąg, a przynajmniej coś przypominającego sławne *Memoire du diable*. Ale krytycy francuzcy utrzymują, że diabeł P. Soulié starzeje widocznie.

*Le Marquis de Létorière* przez E. Sue. Na ten raz jest to powieść bez intencji filozoficznych i nic niedowodząca. Niektóre ustępy bardzo zabawne; romansu tego przedmiot wzięty z kilku wierszy pamiętników pani de Créguy.

*Chroniques chevaleresques d'Espagne et de Portugal* wydane przez Ferdynanda Denis. Lepsze nad inne pisma, bo przynajmniej pewną epokę, kraj i ludzi maluje i opiera się na poszukiwaniach. Ono może obeznać z najpiękniejszymi legendami, z których tylu poetów już skorzystało.

*Histoire des Français depuis les Gaulois* przez Th. Lavallée. Oprócz zbyt podobno absolutnego podzielenia na epoki różnych charakterów, w których nie widać przejścia z jednej do drugiej, historia ta jest dość chwalona.

Autor jój jest szkoły *humanitarnéj* (*humanitaire.*)

Wyszła nowa edycja Kursu literatury P. Villemain; znacznie powiększona.

Z obrazkowych publikacyi, podobno najszcześliwiej pomyślaną, a raczej najszcześliwiej naśladowaną jest *Les Français peints par eux mêmes*; którzy się ukazali po takichże *Anglikach*. Są tu obrazki ludzi wszelkiego stanu, ludzi-tyków różnych klass obu narodów, dość ciekawe, i mogące kiedyś może oświecić naszych wnu-

ków o moralno-obyczajowym stanie ich zacnych przodków. [www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

Anglików rysował P. Kenny Madous, Francuzów Gavarni i H. Monnier, opisywali zaś różni najznakomitsi współcześni autorowie.

*Biographie universelle des musiciens etc. p. F. I. Fetis*, wyszedł tom szósty.

*Napoleon*, Alexandra Dumas. Wieleż to już napisano o Napoleonie! W roku przeszłym zdawało się że po P. Laurent de l'Ardèche, który poprzedników swoich zbił w jedną masę i z pomocą ołówka H. Verneta stworzył jeszcze nową historią Napoleona, daleko znakomitszą pod względem artystycznym niż literackim; zdawało się że już przynajmniej na długo, nikt się na nic nie odważy. Otóż znowu występuje Dumas, który tą razą zapewne rozwija tylko myśl rzuconą wprzód w znajomym z tegoż przedmiotu dramacie. Powiadają że P. Thiers, obiecał także historią Napoleona, i sprzedał ją jeszcze nienapisaną, za 500,000 franków.

*Vie et aventures de John Davys*, Dumas'a. Nie wiem dla czego Dumas coraz jest płodniejszy; miałołoby to znaczyć, że coraz więcej potrzebuje pieniędzy?

Sławnego Sand nowe są *Pauline* i dramat *les Mississipiens*, nielicząc granego w teatrze, o którym wiedzą zapewne czytelnicy nasi.



***Des classes dangereuses de la population dans les grandes villes*** przez P. Frégier, pismo uwieńczone przez Akademię umiejętności moralno-politycznych.

*(Resztę na drugi raz odkładamy.)*

**J. I. Kraszewski.**

---

## Nowe dzieła niemieckie.

---

**Kur-Mainz** (Elektorat Moguncki w r. 1672) przez G. L. Guhrauer. Wspomnieliśmy nieco wyżej o téj książce w ogólnym przeglądzie literatury niemieckiej, Tu nieco wytłumaczym, co zawiera.

W r. 1803, pisarz jakiś bezimienny, zapewne opłacony przez ministerium angielskie, wydał w Londynie pamflet, który narobił dość hałasu. Odkrył on projekt ekspedycyi do Egiptu podany Ludwikowi XIV przez Leibnitza; a okazując myśl filozofanienieckiego, konkludował naturalnie, że Napoleon nie był pierwszym jój twórcą, i wziął ją tylko po prostu z rękopismów Niemca (*A summary account of Leibnitz's memoirs addressed to Lewis the fourteenth.*) Wyrodziły się ztąd długie rozprawy; stronnicy Napoleona wyobrażając sobie, że pożyczanie i wykonanie cudzej myśli mogło szkodzić jego sławie, zbijali dowodzenie Anglika. Rozsądniejsi okazywali że nie póniżało bynajmniej Napoleona wykonanie projektu, którego Ludwik XIV nawet nie pojął.

Niemiec jeden z innego punktu rzecz widząc, napisał w r. 1806 książeczkę (*Napoleon Bonaparte und das franzoesiche Volk unter ihm*) dowodzącą że myśl wyprawy do Egiptu, nie była Napoleona, że ją podał Carnot, który przypadkiem w czasie zjazdu w Rastadt, odkrył projekt Leibnitza i realizując go pozbył się niebezpiecznego rywala. P. Thiers na mocy tego zapewne wspomina o ważnych dokumentach, które Bonaparte miał sobie udzielone, a Michaud wyraźnie wymienia, że znany mu był projekt Leibnitz'a. Książka P. Guhrauer w części znacznej rozpatruje tę kwestyą, biorąc ją u źródeł, dochodząc powodów dla których Leibnitz napisał *Consilium, aegyptiacum*. W r. 1795 Eberhard pierwszy odkrył tę rozprawę, która nie była podaną Ludwikowi XIV. Anglicy zrobili z tego paniflet, Generał Mortier w r. 1803 kazał przepisać *Consilium aegyptiacum*. W przeszłym roku w tymże przedmiocie podał P. Guhrauer Akademii francuzkiej *Memoriat*; a teraz zrobił z tego książkę, dodawszy wiele rzeczy podrzędnego interessu.

*Geschichte von Danemark* przez T. L. Dahlmann'a, zbyt podobno mało rozwinięte dzieło i ważne zagadnienia początkowej historyi tego kraju, nie dość stanowczo rozwiązujące. Cenniony jest jednakże styl i sposób pisania autora, pełen życia i jasności.

*Geschichte von Port-Royal* przez doktora Hermann'a Reuchlin. To dzieło zeszło się jednocześnie z drugim w tymże przedmiocie P. Sainte-Beuve. Reuchlin wydał tylko tom pierwszy, Sainte-Bouve gotuje dopiero swoje; skorzysta on zapewne z poszukiwań pracowitych Niemca, które tém bardziej zadziwiają, że przedmiot czynił je dla cudzoziemca trudnemi. Pierwszy tom P. Reuchlin jest niezmiernie zajmujący i z uczuciem napisany, którego erudycja nie zabita.

— *Schiller's Flucht nach Mannheim*; musi zająć tych wszystkich, którzy jeszcze czytają Schillera, pomimo tylu niesprawiedliwych krytyk jego dzieł. To pewna że wielce głęboko rozumujący krytycy Schillera, nieprzeżyją go, ale raczej on ich. Jego jenjusz jest jednym z tych, których czas niepożywa.

*Geschichtliche übersicht der Slavischen sprache von E. V. O.*

Dla nas słowian zajmujące dzieło, bo dowodzi że i onas Niemcy, choć kiedy niekiedy myślą. Zawiera ono treściwy wykład rozmaitości dyalektów słowiańskich, ale zbyt treściwy; skarżą się na to cudzoziemcy, niemogący korzystać z książki ileby chcieli, my zaś jeszcze bardziej skarżyć się musimy, bo nas autor traktował, jak gdyby słowiańskie literatury dłuższego więcęj rozwiniętego dzieła warte nie

były. Boli nas to zwłaszcza dla tego, że znamy jak ~~mało kosztuje~~ ~~niemców~~ troskliwe przygotowanie materyalów i zbadanie ich estetyczno-filozoficzne.

*Das Buch der Lieder* wydane przez L. Stolle; jest to wybór piosnek różnych nowych autorów, jako to H. Heine, Anastaziusa Grün, Lennau (wistocie Nimptsch) Juliana Mosen i innych.

*J. I. Kraszewski.*



## Nowe dzieła polskie.

---

*Obrazy litewskie* przez Ignacego Chodźkę T. I. str. 180;  
T. II. str. 181. Wydanie Adama Zawadzkiego 1840 r.

Z dwóch wyjątków drukowanych przed kilką laty, znane już były i ocenione w części *Obrazy litewskie* P. Ignacego Chodźki. *Domek mojego dziada*, czytaliśmy w *Wizerunkach*, a *Samowar w Birucie*. Są to pełne prostoty, uczucia i dowcipu *Obrazy* z tylko co upłynionych czasów; nakreślone ręką wprawną, z wielkiem przejęciem się rzeczą, które tłumaczy łatwo, to, że autor nie zmyślane postacie, nie urojone miejsca, ale tylko wspomnienia swoje osobiste, a sercu drogie, opisał. Niektórym z tych obrazów, możnaby zarzucić zadaleko posuniętą komiczność, lecz tłumaczy je ich naturalność; i to, że autor nie szukał, nie gonił, za efektem, ale brał tylko z kolei wspomnienia, usiłując je jak najżywiej odtworzyć. Dla tego więc przebaczyć potrzeba w *Majówce Boruńskiej*, trywialne szczegóły umizgów Pana Dyrektora, do Panny Katarzyny, które są prawda zbyt komiczne,

skarykaturowane na oko, a jednak opierają się na postrzeżeniach obyczajów miejscowych i czasowych; toż i inne sceny tego rodzaju.

*Obrazy litewskie* składają się z sześciu oddzielnych, z których każde trzy mniej więcej się z sobą łączą. *Domek mojego dziada*, *Boruny* i *Śmierć mojego dziadka*, są najwyborniejsze. Staruszek, którego autor tak dobitnie odmalował, jest typem, którego naturainość, każdy uczuć musi. Z małemi odmianami miejscowości, któż nie widział, któż nie znał, kto przynajmniej nie słyszał, o pocziwym staruszkui? *Śmierć* jego jest sceną w swęj prostocie, cudnie patetyczną; tu szczegóły trywialne, sam Pan Jakób ze szczupakiem, przydają jeszcze prawdziwości, doskonałemu obrazowi. A processya do Krzyża, a pożegnanie z włościanami, jakże to piękne wszystko!

*Boruny*, wspomnienia studenckie pełne życia. I tu znowu każdy musi mimowolnie się przenosząc w młode swoje lata, uznać prawdziwość obrazu, który obumarle w duszy wspomnienia, rozbudza. *Obrazy Majówki*, historia pustelnika, postać staręj żebraczki, charakter xiedza fizyka, doskonale odmalowane. Pejzaż, w którego ramach pomieścił malarz te sceny, choć zaledwie naszkicowany, lecz tak umiejętnie, że większego wykończenia nie żąda czytelnik. Toż powiedzieć można o okolicy w *Dom-*

*ku mojego dzindka*, której obraz kilką słowy dostatecznie nakreślony.

Następne trzy obrazy, więcej komiczne i (zdaje się nam) niższe są od pierwszych; chociaż i w nich autor wymawia się naturalnością.

*Ostatnia sessya exdywizyi*, nie dość jest podobno rozwiniętym obrazem; dla samej trafności rysów, życzychy należało kompletniejszego, nie tak nagle urwanego. Pan Grzegorz Adwokat i Pan Dagocki stary pocziwy sługa, są tu głównemi postaciami, których charaktery najsilniej zajmują, bo są żywo i naturalnie odbite. Co za szkoda, że widzimy ich tylko, niejako w przechodzie, na chwilę.

*Samowar i Powrót dziedzica*, chociaż wiążą się z pierwszą sceną, ukazują nam nowe postacie. Tu Pan Sularski, i służy pocziwi występują. Charakter Pana Sularskiego, jego domowe pożycie, jego rodzinę znowu autor z zwykłą trafnością odmalował. Historyi *Samowaru*, jeszczeby zarzucił przesadzoną komiczność. Cała ta tragi-komedia nie ma naturalności, której tyle jest w innych obrazach. Najnaturalniejsze ze wszystkiego podobno jest znalezienie się Józefa i policzek przez ojca dany panie Salomei, w którym odzywa się jego ekonomiczna natura.

*W powrocie dziedzica*, znowu służy oczekujący nań w starym domu, najmocniej zajmu-



ją. Scena z włóczębném, przzerwana przybyciem posłańca, niższa jest od innych, choć zawsze prawdziwą. Szlachcie Babiło postać znatury odrysowana, uderza podobieństwem; tém ciekawsza, że ostatki podobnej ślachty zagrodowej dogasają wszędzie; za kilka lat znać ich tylko będziemy z opowiadania. Rozrzucenie kopca wybornie pomyślane, dodaje rys do charakteru starego sługi, jacy także podobno już nikną, a przynajmniej coraz są rzedzszymi. W ogólności dwa tomiki *Obrazów litewskich*, są wyborne, pierwszy dla rozlanego w nim uczucia jeszczebyśmy przenieśli nad drugi; dowodzą one niepospolitego talentu w autorze, którego dalszych utworów, z niecierpliwością każdy czytelnik *Obrazów*, wyglądać będzie.

*Wizerunki i roztrząsania naukowe.* Poczet nowy drugi, *Tomik XIV*. str. 142, zawiera:

*Katedra Wileńska*, ciąg dalszy, *Bernard Maciejowski* i *Rozmaitości*, w których zajmującą dwa zabytki: *Dyaryusz Inwestytury Najjaśn. Królewicza Karola, syna Augusta III na Xstwo Kurlandzkie r. 1759* i *Koronacyą Królowej Eleonory r. 1670*.

Artykuły historyczne o *Katedrze Wileńskiej*, których tu dalszy ciąg się zawiera, a które jak zkaż inąd wiemy, przez kilka jeszcze tomików *Wizerunków* ciągnąć się mają, pełne są najciekawszych szczegółów; dotąd jeszcze niewia-

domych, a pierwszy raz dla historyi wyjaśnionych. Autor z zadziwiającą pracowitością zebrane materiały, niemniej trafnie uporządkował. Pierwsza to tego rodzaju praca z taką metodą i zasobem wiadomości dokonana.

*Trzy edykta Władysława Jagietty i Witolda, z czasów zaprowadzenia wiary świętej w Litwie i Dwa wyroki Witolda w sporze granicznym;* wydrukowane tu także, równie dla historyi, jak dla języka bardzo ważne. Jeden tylko z tych aktów ogłoszony był już w *Dzienniku Wileńskim* z przyłączoném *fac simile*, jak sam Redaktor uważa, nieszkodziło jednak powtórzyć.

*Wizerunki* coraz więcej umieszczając artykułów historycznych, miejscowe dzieje i całego kraju obchodzących, zasługują na prawdziwą wdzięczność.

*Obraz bibliograficzno-historyczny Literatury i Nauk w Polsce przez A. Jochera.* Wyszedł zeszyt piąty, kończący Tom pierwszy tej ważnej publikacyi.

Z przedmowy autora o planie dzieła, jego układzie, celu i dążności, powziąć można najdokładniejsze wyobrażenie. W zeszycie tym kończą się noty, pełne zajmujących szczegółów, a mianowicie o pismach peryodycznych, o administracyi dochodów Uniwersytetu Wileńskiego, o Celtesie; zamyka, kilka słów o szkołach. W przedmowie ciekawe wiadomości o

źródłach użytych do dzieła, wykazujące, ile trudów zebranie ich kosztowało.

*Witolorauda. pieśń z podań Litwy, przez J. I. Kraszewskiego. Wilno 1840. Druk J. Zawadzkiego. 8-to maj. str. 252. Prenumeratorowie odbiorą ją z Xiegarni Zawadzkiego w Wilnie.*

---

#### IV.

### JOACHYM Y ANNA. *a)*

Comedia o nieplodności Anny S. z Joachimem mężem iey których w dziewiędziesiąt lath uraczył P. Bog Potomstwem Błogosławioną Panną Marią między czor-kami Syonskimi nigdy nieporównaną.

#### *Personae.*

- |                    |                       |
|--------------------|-----------------------|
| 1 PROLOGUS.        | 9 GIZERA JUDEUS.      |
| 2 JOACHIMUS.       | 10 HOTZER JUDEUS.     |
| 3 ANNA.            | 11 SMOIL JUDEUS.      |
| 4 SARAN SŁUGA.     | 12 BARDEY PASTOR 1.   |
| 5 BASCANIA PUELLA. | 13 MISGOLA PASTOR 2.  |
| 6 SARX AULICUS.    | 14 DIGUTRY PASTOR. 3. |
| 7 IZAPHAR BISKUP.  | 15 ANGELUS.           |
| 8 KUCHIACH SERVUS. | 16 EPILOGUS.          |

#### *Finis.*

---

*a)* Ten hiero-dramat, a po prostu mówiąc dialog, wyjmujem z rękopismu XVI wieku, należącego do Biblioteki Horodeckiej JW. Urbanowskiego. Nie wątpim, że jako pierwszy tego rodzaju poemat w całości drukowany, powinien z wielu względów zająć czytelników naszych. Ci którzy tylko zabawki szukają, mogą ciekawy ten zabytek pominąć.

P. R.

## Prologus.

Rzec którą teras na thym placzu zaczynamy  
 Ac nie owszem niegodną osob wasych znamy  
 Prosim o trochę czasu byście iey słuchali  
 A pilność iesli będzie Personam przyznali  
 Historyą przykładną godna iest pamięci  
 Którą po wszystkim świecie dzien dzisieyszy święci  
 Joachim, także Anna, ludzie świątobliwi  
 We wszystkich sprawach swoich P. Bogu miłi  
 Ci przesz lath kilka dziesiąth żyli w niepłodności  
 Jednakze przestrzegali we wszystkim czystości  
 Gdy był dzień poświęcania kościoła Pauskiego  
 Joachim chciał też błagać P. Boga swego  
 A gdy przyszedł z offiarą, Biskup niechciał przyjąć  
 Dla niepłodu wijkłethym hydź go pokazuiąc  
 Tak będąc zawstydzony Joachim cznotliwy  
 W puste miescia się udał bardzo żalosiwy  
 Gdzie tam mieszkał s pasterzami swy Bogomyślności  
 Dotąd aż go wysłuchał Pan Bog z wysokości  
 Tam mu Angioł obiawił iż Anna w starości  
 Zrodzić miała czorkę bardzo wielki zacności  
 Lecz nieludzkim sposobem tak odemnie wiedzieć  
 Bog ją od wieku przeyczał to odemnie miejcie  
 Więc na znak taki prawdy Angioł do kościoła  
 Kazał Joachimowi gdzie Anna wesół  
 Tam ze była, za co wielkie offiary oddali  
 Panu Bogu za dobrodziejstwa dziękowali  
 Historyą przykładną WM. obaczycie  
 Jeśli oczu i uszu pilno przyłożycie.

**Joachim y Anna.**

JOACHYM.

Bądź chwała tobie Panie Boże dobrotliwy  
 Ciebie chwalić powinien każdy człowiek żywy  
 Bądź w częściciu, bądź w niesczęściciu wszystkie twe wyroki  
 Trwać muszą póko jeno świat stoi szeroki  
 Nie wiem Panie co sobie we mnie upatrujesz  
 Nie wiem co mi takiego czynić rokazujesz  
 Dziewiędziesiąt lath temu prawie od młodości  
 Spodziewam się potomstwa od ciebie w starości  
 Wiem że się żaden rozum z tego nie wyblądzi  
 Jako możność twa Panie wszystko dziwnie rządzi  
 I co więc niepodobna w myśli ludzki bywa  
 Zawsze pan możnością swą to ludziom odkrywa  
 Zawsze to pokazuje, jakowych jusz z rzeczy  
 Nigdy się niespodziewa mieć rozum człowieczy  
 Będę się pilno starał w swojej szędziwości  
 Abych nie wykroczył w pański życzliwości  
 Nie tylko sam, lecz żonę wszystką czelać swoje  
 Będę uczył wysławiać Panie imię twoje  
 Fraska wszystko na świecie, fraską są klinothy  
 Kiedy kto w sobie nie ma bogomyślny cnoty  
 Życ na świecie przystojnie to jest naprzędniejsza  
 I do zbawienia droga tu jest najpewniejsza  
 Anno przystap sam bliży, a słuchaj spillością  
 To co będę powiadał z wielką uprzymością  
 Przymuż do serca swego bo zeznać musimy  
 Że na nasz Bog nie łaskaw tak iście tuszemy.

ANNA mówi.

Wszystkie ruszenia stop swych pilniem przestrzegala  
 Abym się Bogu memu we wszystkim udała  
 I tobie małzonku mój, wszystkie powołności  
 Zawszem ia oddawała prawie od młodości.

JOACHIM

Wierze mi Anno, piękna jest sława mężowi  
 Kiedy kto dobrze czego małżoncze mówi  
 Nikt oczu nie zaplusnie, y między równymi  
 Sobie śmieie usiedzie s ludźmi podciwemi.

ANNA.

Tak jest starusku dla Boga czosz jest takiego  
 Co wzdry przypadło na cie tak frasobliwego  
 I prze sęń nie wiem czemuś się tak często porywał  
 Czegosz iako żywo nigdy nie czyniwał  
 Niewiem co by to było dobrze nie szaleię  
 Misląc o tym aż serce ledwo nie omdleie. α)

JOACHYM.

Żehym się miał frasować, mówisz nie do rzeczy  
 Niepłodność nasza Anno, ta zawsze na pieczy  
 Gdzie się człowiek obróci, palcem ukazują  
 Wejże ich jakoć idą, jak chcą tak szacują  
 Ni mnie z ludźmi zasiadać, ni do żadnej rady  
 Przystąpić, a kiedyby chciał człek do biesiady  
 Dopieroż mowy ludzkie dziwnie się tam sieją,  
 Już nie wiem jaką serce podeprzeć nadzieją.  
 Boże mój usłysz prośby, a przyjmij te słowa  
 Niech sobie w tém nie tęskni biedna moja głowa

---

α) Dotąd pisownia rękopismu, odtąd zastąpiła ją zwyczajną, gdy kopia bardzo błędna.

Niech pośmiewiskiem nie będę u złego narodu,  
Który odnosić muszę dla swego nieplodu.

ANNA.

Cóż to prze Bog gadacie. Pewnam jest na wieki  
Że nas Bóg nieopuści z swęj świętęj opieki.

JOACHYM.

Pewżenem tego Anno ale przyrodzenie.  
Z trudna zwykło więc znosić pańskie reskazanie.

ANNA.

Trudna to rzec na świecie kiedy Bóg nie raczy  
By się po woli wiodło żaden nie obaczy.  
Dziwne są sądy pańskie, nie chcę się nie pytać,  
Raczej się twojęj woli Boże będę pytać,  
Bo wie że żaden rozum z tego niewyblądzi,  
Jako Bóg w swęj możności wszystko dziwnie rządzi  
Chociażże tak mieszkamy z nieplodu w żalości  
A co wiedzieć, co Pan Bog może uczynić w starości,  
Abram pewną swą nadzieję w Bogu pokładał  
Przeto też w starości potomka oglądał  
Elliasza z Anną ci przez czas niemały  
W żalości dla nieplodu w społecznie mieszkali  
Aż dopiero nie rychło dziedzic ulubiony  
Urodził się i dostał kapłańskiej korony  
Także i ty staranie obróć swe do tego  
Abyś ufność miał w Panu do żywota swego  
Co jeśliże usłuchasz życzliwęj męj mowy  
Może od Bog być jeszcze i potomek nowy.

JOACHYM.

Prawdę mówiąc przychodzi odnosić człowieku  
Wielki wstyd, Anno już w takowym wieku



To jesteście, na świecie sobie poczytawam,  
 Komu da Bóg potomstwo szczęściem być przyznawam  
 Bo mieć majątności dość, a nie mieć zaś dzieci  
 Coż wiedzieć kędy się to po śmierci rozleci?  
 Ale kto ma zaś dziatki, ćwiczy je jak trzeba  
 Rychlój tacy rodzice dosięgają nieba  
 Bo kto szczęśliwego co dostąpić może  
 Co dziateczki ucieszne, ty sam wiesz mój Boże  
 Takowym się najwięcej frasować nie trzeba  
 Bo już pewien dla kogo ma nabywać chleba  
 Ale my majątności komu zostawimy?  
 Nieprzyjaciół snąć swoich pociech, nabawimy.

ANNA.

Jużbym się snąć i zagrześć pod ziemię wolała  
 Nizlibym słuchać takich słów od ciebie miała  
 Tak ci, kłopoty w domu, człowiek podjąć musi  
 O niego się nieszczęście z każdej strony kusi.  
 Zgola zewsząd frasonki, na człowieka leci  
 Bądź dla jakich trudności, albo więc dla dzieci  
 Przetoż się o mój drogi proszę z inszej strony  
 Ufaj Bogu niebędziesz nigdy opuszczony  
 A bądź mąż mężem, na przypadki wszelakie  
 To grunt mieć jedną myśl zawsze i serce jednako  
 Ufam ja Bogu swemu że takie kłopoty  
 Rychło on sam przemieni w radość i wiek złoty.

JOACHYM.

Dzieje się wola Boża, a ja dzięki jemu  
 Będę zawsze oddawał jako Bogu swemu.

ANNA.

To najlepsza staruszkę, da Bóg się nawróca  
 Takie czasy które nam tęsknicy ukróca.

JOACHYM.

Ukróć ale wtenczas gdy w grobie ulegę.

ANNA.

O nie z tego? pierwój ja twą głowę załęgę.  
Coż temu rzec? Więc tam że już za jedną drugą  
Zostawimy: żalości troskę z duszy sroga.

## A C T U S II.

**Joachim, Saran** sługa, **Anna Bascania**  
dziewka, **Sarx** dworzauin.

JOACHYM.

Prawdę znając, wielka to mieć sługę dobrego  
Jako ja w domu swym mam od czasu dawnego  
A kto go sobie jeszcze po myśli wyprawi  
Wielką roskosz a pokój, iści w domu sprawi  
A kiedy jeszcze trafi ktemu na wiernego,  
Jakom ja dostał sługi młodzieńcu dobrego.  
Wierzęcież mi siła już tam dostaje w tym domu  
Swiadomiście nietrzeba powiadać nikomu  
Bo co proszę na świecie może być gorszego  
Jeno gdy kto ma w domu sługę niewiernego  
Patrz i w ten kąt i w drugi jest wszystko spełna  
Bo jaki bywa haran taka na nim welna  
Takoz we złym człowieku też złe obyczaje  
A zawždy mu co na złe rozumu dostaje  
A no ludzie wiele kroć doświadczyli tego  
Że się trudno jest ustrzedz łotra domowego  
Aleć już ono ku mnie jeden sługa kroczy  
Patrzcie skoro zawołam jako prędko skoczy  
Sługo mój wierny słuchaj: dzisiaj mojem zdaniem  
Za twe cnotliwe sprawy uczynię cię panem.

Jednak z kadeś powiedz mi, któregoś narodu  
 Albo też któremu tam służycie Bogu.  
 Bo więcej zawsze każdy myśli o swym rodzie  
 A stara się żeby był zawsze na świebodzie.

SARAN *mówi.*

Wieleby o tém mówić, mój Panie łaskawy  
 Jakiego Boga mamy i jakie jego sprawy  
 Co stworzył niebo ziemię, tegoż my chwalemy  
 Bo jest Bóg nad Bogi o tém pewnie wiemy  
 A z rodum Chaldejskiego, cnotliwego domu  
 O swoich ja przygodach niepowiem nikomu  
 Bo snąc kto słuchając chciałby z tego szydzić  
 A ja bym się za swą krew, i sam musiał wstydzić.

JOACHYM

Niechcę się ja nic pytać o twojój przygodzie,  
 To mi miło iż dobrze mówisz o swym rodzie,  
 Wyznawasz też podciwość na wszem domu swego,  
 Ja nie tuszę zaiste nic o tobie złego.  
 Otoż ci już oddawam klucze od wszystkiego  
 Bądźże dobrym szafarzem proszę dobra mego,  
 A poznam li cię wiernym w tych posługach twoich  
 Iście, łacno nagrodzisz przesłych przygód swoich.

SARAN.

Dali Bóg to mój panie wkrótce się objawi  
 Że mój Bóg w którym dufam nade mną to sprawi,  
 Choć rządu nie dostanie mnie w mojej młodości  
 Żec zdarzy Bóg nie zejdzie hynamniój wierności  
 A ty jako mądry Pan, mnie przepuścić raczysz  
 Gdy z prostoty, nie z chuci, co ku mnie obaczysz.  
 Bo snąc i Bóg co nigdy w swych sprawach nie błądzi  
 Ten więcej złośliwą myśl niż uczynki sądzi.

JOACHYM.

Choć cię baczę w młodości, jednak znam baczne go  
 Miejsze proszę staranie koło domu mego  
 Dziś u nas zaczęły święta, już się otwierają  
 Do Hieruzalem wszyscy tam się więc schadzają  
 Ale osobliwie płęć mężka, a obfite  
 Tam więc ofiary czynią swoje znamienite,  
 Spieszcie za mną jedni pilno w drogę: a wy  
 Tu zostaniecie domowe odprawujcie sprawę  
*Studzy mają mówić. Bardzo dobrze.*

JOACHYM.

Dobranoc miejcie wszyscy.

SARAN.

Boże z pociechami.

Byście się nawrócili w zdrowiu do nas sami.

ANNA.

Słyszycie a Pana gdzieście tam baczyli?

SARAN.

W drogechmy go dopiero wyprowadzili.

ANNA.

Grzeszna niewiem co mi przydzie czynić  
 Nikogo tylko was muszę w tym już winić,  
 Żeście wypuścili tak z domu samego  
 Bym wiedziała gdzie? szłabym tam do niego.

SARAN.

Szedł do Hierusalem, mieniając uroczyste  
 Bydź święto gdzie ofiary czyste.  
 Przez kapłana miał oddać chwalebnym zwyczajem  
 A to nie nie mieszkając my też idziem za nim.

ANNA.

Bieżcie rychłej dziateczki, mnie się serce trwoży,  
Strzeż Boże od nieszczęścia. Coś mi pewnie wroży.

BASCANIA *puella*.

Próżno łzy moja Pani wylewasz obficie  
Nocy niespane trawisz i dni frasowite  
Proszę niechaj się ten żal w tobie trochę skróci  
Rychłóć go P. Bóg ujrzyś w pociechę obróci.

ANNA.

Ach moja miła dziewczko, moje miłe dziecię  
Kogo co boli zgoła chowa w sercu, wiecie.  
I że ja mam swego małżonka starego  
Jakoż tedy tęskno nie ma być przez niego

BASCANIA.

Bóg się nim opiekuje i ten go ma w straży  
Tenże go ze wszystkich, ufam przygód wyważy.

ANNA

Boże daj to bychmy go oglądali zdrowi  
Ano kto? już dawno niewiem na co łowi  
Placi to on naśmiewca? po postawie go znać.

SARX.

Jać to gospodze, jedno niechce wam przeszkadzać.

BASCANIA.

Aty co tu masz działać? przyszedłeś szpaczkować  
Znamy cię pędziwiatrze, wszystko chcesz biancować.

SARX.

Ja wam nie przeszkodzę, bo mam dosyć swego  
Kłopotu, jeszcze wé łbie, nie mi do cudzego.

BASCANIA.

A czegoż się wywiadasz, nieprzyjdzieć nie z tego,  
Lepiej byś oto patrzył, jeśli masz co swego.

SARX.

Widzę hardą postawę, by oświat niedbała,  
Chodzi jakoby wszystkim rozkazywać miała.

BASCANIA

Wszak ja mówię że ty z nas masz wybierać wzory  
Nie twoja rzecz proszę cię szacować ubiory.

SARX.

Być mi się bo godziło, ni twój z pisma doktor  
Ślubuję, wyliczyłbym ten wasz różny ubior.

BASCANIA.

Mój dúsčko to dla ciebie mam się świata odrzec  
Ani jeść, ani pić, chędogo się oblec.

SARX.

O niebogo niebogo.

Śmierć ta koniec wszystkiego

Więc i czas odmienności, tysiąc z sobą wodzi

Z których tysiąc frasunków na człeka przychodzi.

A za niewiesz jaki sposób tego to żywota?

Kiedy rokosz przebywa tam pełno kłopotu.

Bo te krotofile doczesne rokoszy

Nie obaczym jako czas tak prędko rozpłoszy.

BASCANIA.

Cóż to gadasz? a Saba jako się ubrała

Gdy ono Salomona witała.

Albo Hester jaka była

Kiedy żydy wyzwoliła

Albo Judith co czyniła

Gdy Holoferna zabiła.

Nuż Dido, nuż Semiramis

Podobno to sam lepiej wiesz.

Jako te światem toczyły  
 I jako pismo króciły  
 Jakie kształty, jakie stroje,  
 Więcej niż dziś, tyle dwoje.  
 A tak niemasz tu co ganić,  
 Wierząc każdą stroje za nic,  
 Mężczyzna i białogłowa  
 Kiedy chodzi jako sowa.  
 Ale gdy się na kokoszy  
 Przydawa jakoś rokoszy.

SARX.

Wejże jakoć łbem ruszyła  
 Jakoć pisma wyliczyła.

To grunt miła, ubrać się w podciwne sprawy,  
 Cnota stan dobry, nadewszystko prawy.  
 Niewielkie szczęście nabyć srebra, złota,  
 Wszystko to za nic stoi, gdy z dziurami cnota.  
 Która na wszem i wszystkim świat, nadobnie chędoży  
 A każdemu na świecie wielką sławę mnoży.

BASCANIA.

Już ja widzę (...!) a dyniem  
 Już by lepiej czas zostać dudku Bernardinem.

SARX.

To prawda, nie mieszkając wstąpię w zakon pański  
 Będę przystojnie chował ten urząd kapłański.

BASCANIA.

Ho pewniśmy! już się ty na ten stan poświęcisz,  
 Nie jednego ty jeszcze na świecie wykrecisz.  
 Dotąd ty jeszcze będziesz tym światem dudkował  
 Aż byś co szalbierstwem swym na kinu wymachłował.

Na dwa kasy to tobie naśmiać się z każdego  
A też, żadnej z nas nie rzeczesz słowa dobrego.

SARX.

Już nie zwiedziesz pokuso, wszakem już próbował  
Co świat umie, do śmierci nie będę żałował.  
Gdzie jest moja kapica, ja już więcej z wami  
Nieprzestanę, żegnam was i z delicyami.

BASCANIA.

Nie żartuj, oto lepiej dogadżaj młodości  
A trefnemi żartami zabawiajmy gości.

SARX.

Już wędruj a niegadaj. Nie tam kędy chcemy  
Ale gdzie nas wiatry niosą tam płynąć musimy,  
Niecheiałaś zbliska, więc zdaleka bądź łaskawa.

BASCANIA.

Alboś fantastyk jaki, dziwnaś ty postawa.  
Wolno się i na błazna młodemu bierzmować.  
Wolno i nim być wiecznie, wolno dokazować  
By Gaska — a) Byś chciał z nogami do nieba  
Za takową rozprawę szkodać już i chleba.

## A C T U S III.

**Izaphar. Gizera. Kuklach. Joachym.**

IZAPHAR.

Zdarz Bóg dzieteczki moje, wy na mnie czekacie  
Kiedyż dawno, i tęskność w sercach waszych macie.

GIZERA.

Już dawno ojcie miły tu na was czekamy  
Którzyśmy do Kościoła przyśli z ofiarami.

---

a) *Gaska* blazen, któremu Kochanowski zostawił nagrobek w swych  
Fraszach. To pokazuje kiedy pisano.



IZAPHAR.

Bardzo dobrze, a już wszystko zgotowano?

GIZERA.

Już wszystko jako trzeba jest nagotowano.

IZAPHAR.

Nie dziwujcie nam starym, ten obyczaj mamy,  
Byśmy ocieli narychleć, zawsze omieszkamy.

GIZERA.

Boże uchowaj, nam starych usłuchać przysłusza,  
I owszem niechaj się twa miłość nie obrusza  
Tym, żeśmy cię z pokoju twojego ruszyli  
I niewczasów podobno wielkich nabawili.

IZAPHAR.

Bynajmniej nie. Idźcie równym obyczajem  
Tak ci być zawsze musi między nami wzajem  
Nam jako starym słuchać, wam tu rozkazywać  
Cobyście mieli czynić, jako się sprawować.  
Starzy chociaż nie duży, ale rozum mają,  
I młodym ludziom wielki przykład z siebie dają.  
Młodzi za się mocni są, ci mężnie wojują  
Ale w ten czas kiedy im starzy rozkazują.

GIZERA.

Tak jest zacność i cnotę wszyscy społem znamy,  
Która jest napodciwsza między wszystkie stany,  
Co cnota, co przystojność rozemnać umiecie  
A swe sprawy powinny właśnie rozumiecie  
Nikomui cześć ni sławy nie nie uwłaczacie,  
Każdemu co należy właśnie przywłaszczacie.  
O panie, dajże zawždy nam z takimi bywać,  
A pobożnych przykładów też z wami zażywać.

## IZAPHAR.

Chwałę cię w tym ony mężu, to zguba wszystkiego  
 Kiedy kto nie pilnuje powołania swego,  
 Ale się w cudzy wtrąca mając swego dosyć  
 Urzędu, chce jednak cudze brzemień nosić.  
 A nieborak nie widzi co się doma dzieje  
 Że się z niego do zdechu drugi samśiad śmieje,  
 Nie bądźże potym bracie takięj omylności  
 Raczej hamuj jeśli masz takie namiętności,  
 Obróćś sobie żywot pocziwy a mierny  
 Żadnemu nie szkodliwy, spokojny a wierny.  
 Żyjże w powołaniu swym jako w pańskim stadzie  
 Nie myśląc nic o fałszu, o bliźniego zdradzie  
 Żywności swęj na świecie podciwie nabywaj  
 A ony słowa pańskie na baczności miewaj.  
 Iż on rzekł nieopuści ni na czym wiernego  
 A ehojnie chce rozmnażać każde dobro jego  
 Używajże też miernie jeśli co Pan Bóg dał  
 Abyś i bliźniemu snać gdzie mógł tym pomagał.  
 Nieobmawiaj, nieszacuj, stanu wszelakiego  
 Jeśli podług twęj myśli chcesz mieć co dobrego  
 Tak, że jeśli byś godzien rzeczy pospolitej  
 I tu byś wiecznie użył zapłaty obfitej.  
 Uczyn gwałt przyrodzeniu, widzisz żeć wojuje,  
 A rozlicznie z tym światem jak z nami kugluje  
 A nie daj się zwodzić w żadne marne sprawy  
 Żyj sobie tak podciwie jako człowiek prawy.

## GIZERA.

Będę się starał ojcze co jest wola twoja.  
 Do tego się koniecznie skłania dusza moja.

IZAPHAR.

Kto się tak zachowywa jak komu przystoi  
 Piękniemi ten swą cnotę iście wzory stroi.  
 Ale już nam czas przyszedł do ofiarowania.  
 Nieście tam do ołtarza jakiego barana.  
 Wino macie gotowe? sól, mąka niech będzie.

KUKIACH.

Już wszystko zgotowano jako trzeba wszędzie.

IZAPHAR.

Chwała Bogu żeście tak na wszystko gotowi  
 Idąmyż tedy wszyscy razem ku ołtarzowi.

JOACHYM.

A Joachym sługa twój pójdzie panie z tobą,

IZAPHAR.

Proszę nieczyńcie tego, niechcę was mieć z sobą.

JOACHYM.

Proszę Kapłanie, niechaj będę wzgardzony

IZAPHAR.

Inaczej być nie może, jużś osądzony.

JOACHYM.

Wždy niechaj dziś, aby tę ofiarę odprawię.

IZAPHAR.

Joachymie ja nieprzypuszczam cię ku téj naszej sprawie,  
 Jawne przekłństwo pańskie na sobie nosicie,  
 Próżno się tu z drugimi do ofiar znosicie,  
 Weź tam swego barana i idź precz z kościoła,  
 Bo cię każe wyrzucić powiadam to zgola.  
 Niepłodność wasza dawno między ludźmi słynie,  
 A kto żyw przez Zakonu, bez Zakonu zginie.

JOACHYM,

Zakonu ja przestrzegam służąc Panu Bogu.  
I strzegę się ustawnie każdego nałogu.

IZAPHAR.

Cóż potem, znać nie łaskę Pana Boga twego,  
Którye nie dał potomstwa dla twego dobrego,  
Nie dał ci starcze patrzeć, na twe wdzięczne dziatki,  
Którećby przed oczyma stały jako kwiatki,  
Najpewniejsze w Zakonie to błogosławieństwo,  
A kto więc dziątek nie ma szczere to przekleństwo.

JOACHYM.

A kto wie jeszcze jeśli pan w tej mojej starości  
Nie uczyni poczesnej jakiej odmienności.

IZAPHAR.

Wiem że jest Bóg na niebie, możny, sprawiedliwy  
Lecz dziw że nas tak długo z miłosierdzia żywi.  
A ono głosy w niebo o pomstę wołają,  
Gdyż żadnego ratunku w swęj nędzy nie mają.  
Uciśnion wszędy nędznik dziwnie od możnego  
A nie ma zkądby podparł upadku swojego.  
Baczemy to na oko czego doznawamy  
Jakie niepokoje tu między sobą mamy.  
Poddani panom swoim władzy już ujmują,  
Panowie zaś poddanym z hańbą rozkazują;  
Nie masz zgody na świecie nie masz ni miłości  
Zewsząd nieprzyjaciół dusć, bo się kurzą złości.  
Żyjemy tu na świecie niby jakle bydło  
A też już nabożeństwu ugorywa skrzydło.  
Nie bądźli poprawy, niech się każdy lęka  
Bo już ofiara pańska dawno z bluznierstw, stęka.

Lecz próżno o tém mówić, kto wie? a to i ty,  
Co wiedzieć ~~jaki tam~~ masz grzech w sobie zakryty.

JOACHYM.

W starości mej strzegę się nie daj tego Boże  
Żaden cnotliwy wiem to, źle upaść nie może.

IZAPHAR,

Trudno bywa rozeznać z téj świętój postawy  
By tam kiedy musiał być zawždy umysł prawy.

JOACHYM.

Wiem, postawa zakrytość serca okazuje,  
A trudno twarzą zakryć co serce sprawujc.

IZAPHAR.

Toć prawda że czasem bywa umysł prawy,  
Ale tu między ludźmi trzeba inszój sprawy,  
Już odemnie precz odejdz, polecam cię Bogu  
A my podźmy ofiarę czynić Panu Bogu.

### A C T U S III.

**Izaphar, Hotzer, Joachym, Smoil.**

*(Tu żydowskie sztuki mają być wyrażone, jako  
najgrzeczniej, i śpiewać mają.)  
Potym Biskup zacznie mówić.*

IZAPHAR.

Boże mój od którego wszelkie dobro płynie  
Którego imie szczerém miłosierdziem słyńcie,  
Dobroci nieprzebrana, skarbnico litości,  
I cóż ci mamy oddać za swe wszeteczności,  
Czémże cię będziem błagać o Stwórcu wszystkiego  
Bo nad cię w Izraelu nie masz nic droższego,

Tyś dał przykazanie swe, usilnieś pracował,  
 Ziściłeś nam ~~wszystkiego~~ kiedyś obiecował,  
 Przodkom naszym na puszczy łaskęś pokazywał,  
 I z Egiptu nas wywiodł, wolnością darował  
 Tyś wszędzie strzegł żehyśmy marnie nie zginęli  
 I z morza Czerwonego dziwnie wypłynęli,  
 O! jakoż ci Panie nasz już dziękować mamy,  
 Wielkiegoś imienia Pan, tak cię wyznawamy  
 A gdyż inszzej ofiary na świecie nie mamy  
 Tą ofiarą naświetszą imię twoje błagamy  
 A przytém się wszyscy wcale oddawamy  
 Czyn z nami co ty raczysz w tém się oświadczamy  
 Byś nam i zginąć kazał dla ciebie samego  
 Nie będzie nam nic ciężko dla Pana naszego  
 Zmiłujże się proszę cię nad tą trzodą swoją  
 Broń jój, boć ona twą jest, pod obroną twoją  
 Uchowaj jój od grzechu i gniewu twojego  
 A domieść jój radości królestwa wiecznego.  
*(Tu kadzidło, palić, kurzyć, barany niech wrzeszczą.  
 Żydowie Amin Amin niechaj krzyczą.)*

IZAPHAR.

Już w pański czas do domów swych się rozejdziecie  
 Proszę że tak nie rychło za złe mi nie miejcie.

HÖTZER.

Myśmy powiuni słuchać by Boga samego  
 Gdyż kapłani sami są posłani od niego  
 Boże chowaj pogardzać, owszem zwierzchność jego  
 Czcic winniśmy, jako posła od najwyższego.

IZAPHAR.

Idcież w dobrą godzinę, mam co czynić z sobą  
 Dalej się już nie mogę tu zabawiać z tobą.

T. II. Ath.

JOACHYM.

Szczęśliwyscie wy ludzie, szczęśliwy człek taki  
 Że na was Pan Bóg łaskaw znaczne to są znaki  
 Z różnych stron zeszlśmy się do miejsca świętego  
 A przeciwnie ja nieodniósł szczęścia takowego  
 Jakoście wy odnieśli. Szedłem od ofiary  
 Lepiej znać i krwią połać zapalone mary.

SMOIL.

Aza niewiesz Joachymie szczęście kołem toczy,  
 Jednego wzgórc wzniesie, drugi przez kij skoczy.  
 Także też kiedy człowiek przetrwa swe przygody  
 Odmienia się w pociechę frasunek on srogi.  
 Także i ty jedno trwaj mocnie w twój stałości  
 Ujrysz że się odmienia te twe przypadłości  
 I zacniejszym możesz być, potym tu na świecie  
 Niech cię to nic nie rusza, choć cię kłopot gniecie  
 Imię twoje napotem zawsze w sławie będącie,  
 Bo więc stała uprzejmość wsławi się wszędzie.

JOACHYM.

O mój miły sąsiedzie, wierz mi żeć się miesza  
 Myśl moja w wątpliwościach iście się zawiesza  
 Cobym czynić miał, nie wiem. Już i myśl i ciało  
 I dobre mienie zginie i rozumu mało.

SMOIL.

Cóż to mówisz proszę cię? azaż pisma mało  
 Mamy o tem co się kiedy więc z dobrimi działo  
 Joba P. Bóg doświadczał w uprzejmiej stałości  
 Teraz bierzem wzór wszysej z jego przykładności  
 Tobiasza jaskółka kiedy oślepiła  
 Chciał aby się moc Boża nad nim objawiła,

Aby z niego pociechę potem drudzy brali.  
 Iż się ci nie mylili co Panu dufali.  
 Także też i Jonasza kazał w morze wrzucić  
 Który przed jego wolą chciał w cudzy kraj uciec.  
 Aby potem i drudzy bezpieczni nie byli  
 Tego się świętej woli nie nieprzeciwili.  
 Także i ty będzieszli w woli pańskiej chodził  
 Pan ze wszystką pociechą będzie na cię godził.

JOACHYM.

Dzieje się wola Bożą; ho z tą naszą wolą  
 Mocnie się przyrodzenie ciągnie na swawolą.  
 Com umyślił to sprawię, pójdą w inszą drogę  
 Aza Pan uspokoi w sercu moję trwogę.

SMOIL.

Nie wiem gdzie indziej masz iść? chyba k domu swemu.  
 Tam będziesz przewodnikiem sam sumieniu swemu.

JOACHYM.

Nie pójdę ja do domu, nazad się nie wrócę,  
 Ale się w inszą stronę do sług swych obrócę.

SMOIL.

A kedyż to, proszę cię, byś nie wpadł gdzie w sidło?

JOACHYM.

Do Pasterzów swych pójdę kedy pasą bydło.

SMOIL.

Niebezpieczno samemu skłania się ku nocy.

JOACHYM.

Ufam doda mi Pan Bóg swój świętej pomocy.

SMOIL.

A żona twoja Anna z kim w domu została?



JOACHYM.

Kiedym tu szedł bynajmniej o tém niewiedziała.

SMOIL.

Toć w niemalej dla ciebie została żalosci,

JOACHYM.

Trzymam o niej że hędzie trwała w swęj stałości  
Ktô się dzierży cněj cnoty wiary a czystości  
Ten zawždy pewnie chodzi w pańskięj opatrności.

SMOIL.

Niechcecie już zabawiać idźże prostą drogą.

JOACHYM.

Więc ja pójdę proście tu za mnie Pana Boga  
Żebychmy się z pociechą zdrowo oglądali  
A łaskę Pana Boga naszego uznali.

SMOIL.

Boże daj to, dobrą noc

JOACHYM.

Dobra noc WM.

Ja już muszę tak zostać w serdeczněj żalosci.

## ACTUS V.

**Barděj, Mizgoła, Diguděj, Joachym,  
Cosmus, Anniol, Anna, Bascania.**

BARDĖJ.

Hěj Panowie słuchajcie ktoż tam z owěj strony  
Dybie na czas do owiec, przez kilka zagony.

MIZGOŁA.

Któżby tu taki miał przyjść do nas nieświadomy.

BARDÉJ.

Już ci tak jest, niedarmo idzie tu w te strony.

DIGUDEJ.

Kataż wołasz lepiejbyś co rychlój tam bieżał  
I zastąpił mu zwłaszcza żeby nie ubieżał.

MIZGOŁA.

O zły duchu trafisz tu wnet do nas na gody  
Nie tu zbierają w polu przy owcach jagody.

DIGUDÉJ.

Ktości świadomy baczę, bo rąco skoczyli  
Parobcy i za nogi wnet go obłapili,  
Naszei gospodarz idzie, ten jest już go znany  
Niedarmo tu on przyszedł coś nowego mamy,  
Witajcie panie miły, twój miłości radzi  
Coś dobrego niesiecie do swojej czeladzi.

JOACHYM.

Wszystko dobre dziateczki muszę też przewiedzieć  
Co się na polu dzieje, a nie doma siedzieć.

BARDÉJ.

Bardzo dobrze jakośmy obaczyli okiem  
Że ktoś idzie zarazem bieżeliśmy wskokiem  
Nie mieliśmy, kto inny po głowie, po ręce  
Wziałby był sobie, umiałby co mówić o męce;

JOACHYM.

Chwałę was dziateczki me że tak moje rzeczy  
Zawsze pilno strzeżecie i macie na pieczy.  
Jako zaś z drugiej strony jest zguba wszystkiego  
Gdy sługa nie pilnuje powołania swego.  
Na oko wszystko czyni, zda się wrzкомо pilny  
Przy panu, gdy odejdzie, aż on omylny.

BARDÉJ.

Otoć prawda że drudzy o cnotę niedbają.

JOACHYM.

Wszak się też tacy wszyscy po świetle tulają  
 Każdy im to zadawa, byś ty co dobrego  
 Służyłbyś ty człowiecze u pana jakiego  
 On się kręci nieborak, wstyd go w oczy kole  
 A gdy się wyrwie zatém toć leci gdzie w pole.  
 Nie masz ci lepij jak służyć ludziom, się zachować  
 A roztropnie pańskiemu dobrani szafować.

MIZGOŁA.

To prawda dawno już tu mój panie stoimy  
 Musim odeść od lasów, wilka się boimy.  
 Bo często tu do owiec we dwie się shradają  
 Jedno że pilnujemy, psi też odganiają.

JOACHYM.

Dla Boga mile dzieci pilno opatrujcie  
 Byni szkody nie miał w bydło, dobrze to warujcie.

MIZGOŁA.

O nie ci panie miły. Czas je gnać do wody.

JOACHYM.

Ten czas dziatki żeńcie, a strzeżcie tu szkody.

*(Tu sam sobą chodząc ma mówić)*

Wieczny Boże takeś mnie pokarał biednego  
 Takeś mnie takię hanby obrał być godnego.  
 Gdzie się mam, ząd tu jestem, jakie inie, jakim  
 Będą nazywać ludzie, na miejscu wszelakiem.  
 Będą mówić i mówią, już go Pan na wieki  
 Wyrzucił z swęj obrony, wyrzucił z opieki,

Tak o mnie trefne mowy, trefnie zaczynają  
 Których śmiech uraganie, żalu mi dodają.  
 Co ja słysząc na poły od zalu umieram.  
 Jednak przecie nadzieję jakążkolwiek niewam.  
 Wieczny Boże że wejrzysz, na moją prostotę  
 I obrócisz ten pośmiejch w wielką moją cnotę.  
 Można li niech będę miał z łaski twojej dziatki  
 Niech twego dobrodziejstwa będą pewne światki.  
 Dziatki komu da Pan Bóg zwłaszcza Chrześcijańskie,  
 Wyroki po rodzicach winni pełnić pańskie.  
 Ażci więc niewie człowiek jakie dzieci rosta  
 Drudzy ich zażywają z wielką swoją chłostą.  
 Kiedy więc marnie słyną za żywota swego  
 Ach bywa w tém człeku coś załośliwego.  
 Albo gdy przed oczyma rodziców zniierają,  
 Wielka tam żałość bywa często doznawają.  
 Jestli wola twa Panie, za żywota mego  
 Daj bym jeszcze oglądał potomika miłego.

KUKIACH.

Dla Boga coś się ono w bieli zablęściło,  
 Ledwie mi już od strachu serce nie omdlało.

JOACHYM.

Daj pokój Angioł pański ku nam przystępuje  
 Jakoż baczę coś mówić do nas się gotuje.

ANGIOŁ.

Joachymie jestem tu od Boga posłany,  
 Dając znać że to dzisiaj dzień jest zawołany  
 Dzień godny, dzień wesoly, dzień pełen radości,  
 Któryc Pan Bóg zwiastował iż wielkiej godności.  
 Anua córkę powije, nad którą nie będzie,  
 W Izraelu, a imie Marja jej będzie,

Wierz temu moja powieść, pewna a stateczna  
Już się ciebie nie puści sława nigdy wieczna.

JOACHYM.

Pobieżę niemieszkając, co rychlój skosztuje,  
Nowina wdzięczna pośle, jak cukier smakuje.

ANGIOŁ.

Bieź co rychlój, leez pierwój wstąpisz do kościoła,  
A tam Annę zobaczysz w złotej lramie zgoła  
Którój się to co tobie powiedziało wszakże,  
I znajdziesz nie inaczej wierzaj mi a wszakże  
Za tę nowinę Panu społem podziękujcie,  
I w kościele ofiarę wdzięczną ofiarujcie.

JOACHYM.

I owak Boże wieczny tobie dziś dostojnie  
Wino i cielec będę ofiarował hojnie.

BASCANIA.

Pani, masz WM. nowinę

ANNA.

Daj Boże, aby dobra.

BASCANIA.

Iście dobrą słynie? Ano Pan idzie wesół

ANNA.

A dla Boga.

Kędyżeście tak byli? aja tu nieboga,  
Oglądam się na ludzi z twarzą zasmuconą  
Przecż frasujesz małżonku małżonkę strapioną  
Która się zawsze słów twych bez fukania boję.  
Abyś mi tę którą znam zawsze miłość twoją  
Chciał pokazać? i któraby słusznie już być miała  
Jeszczebym to małżonku u ciebie zjednała,

Żebyś się mógł tak wiele jeszcze nie frasować,  
Owszem siebie ~~wsamiego we zdrowiu~~ zachować.

JOACHYM.

Nie frasuję się Anno, mowa Angiołowa  
Ta mnie dziś pocieszyła lejąc takie słowa,  
Że w tém wieku Bóg wieczny już się nas uzalił  
A potomstwo nam pewne z łaski swój objawił.  
Co więc i mnie i tobie kazał o tém wiedzieć  
Zbieżałem w skok tobie słowa te powiedzieć.  
Prawi Anna żona twa, już się przyprawuje  
W łaskę pańską: a powie córkać się gotuje.  
Co rozumiesz jakie to jest do nas poselstwo,  
Będzie godne Dali Bóg też i nasze małżeństwo.

ANNA.

Pewnie już jest bo ręka Boża umocniona  
Była z nami zawsze. I już poświęcona,  
W żywocie mym Marja od Boga przejrzana  
Pewnie pierworodnym grzechem nie jest zmaszana.  
Wszakże coby się na świat żywota podało  
Chce aby Bogu służąc w kościele zostało  
Ten prawdziwy ślub czynię, o tém szkoda myśleć,  
Bym tę pannę gdzie indziej więc miała obrócić.  
Bo kto wie? jeśli nie z naszego pokolenia  
Messyas przyjdzie gdyż my z Dawidowego plemienia.

JOACHYM.

Wszystko to być może z zrządzenia Bożego  
My panu podziękujmy z daru najświętszego.  
Iż nam dzisiaj dzień przyszedł, zdawna oczekany  
Wszystek też niechaj będzie w modlitwach chowany,  
Bieście przynieście dosyć kadzenia, wonności,  
Wszystek ten dzień strawiemy w naszej nabożności,

Owiec kilkadziesiąt par, baranów tak wiele,  
 Będziemy odprawować ofiary w kościele,  
 Biała pleć i męczyzna i ktokolwiek żywie,  
 Ale między innymi panny osobliwie,  
 Wieńce z białej lilii i z róży gotujcie  
 A niemi piękną pannę Siońską darujcie,  
 Która tego jest godna bo żadna nie była,  
 By się kiedy tak zająca panna urodziła.  
 Z domu Dawidowego wszystkich zsztychowała,  
 Których jeno na ten czas na świecie zastała.  
 Benedicite dziatki wesoło krzyknijcie  
 Ja też precz już odejdę. WM. pokój miejcie.

### Epilogus.

Rzecz która się przed wami na tym placu działa,  
 Co by w sobie za sprawę potajenną miała  
 Nie trzeba wiele mówić wszystkoście baczyli,  
 Jeśliście pilnie na to oczyma patrzyli.  
 Już was nie będziem bawić, boguhojny gminie  
 U którego prawdziwa pańska chwała płynie,  
 Dzień pański dziś szczęśliwie wszyscy odprawiajcie  
 Jeśli kiedy tedy dziś panu chwałę dajcie.  
 Historyą przykładną tę miejcie w pamięci,  
 Którą po wszystkim świecie dzień dzisiejszy święci.  
 Pomnijcie jako P. Bóg raczył błogosławić  
 Joachymowi i w łasce przy sobie zostawić,  
 Widzicie jako to jest rzecz można u Pana,  
 Gdy kto z zupełną wiarą padnie na kolana.  
 A dla jego imienia ocz go kolwiek prosi,  
 Baczym iż każdy taki pociechę odnosi,  
 Jako ci dwoje ludzi, Joachym i Anna  
 Z których się narodziła ta prześliczna panna

Marja, gdzie się wam już frasować nie godzi,  
 Bo wesele serdeczne tego dnia przychodzi.  
 Dziś nabożnie kadzidlą wszyscy zapalajmy,  
 Wszyscy dziś pięknym kołem wesoło śpiewajmy,  
 Dziś co łąki Arabskie wonne zioła dają  
 Niech w święto Anny Ś. z rak wszystkich pałają,  
 I z wosku świeca aby przez ten dzień gorzała,  
 A przy niej tuż modlitwa przy ołtarzu trwała,  
 Byśmy przez ten wszystek dzień cną panię chwalili  
 A niewymównie w sercach swych weseli byli,  
 A potem z nią społecznie zażyli rozkoszy,  
 Tam gdzie nigdy zła chwila, w niebie, nie rozproszy.

AMEN. JEZUS.

---

Nie taim że ten dialog, najobszerniejszy ze  
 wszystkich zawartych w rękopismie, najwinniej  
 ma wartości, najniedbaliej ułożony, najgorzej  
 przepisany i wielą śmiesznościami skalany.  
 Jednakże pod względem układu rozwiązuje  
 szczegółowie ciekawe zagadnienie, jak pisano  
 dialogi z przedmiotów historii świętej. Dotąd,  
 o ile wiem, nikt całego takiego hiero-dramatu  
 nie odważył się wydrukować; Juszyński dał tyl-  
 ko wyjątki nie nieznaczące. My, jakkolwiek  
 przekonani o bardzo małej wartości naszego,  
 wydajem go sądząc, że i ten zabytek wart po-  
 znania, choć nie ma w jego układzie najmniej-  
 szego talentu, a malutka liczba lepszych wier-



szy, żywcem jest z pobożnych pieśni znakomitszych XVI wieku poetów, skradziona. Bynajmniej od tego nie lepsze *Misterja* francuzkie, drukowano i przedrukowywano przecie, ceniąc w nich pamiątkę tylko. Mamy nadzieję, że następnie nie równie lepiej napisanym, w innym rodzaju dialogiem o *Męce Pańskiej*, także XVI wieku i drugim o *Abrahamie*, przysłużym się czytelnikom naszym. Będą to wszystko materiały do zupełniejszej historii dramatu w Polsce, która dotąd zaledwie dotknięta została. Artykuły P. K. W. Wojcickiego w tym przedmiocie, nie tylko nie wyczerpały wszystkiego, lecz zaledwie ogólny rys nakreśliły. Postacie dramatów polskim XVII wieku właściwe, odpowiadające niegdyś, tym popularnym i ulubionym charakterom teatru włoskiego *Stentarello*, *Pubiccinello Cassandrino* i t. d. jakimi były *Albertus*, *Kantor*, *Klecha* (mianowicie zaś pierwszy niezmiernie przypominając *Stentarella*); postacie te zaledwie nieśmiało dorywczo narysował P. Wojcicki, zasłużywszy się wszakże wielce, zebraniem wieści rozpieczętych i o nich, i w ogólności o teatrze i dramacie dawnym polskim. Zostaje teraz i materiały jeszcze gromadzić i z nich wywinąć dzieje teatru popularnego, gminnego w polsce, w dwóch jego oddziałach, w dialogach pobożnych i dialogach satyrycznych. Chociaż mamy pod ręką kilka *Intermediów* dość

ciekawych; dla rozpasanej ich wszakże, swawolnej, a dziś nieznosnej swobody, z jaką się wyrażają (bo były dla gminn przeznaczone, który żąda dosadności we wszystkim i połową się nie kontentuje) niepodobna nam ich wydrukować. Może też znajdziemy inne jeszcze; nie tracim nadziei. Zbiór dawnych zabytków teatru XVII wieku w polsce, dla historyi nawet obyczajów, dla dziejów wyobrażeń i opinii, byłby dość ważny. Lecz dziś szczątki komedyi, dramatów, dialogów tak są rozrzucone, po tylu rękach, po tylu bibliotekach, że zebrać je w jedno mógłby tylko zupełnie się temu oddając, pracowity szperacz. A ileż to razy wśród tej pracy, przyjść by musiała wątpliwość, czyli się ona na co zdała? Najlepij znający potrzeby czasowe dzisiejsze, uleść jój musi, gdy mu przyjdzie całe arkusze nic nieznaczących paplanin, dla dwóch wierzy, mający jakiś interess, wypisywać. Dodajmy, że pseudo-literaci śmiechem szyderskim, zapytaniami żartobliwemi, zachwieją jeszcze nieraz wiarę w potrzebę takiej pracy. Oni pojmują tylko literaturę łatwą i owoce gotowe; aże nigdy nie pracowali sami, zdaje im się że wszelaka praca, jest tylko dobrowolnie, przez dziwactwo zadaną sobie karą, lub dowodem niepojęcia rzeczy. Aleśmy odeszli daleko od przedmiotu; wracamy do niego życzeniem, aby nasz dialog jakkolwiek inną wartość

nad swoją dawność niemający, wzbudził chęć poszukiwania lepszych, i ciekawszych. My, z naszej strony, chociażbyśmy naganieni być mieli, resztę będących w ręku naszym tego rodzaju zabytków, ogłosić postanawiamy, upraszając posiadaczy, już drukowanych, już w rękopismie zostających szczątków dramatów i dialogów polskich, dawnych, aby nam ich udzielić raczyli.

*J. I. Kraszewski.*

---

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

III.

**S Z T U K I.**

I.

**WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH  
PARYŻKA 1840.**

Tego roku dzieła rzeźby są w niewielkiej liczbie. Powiadają, że kommissya przyjmująca, wiele z nich odepchnęła, a wiele nawet przyjęcia i wystawy godnych. Można by temu wierzyć przypomniawszy co zaszło z grupami zwierząt P. Barye, które przed czterema laty odrzucono, a dziś wszyscy znawcy je wychwalają.

P. Cortot, jeden z członków komissyi przyjmującej, dał na wystawę grupę złożoną z dwóch figur, *Jezusa Chrystusa na kolanach Panny Maryi*. Odlana jest z złoconego bronzu dla kościoła Najświętszej Panny w Lorecie; odznacza się zupełną pospolitością. Linje wszystkie dość nieszczęśliwe, głowy mają expressyą, której oznaczyć niepodobna, a draperye rzucone tak cięż-

ko i niezgrabnie, że mało im podobnych w rzeźbiarstwie ~~natrafić można~~. Jeśli, odkładając na stronę, część poetyczną rzeźbiarstwa, o której P. Cortot nie pomyślał, uważać będziem tę grupę pod względem rzeczywistości tylko i prawdziwości kształtów; nie potrafił jój także pochwalić. Głowa N. Panny modelowana jest sucho i twardo do nie uwierzenia. Kiedy P. Cortot nie chciał się radzić tradycyi i nie życzył sobie powtarzać typów XIV, XV lub XVI wieku, powinien był poradzić się natury. W naturze zaś nie ma nic podobnego do głowy N. Panny P. Cortot; czoło, oczy, usta nie są wcale naturalne; ręce złożone z krótkich stawów, są niezgrabne, figura Chrystusa jeszcze jest gorsza. Nie tylko głowa nie ma wyrazu boskiego, nie wzniosłego, nie tylko plany mięśniowe torsu i wszystkich członków modelowane są zbyt okrągło i jednostajnie; lecz nogi zwieszone nie wiszą. Grupa P. Cortot nie jest ani starożytną, ani chrześcijańską rzeźbą, ani rzeczywistością odbiciem; nie dziw też że brak jój i piękności i życia. Sławny *Zotnierz Marathoński* stojący w Tuileries, którego postawa jest tak śmieszna i tak niezgrabne linie; pewnie co do ekzekucyi przechodzi grupę P. Cortot; bo choć mu zbywa na śmiałości i wzniosłości, są w nim przynajmniej nie które części studiowane i oddane starannie.

*Flora* Pana Bosio, niższa jest daleko od *Sal-*

*macis* tegoż autora. Wistocie, chociaż *Salmacis* nie zasługuje na pochwały, któremi ją obsypa-  
no, odkrywa w Panu Bosio, żądzę walczenia  
z naturą o pierwszeństwo. Jest ono prawdziwe  
aż do pospolitości, charakteru słabego, drobne;  
ale aby je utworzyć trzeba jednak było jeśli nie  
wielkiego talentu, przynajmniej rzadkiej cier-  
pliwości, uwagi nieustannej: oczywiście tu P.  
Bosio pokazał już ile może. *Flora* modelowana  
jest okrągło, miękko, inaczej wcale niż *Salma-  
cis*. Nie mówię nie już o głowie, której nicości  
nie przewyższyć nie może; bo w najlepszych  
swych utworach P. Bosio nieprzywiązuje wiel-  
kiej wagi do ludzkiej twarzy; ale z żadnej stro-  
ny *Flora* nie ma linii szczęśliwych. Biodra zale-  
dnie są znaczne i nie okazują młodości, szyja i  
ramiona składają się z pomieszanych planów i  
w żadnej części nie przypominają natury. Co  
się tycze piersi, które widocznie miały ochotę  
być prawdziwe i naturalne, one przedstawiają  
tylko szczegóły nie znaczące, których zwy-  
kle rzeźba się wyrzeka. P. Bosio na piersiach  
Flory chciał oddać wszystkie marszczki drzą-  
cój skóry, udało mu się tylko stworzyć massy  
niekształtne i chude. W pasie i nogach też sa-  
me wady, ręce oczywiście za krótkie, draperya  
wygląda jak zmoczony gałgan. Stopa Flory  
w najwyższym stopniu niekształtna; nie wiem  
czy z natury modelowana czy nie, to pewna że

niepiękna i nienaturalna. Nie dziw że cała Flora nie ma wdzięku, bo nie ma przyrodzonych kształtów. Może być, że znajdą się chwalcy, którzy to dzieło wysoko wyniosą; ale prawdziwi znawcy, którzy się zastanawiali nad utworami starożytniej sztuki i naturą, będą zmuszeni wyznać, że *Flora* nie jest wypadkiem, ani naśladowania dzieł greckiej piękności, ani żywej rzeczywistości natury.

*Urna pogrzebowa* P. Pradier, zaleca się nade wszystko wyborną exekucją. Rzeźby na niej obfitują w szczegóły, traktowane najstaranniej. Wóz czteroskonny przypomina bardzo szczęśliwie sławne konie Panathenéów; naśladowanie widoczne. Co się tycze dwóch figur kłęczących, które formują uszy, niepodobna ich pochwalić, bo są całkiem w odmiennym od reszty stylu. Pomysł ich pełen wdzięku i prostoty, ale aby je zgodzić harmonijnie z naczynia rzeźbami, potrzeba było wyexekwować w stylu odrodzenia. tu zaś draperye aniołów są oczywiście gotyckie. Styl więc płaskorzeźb różny jest i przeciwny uszom; jak można było popęlić błąd tak bijący w oczy? Jak było nie pojąć, że należało obrać styl najbliższej złączony z sztuką starożytnych, wytwornością kształtów i miękkością draperyi? Cała urna jest wyborna, kształt jej wytworny, figury pełne życia, ozdoby smakowne; ale każdy nawet najmniej z historią rzeź-



biarstwa oswojony, dostrzeże to pomieszanie stylów?

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

Model marmurowy pomnika Mikołaja Demidowa, wcale nie usprawiedliwia sławy, jaką pozyskał we Florencyi i całych Włoszech P. Bartolini. Tyle tylko powiemy o grobowcu, którego ozdobi mnóstwo allegorycznych postaci. Pomysł ich i połączenie uległy surowej krytyce.

*Chrystus konający na Krzyżu* P. Maindron jest naszym zdaniem nierównie wyższy od jego *Velledy*; poruszenie szczęśliwie pomyslane, piersi i ręce studiowane i wydane zręcznie. Sądzę jednak, że lepiejby było, gdyby palce rąk, jednostajniej się składały. Zapewne P. Maindron chciał każdy palec zwracając inaczej, wyrazić w tém cierpienia znaki; ale prawidła sztuki, zalecały więcej prostoty. W głowie są wszystkie charaktery skonania; oczy, usta, policzki wyrażają doskonale, że ukrzyżowany umiera; nieszczęściem P. Maindron zajęty wyłącznie wyrazem bólesci, zapomniał o charakterze bóstwa.

Wymodelował głowę konającego człowieka, zapomniał, że powinien był wydać głowę Boga w postaci ludzkiej. Twarz Chrystusa, acz bardzo naturalna, nie zaspokaja, bo jój brak wzniosłości. Włosy i korona cierniowa ułożone są w sposób, że się głowa wydaje za wielką. Szczegóły muskulów pod pachami narysowane śmia-

ło, okazują, że P. Maindron stara się naśladować naturę. Może też to staranie za daleko jest posunięte, może lepiej było niektóre szczegóły ominąć, zyskalaby na tém twarz mianowicie, nabierając wspaniałości i wyrazu. Muskuly lewej nogi natomiast miękko oznaczone, sama stopa złego kształtu. Szkoda że tę część autor zaniedbał. Wierzę iż P. Maindron wynasładował dokładnie swój wzór, ale wzór był zły, należało go albo poprawić, albo odmienić. P. Maindron postępuje widocznie w swęj sztuce i doskonali się; jeśli nie w każdym dziele widać oczywisty postęp, jeśli jak w przeszłorocznej *Velledzie*, znajdują się uchybienia ważne, talent jego wszakże od pięciu lat wiele się ukształcił.

*Orest* P. Simart jest bezwątpienia najlepszym posągiem wystawy. Poruszenie całej postaci pełne naturalności; mskuly piersi oddane wybornie. Plecy i inne członki, choć nie tyle wypracowane, dość są jednak delikatnie skończone. Wyraz głowy stosowny do przedmiotu, oczom tylko brak wdzięku, a policzki nie odpowiadają piękności czoła. Długo wpatrując się w głowę Oresta, badałem czemu włosy tak się wydają ciężkie; myślę że dla tego, iż zakrywają uszy. Pewien jestem, że lżejszeby się wydały, gdyby uszy w pół tylko odkryć, głowa sama lepszyby kształt miała. U-

czeń PP. Ingres i Pradier, P. Simart, korzystał z ich lekcji; Oresol bez wątpienia jest jednem z najlepszych dzieł wyszłych z szkoły Rzymskiej.

W ogólności (kończy P. Gustaw Planche) czego najbardziej brak dzielom rzeźby i malarstwa tegorocznej wystawy, często nawet zalecającym się ważnemi przymioty, to wzniosłości, harmonii których próżno szukaliby artyści w prostem naśladowaniu natury; bo one wypływają z duszy twórcy. Rzeźbiarze i malarze tegocześni, chcący pozyskać trwałą sławę, powinni się przejąć tą prawdą, dziś zdaje się zapomnianą, że najpiękniejszy wzór żywy posagu, najcudniejszy pejzaż, nie będą piękne w naśladowaniu, jeśli artysta swobodnie ich nie odtworzy, duszą bardziej niż ręką pracując. Naśladowanie literalne, niewolnicze rzeźczywistości, rodzi tylko dzieła niekompletne.

*(Gustaw Planche. Revue des Deux Mondes 1840.)*



## II.

### BIOGRAFIE ARTYSTÓW.

---

#### I.

#### Gajwazowski.

Niedawno powrócił do Petersburga ruski utalentowany malarz widoków morskich Gajwazowski; wrócił tylko aby tu zostawić plody swojej podróży w południowej Rosyi, jako dowody pomyślnie dokonanego przedsięwzięcia, i znowu ruszył w dalszą drogę — do Włoch. Pobyt jego w Petersburgu był bardzo krótki, lecz godzien uwagi, już to dla ukończonych tu przez niego obrazów: już to że oddzielił dwa peryody jego życia, bardzo ważne z powodu wpływów na talent artysty. Nie było sposobniejszej chwili do rozważenia rozwinięcia się i postępów doskonalącego talentu; linia oddzielająca podróż Gajwazowskiego po Rosyi, od

podróż jego do Włoch, powinna być dobitnie oznaczoną w życiu artysty.

Po obrazach przysłanych przez niego na wystawę, wymalował on jeszcze kilka, w czasie pobytu swego w Krymie. Dwa z nich najgodniejsze uwagi, zrobione dla NAJJAŚNIEJSZEGO PANA, ostatecznie ukończone zostały w Petersburgu, wyobrażają:

1. Wylądowanie oddziału wojsk Rossyjskich na wschodnim brzegu morza Czarnego, pod dowództwem Generała Rajewskiego i zajęcie doliny Subaszy (teraz *Fort-Lazarew*) z widokiem na morze Czarne. Na pierwszym planie: potyczka między góralami rozsypanymi w krzakach a Rossyanami, wysiadającymi na brzeg. W liczbie osób składających oddział, wyobrażony jest sam Dowódzca Czarnomorskiej brzegowej linii Generał Rajewski, Generał Olszewski i kilku oficerów, którzy mieli udział w potyczce. Na drugim planie, okręt *Sylistrya* i inne statki na Czarném morzu, które zamyka obraz. Postawy i fizyonomie Czerkiesów oddane są bardzo żywo i wyraziście; z żalem powiedzieć tego nie można o postawach Ruskich żołnierzy; tuśmy nie postrzegli, ani właściwej im regularności ruchów, ani naturalności w nich i zapалу, jakimi się wojsko to odznacza. Dymy od wystrzałów z ręcznej broni, wybornie się łączą i zlewają z massami obłoków, nada-

jąc z niemi razem jeden ton całemu obrazowi, siwawy.

2. Widok Sewastopolskiego portu od strony północnej. Na pierwszym planie, na lewo od patrzącego, rozlew wody i występ ziemi, na nim kilku majtków i ludzi z gminu, obróconych ku ukazującemu się na prawo, a stojącemu dla patrzących *en trois quarts*, studziałowemu linio-wemu okrętowi — *Trech-Swiatitielej*. Cała prawa strona pierwszego planu zajęta morzem, lekko zamgloném, ton widoku całego sinawy. W tyle za okrętem wymienionym, ukazujesz się drugi — *Trech-Jerarchów*, na prawo parochód *Kolchida*. Między niemi malowniczo rozsiane szalupy i pomniejsze łodzie; jednomasztowa ambarkacya, odmalowana w skróceniu, ukazuje się bardzo wdzięcznie, rzucona w pośrodku przed okrętem *Trech-Swiatitielej*, i służy oczom patrzącego za przewodnika, zwracając całą uwagę na główny przedmiot obrazu. Daléj, na następnym planie ciągnie się brzeg Czarnego morza, z widokiem miasta Sewastopola, Nikołajewskiej fortecy i kilku budowli. W części wyjaśnione, w części chmurne niebo, wybornie harmonizuje z tonem wód i dopełnia efektu obrazu.

W ogólności cała jego część górna, atmosfera, obłoki oświecone wieczorném słońcem, prześliczne; z niemniejszą sztuką w obu obrazach

odmalowane okręty i ambarkacye z całém ich uzbrojeniem. W tym względzie oba Gajwazowskiego obrazy szczególnie się odznaczają; większa część malarzy, którzy probowali widoków morskich, nie wyłączając nawet największych mistrzów, popełniali omyłki dla wpraw nego oka bardzo uderzające; tu zaś nie ma ich zupełnie.

Nie jest to nasze zdanie tylko; tak utrzymują oświeceni morskcy oficerowie, znający sztukę; zachwyceni obrazami Gajwazowskiego, powiadają, że w jego okrętach, nie tylko zachowane ściśle prawidła ich budowy; lecz taka jest harmonia proporcyi wszystkich części, iż oprócz naturalności, mają wdzięk szczególny.

Nie ze wszystkiém zaspokoiliy nas wody w *Widoku Sewastopola*, chociaż one są bardzo naturalne i z wielką sztuką oddane. Lecz tu wada nie w exekucyi, a raczej w wyborze chwili wziętėj za przedmiot.

Życzyłoby należało, aby artysta unikał zbyt regularności linii, któremi oznaczona jest powierzchnia morza; ażeby starał się w rozrzuconiu cieniów i światła mniej mieć pstrokaczny. Uniknąć tego potrzeba było wyborem innėj chwili, innego stanu morza. Gdyby malarz przedstawił je w zwykłym, spokojnym stanie, oko spoczywałoby na niém; lepiejby także uczynił, gdyby je poruszył wręście silniejszym daleko wiatrem. Ta wada sownie jest

wynagrodzona wybornym charakterystycznym rysunkiem **małtków i ludzi** z gminu po lewej stronie obrazu rozrzuconych.

Cóż jeszcze powiemy o obrazach Gajwazowskiego? Oto to jeszcze, że oba, co do ekucyi, co do mechanizmu, przeszły daleko dawniejsze jego roboty; zdaje się że w nich artysta usiłował zwyciężyć i zwyciężył trudności wielkie, z którymi wprzód mierzyć się nie śmiał; perspektywa powietrza i inne szczegóły dokonane szczęśliwie pełną zapału ręką. — Zkąd inąd, niepodobna tu nie wspomnieć dla porównania o obrazie jego, z ostatniej wystawy — *Noc w Krymie*, któremu efektu nie można odmówić — efektu może od pomienionych nowych dzieł większego. Lecz nie wiina to autora; każdy łatwo pojmuje, że obraz wystawujący szczególny wypadek, zaspokajając pod względem historycznym, bardzo ważnym, nie może razem, w tymże stopniu, dogodzić uczuciu estetycznemu. Piękności takiego obrazu, będąc niejako konwencyonalne, nie mogą czynić tyle efektu, ani miłego lirycznego wrażenia, jakie wzbudzają utwory, dokonane przez artystę z namiętnością, z zapałem, w chwili poetycznego natchnienia.

Słyszeliśmy, że P. Gajwazowski zaczął jeszcze przed odjazdem swym do Włoch kilka naszkicowanych w Krymie widoków. Z niecier-



pliwością oczekiwać będziemy wypadku, dowodów postępu w sztuce, jaki malarz uczynił w czasie swęj podróży. Wieleż to rozwiązać musiał wątpliwości, wiele nabrać kolorytu, siły z napatrzenia się na widoki Krymu, na cudne ogrody Alupki, morze Czarne, jego malownicze brzegi i niebo podobne włoskiemu.

Otoż i Włochy przed nim. Czarujące ich widoki jeszcze dopiero w oddaleniu migają przed wyobraźnią artysty i uśmiechają się jego nadziejom. Ciekawy wpływ tych czarodziejskich Włoch na rozwijające się talenta, pełne nadziei, które częstokroć zawodzą. Włochy! W tym wyrazie objawia się dla artysty, druga prawie natura; on obiecuje rozwinienie talentów, utajonych jeszcze w głębi jego duszy; Włochy dopiero mają je wyprowadzić na jaw. Lecz nie każdy umie korzystać z rokosznego Włoch nieba.

Gajwazowski wielkie o sobie czyni nadzieje; chcielibyśmy widzieć go nie tylko współzawodnikiem P. Gudina, lecz pierwszym malarzem morskich widoków. Ponieważ obrał sobie morze za przedmiot swoich utworów, niech je sobie podbije i zbada wszystkie jego tajemnice. Czy mu się uda widzieć obrazy Schotel'a? Zagraniczne pisma mówią o nich z wielkimi pochwałami; powiadają że pod względem prostoty i prawdy, P. Gućin nawet mierzyć się z nim

nie może; a na przeszłorocznej wystawie, Akademii Paryzkiej, miała mu przyznać pierwszeństwo.

Co będzie — Bogu tylko wiadomo; lecz mamy nadzieję, że Gajwazowski może kiedyś stanowić epokę w historyi malarstwa narodowego.

*(Художественная Газета N. 15, 1840.)*

---

### **O. A. Kipreński.**

Orest Adamowicz Kipreński urodził się w r. 1783 dnia 13 Marca, ochrzczony w powiecie Oranienbaumskim, w Koporskiej Soborniej cerkwi Przemienienia Pańskiego, przez xiędza Piotra Wasiljewa, który był razem jego chrzestnym ojcem. Ojciec Kipreńskiego, Adam syn Karola Schwalbe, był poddanym, dworskim Brygadiera Alexego Stefanowicza Diakonowa. Ten ostatni, piętnastoletniego Oresta, oddał na ucznia do Akademii Sztuk Pięknych, w r. 1788, obdarzywszy go wprzód wolnością.

Utrzymują, że od nazwania Koporski, które dano ojcu Oresta, od miejsca jego urodzenia, poszło potém nazwisko Kipreński, które nasz malarz siłą talentu swojego wsławił.

Pierwsze utwory malarskie Kipreńskiego pokazały się około r. 1802. Na czteromiesięcznych examinach otrzymał on za rysunki z natury, pierwszy i drugi srebrny medal, a na zgromadzeniu akademii 11 grudnia, nagrodzony medalem złotym, za naznaczony do konkursu rysunek *Filemona* i *Baucys*. Z powodu szczególnego ku niemu przywiązania ówczesnego Prezydenta Akademii, Hrabiego A. S. Stroganowa,

wprzód jeszcze, jako osobistą od niego nagrodę, otrzymał drugi medal złoty, za szkic pamiętnika zeszłego professora Rzeźbiarstwa Kozłowskiego.

Pierwszego Września 1803 r. Kipreński skończył kurs akademicki, i wydano mu świadectwo jako artyście z rangą czternastej klasy; lecz pozostawszy dobrowolnie przy Akademii dla doskonalenia się, na nadzwyczajnym zgromadzeniu 1805 roku, otrzymał znowu pierwszy medal złoty, za przedmiot konkursowy — *Dymitr Doński ranny na pobojuwisku Mamaja* (Obraz ten znajduje się dotąd w Akademii.)

Wkrótce usprawiedliwił on okazanemu pierwszeństwo, dokonaniem kopii z obrazu Van Dyck'a, odznaczającej się szczególnie wybornym kolorytem. Za tę pracę Rada Akademii, postanowiła zapłacić Kipreńskiemu 350 rubli. Wkrótce potem, za przedstawieniem Prezydenta, postanowiono w r. 1806, wysłać Kipreńskiego na koszcie Akademii za granicę, dla doskonalenia się w sztuce; jednakże, niewiadomo z jakiej przyczyny, pozostał w Rosyi do roku 1816 i w przeciągu tych dziesięciu lat, był w Moskwie i Twerze, gdzie jakiś czas towarzyszył Jój Cesarskiej Wysokości Wielkiej Xiężnie Katarzynie Pawłównie; wróciwszy nazad, przedstawił Radzie Uniwersytetu natenczas już wyborne obrazy, a mianowicie portrety Xięcia

Holstein-Oldenburskiego, Xięcia Gagarina, Półkownika Huzarów Dawidowa i Radźcy Kusowa. Za te i inne dokonane prace obrany w r. 1813 Akademikiem, a we dwa lata potem mianowany Radźcą.

Kipreński pierwszy raz wyjechał za granicę kosztem Cesarzowej Elżbiety Alexiejewnej w r. 1816. We Włoszech czekała go sława, którą już potrafił pozyskać w Petersburgu, kilką wybornymi utworami. Z tych najznakomitsze: portret jego ojca (kupiony przez NAJJAŚNIEJSZEGO PANA do Ermitażu w r. 1835), portrety WW. Xiążąt MIKOŁAJA I MICHAŁA PAWŁOWICZÓW, Xięcia Wiaziemskiego, S. S. Uwarowa, B. A. Żukowskiego i innych. Wszystkie odmalowane przed jego wyjazdem za granicę i odznaczają się nie tylko podobieństwem, lecz przyjemnym a naturalnym kolorytem, stanowiącym jedną z najważniejszych zalet talentu Kipreńskiego. Starając się naśladować Rubensa i Rembrandta, on mimowolnie malował po swojemu, i zaraz w pierwszych latach nauki, zrobił sobie własną manierę, później tylko wydoskonaloną.

Doskonale wzory malarstwa, nie miały na niego wielkiego i stanowczego wpływu. Zachwycając się wykończeniem niektórych mistrzów, w tém najwięcej starał się ich naśladować: w pewnym stopniu nie było to bezkorzystném, i ukończony przez niego naówczas

portret Pani Awdulin, można uważać jako próbę wziętego przezeń kierunku. Lecz wykończenie (fini) doprowadzał on niekiedy, aż do zbytku; jedno z najważniejszych dzieł jego *Grób Anakreona* (znajduje się teraz u A.P. Briułowa), dzieło, którego kosztowało wiele pracy i wiele czasu, wiele traci na zbytecznym aż do suchości doprowadzonym wylizaniu. Jednakże, następnie, poznawszy swój błąd, umiał go zwyciężyć. *Sibilla Tyburtyńska* portret Tordwal-sena i inne jego późniejsze obrazy, tego dowodzą.

Najznakomitsze prace Kipreńskiego, dokonane w czasie téj pierwszej podróży jego za granicę, o ile wiadomo, były następujące: *Odpoczywający ogrodnik*, *Dziewczyna w makowym wianku* i *Cyganka z mirtową gałązką*; portrety, jego własny (znajduje się w Galleryi Florencyjskiej) PP. Berlińskiego, La Harp'a i innych. Tu także należy wyżej wspomniany obraz *Grób Anakreona*.

Włosi zachwycali się obrazami Kipreńskiego, niektórzy wynosili go bardzo wysoko i nazywali nawet Ruskim Van Dykiem. Tym sposobem wprzód znany stał się sławnym, a sława jego doszła i do Petersburga. Lecz byłże z tego szczęśliwszy? Podniosłoż to jego talenty? Zdaje się, że nie. Raczej, było to może przyczyną późniejszych jego cierpień. Mówią że zmienna bogini, rozdzielająca wybranym swo-

im, upajający napój, ma zwyczaj mieszać do niego kilka kropel, od których długo i ciężko boli głowa; uszczęśliwionych przez nią śmiertelnych. Cóż podobnego zaszło z Orestem Adamowiczem; lecz o tém, potem.

W roku 1823 powrócił do Petersburga i tu utworzył znowu wiele godnych uwagi dzieł, między innemi kolossalną figurę, wyobrażającą Rosyją, portrety Admirała Szyszkowa (dla Akademii), Hrabiego Szeremetjewa z widokiem w perspektywie pokojów, Puszkina, Łobanowa, Generała Albrechta i innych. Wiele z nich tak są doskonałe, że stawia Kipreńskiego wrzędzie, jeśli nie najpierwszych portrecistów, to przynajmniej między najznakomitszymi. Podobieństwo, czystość rysunku, siła i przyjemność kolorytu, są cechami jego talentu.

W r. 1828, powtórnie wyjechał za granicę i już więcej nie powrócił. Ostatnie chwile pobytu jego we Włoszech zatruił nieprzyjemny jeden wypadek, który i na życie jego i na talent miał wpływ wielki. Zamilczym o nim, aby nie plamić pamięci człowieka, który tyle się przyłożył do wstawienia ruskich artystów. Dla poznania jego charakteru, nie zaszkodzi wszakże, opowiedzieć wypadek, świadczący o dobroci jego serca, lecz wprzód musimy, wymienić ostatnie jego prace.

W początkach 1833 roku, Kipreński znajdu-

jąc się w Rzymie, odmalował portret Tordwal-sena i portrety dwóch braci Galicyn. Do tegoż periodu należy jego *Sybilla Tyburtyńska* i jeden z jego najlepszych obrazów, *Pazia*, w hiszpańskim stroju, z maską czarną w ręku. Wzorem do niego był mu młody człowiek Flo-rentczyk, którego niespodzianie spotkawszy, artysta zaproponował odmalować, a on się na to zgodził. W tymże czasie odmalował Kipreński, *Młodego Lazarona, dziewczynkę z owocami, młodych Rossyan czytających Gazetę*. Probo-wał także Pejzażu. Jedyna jego tego rodzaju praca, *widok z okna mieszkania*, znajduje się u NAJJAŚNIEJSZEGO PANA. Tu także należą portrety; Pani Żadimirowskiej z córką, Pani Pucci i Hrabinię M. A. Potockiej naturalnej wielkości, z siostrą i murzynką. Nad to ostatnie dzieło, po-wiadają, że Kipreński nic lepszego nie zrobił. Wszystko to cośmy wymienili, dokonał w cią-gu 1833 i 1834 roku w Rzymie, Neapolu, Flo-rencyi, Bolonii i innych włoskich miastach, gdzie na przemian przebywał.

Mówiąc o artystycznych pracach jego nie-podobna ominąć, że litografował także. W tym rodzaju wydał także dzieł kilka, z których szcze-gólnie portret Cesarza Alexandra i głowa Chry-stusa z Caraccia, zasługują na uwagę.

O charakterze i osobistych przymiotach Ki-preńskiego, wiele powiadają: tak na przykład,



nigdy nie miał stałego mieszkania, materiały malarskie i obrazy jego rozrzucone były wszędzie; lecz to zaniedbanie nagradzał największym około siebie staraniem, stroił się aż do zbytku i lubił wytworność, jak widać z jego listów i innych pism.

Wszystko cośmy tu powiedzieli o Kipreńskim, oparte jest na najdokładniejszych źródłach; ustne opowiadania, może się kiedyś zbiorą osobno.

Na zakończenie dodamy wiadomość o niektórych ciekawszych wypadkach życia Kipreńskiego, napisaną przez S. J. Halberga.

„Orest Adamowicz Kipreński był wzrostu średniego, dość zręczny i przystojny, a jeszcze bardziej starający się *far si bello*: stroił się, fryzował, różował nawet, uczył śpiewać i grać na gitarze, a śpiewał szkaradnie! Wszystko to, jak łatwo się domyśleć, dla przypodobania kobietom. Nie wiem ile szczęśliwy, ale rad był z siebie, to pewna. Raz wyrzucił mi moją dzikość, unikanie od ludzi, a gdym na uniewinnienie moje dowodził mu, że się nie mogę przełamać, że się lękam kobiet, odpowiedział mi: O! prawda, błądka kto je zaczepi, jeśli nie jest Kipreńskim! I na tym skończył. O ile wiem, do śmierci namiętnie lubił kobiety, między poufałymi przyjaciółmi możnaby o tym wiele powiedzieć; lecz pisać....? Naprzykład, dla czego młody je-

szcze chciał iść do wojska? Z miłości; wyobraził sobie że się kochał w jednej kobiecie. Powiadano że lubił ubiór wojskowy, i natychmiast Orest zażądał wejść do rycerskiego stanu i t. d.

Ożenił się nakoniec; żona Kipreńskiego, powinna by interessować tych, którzy go znali. Jeśli to ta sama Mariuccia, z którą żył wprzód, a o której w swoim czasie chodziły tak różne wieści, to ją znałem. Oto jej historia, a razem usprawiedliwienie postępowania artysty. Gdy się zabierał malować swój obraz *Grobu Anakreona*, na wzór Faunessy czyli Bachantki, wziął młodą Mariuccię. Wkrótce, postrzegłszy, że matka jej była bardzo podejrzanych obyczajów kobietą; użalił się nad losem biednej dziewczyny, a chroniąc ją od nędzy i złego przykładu, wziął zupełnie do siebie. Matka naturalnie, była z tego bardzo kontenta, bo Kipreński obowiązał się co miesiąc płacić jej pewną umówioną summę, i dotrzymywał regularnie. Czegoż więc więcej żądać mogła matka? rozwiązane ręce, swoboda, uwolniona od kłopotów, od wydatków, i dochodził jeszcze pewny. Lecz! artystom prawie zawsze brak pieniędzy; po niej jakim czasie (po roku?) matka z krewnem przysłała po swoje dziecko. Ale malarzowi pozbawić się wzoru, było to wyrzec się obrazu; obraz był na dokończeniu; w targ tedy, za-

płacił okup i powiększyć musiał miesięczną opłatę. Matce podobała się ta operacya i zaczęła ją coraz częściej powtarzać; tymczasem Kipreński coraz bardziej przywykał do Mariucci, do czego się przyczyniało samotne jego życie. Mało kto bywał u niego, on sam rzadko bardzo wychodził; rano, jak tylko wstał, siadał do roboty i pracował do zmierzchu; nikogo niewidząc, niesłyszając prócz małej dziewczynki, musiał się naturalnie do niej przywiązać. W istocie, Kipreński całą duszą ją pokochał, często z uczuciem mawiał, o jój wdzięczności ku sobie, o jój przymiotach, o miłości, o wierności nawet; zachwycił się nad jój wrodzonymi przymiotami, nad taktem w postępowaniu i projektował dać jój jak mógł najstaranniejsze wychowanie. Stary jakiś Abbatuccio, przychodził dawać jój lekcje. Jednakże Orestowi uprzykrzyło się coraz częstszym i bardziej wymagającym żądaniom matki dogadzać; zarzekł się że grosza więcej nie da nad umówioną miesięczną płatą, i znów matka zebrawszy kupę lazaronów, przybrawszy sobie jakiegoś żołnierza w roli męża, gwałtem odebrała córkę. Obraz Kipreńskiego jeszcze nie był skończony (nieskończenie go też kończył) we dwa dni potém poszedł odwiedzić Mariuccię, znalazł ją w koszarach wśród pjanych żołnierzy; ujrawszy swego dobroczyńcę zapłakała, rzuciła się

całując jego ręce i zaklinając aby ją z sobą zabral. On sam się rozplakał, uspokoił ją jak mógł i wyszedł z mocnym postanowieniem wybawienia nieszczęśliwej. Oprócz litości nad biedną, czuł też tęsknotę za nią, chciał dokończyć obrazu. Z matką zawarto nową umowę, już nie słowną, lecz na piśmie, formalnie przy adwokacie, podpisaną przez świadków (ja sam pisałem się za świadka i poręczyciela).

Tym aktem matka i krewni zrzekali się wszelkich praw swoich do Mariucci i przelewali je na Kipreńskiego, a on ze swojej strony obowiązał się dać jej wychowanie, jakie mógł najlepsze. Nakoniec i obraz został skończony, czas było opuścić Włochy, ale romansowi nie koniec. Dla przerwania wszelkich szkodliwych związków, wszelkiego wpływu matki, trzeba było córkę wywieźć z Rzymu. Zabierając się do wyjazdu, zamówił miejsce dla niej w jednym instytucie Toskańskim, gdzie miano przyjąć Mariuccię i utrzymywać do powrotu Kipreńskiego. Pasport jej był gotowy, wyprawiono ją naprzód z veturinem; malarz miał się z nią zjechać w Peruggio, a umieścić ją w Arezzo. On także gotów już był do drogi. Nagle, krewni Mariucci dowiedziawszy się że ją uwieziono, zburzyli się; podano prośbę do policyi o porwanie gwałtowne, posłano za nią pogoń, veturina dognało, i zwrócono do

Rzymu. Wszystko to była tylko operacya finansowa; sami krewni oznajmili Kipreńskiemu, że zgodzą się na wszystko, byle im tyle a tyle zapłacił, on zaś opierając się na zawartym akcie, podał od siebie prośbę do Kardynała Sekretarza Stanu, Gonzalvi, którego wyrokiem, Mariuccia przyjęta do jednego z instytutów rządowych na koszt skarbu, a Kipreńskiemu, dozwolono po powrocie jego, ożenić się z nią jeśliby chciał; matce i krewnym zabroniono z nią wszelkich stosunków, a dla przerwania ich, umieszczono dziewczynkę tak, że o niej nikt, gdzie się podziała, nie wiedział. Orest odjechał; pisywał potem do niej, zaręczając że o niej zawsze myśli, nigdy jej nie porzuci i t. p.

Gdy tu przybył poseł papieżki, Monsignor N.N. Orest podał mu notę, a ja trzy razy w tymże interessie byłem u niego. Choć wiele bardzo obiecywał kardynał, nic dla nas nie uczynił; nie tylko nie dozwolił jej widzieć, lecz nawet nie powiedział gdzie się znajdowała. Ledwie przy największym staraniu, po długim przeciągu czasu, znalazłem ją, lecz srogi nadzór, nie dozwolił mi do niej przemówić nawet.

Gdzieindziej powiedziałem jak Orest lubił wystawę i strojność. Za pierwszego jego pobytu w Rzymie, będąc w stosunkach z podróżującymi naówczas bogatemi Rossyanami, był wstanie wystarczyć na przepych. Do tego kil-

ka odmalowanych portretów tak zachwyciły w początkach włochów, że go ogłosili Van Dyckiem i Ticianem; Camuccini i inni traktowali go po bratersku. Nieszczęśliwy wypadek wszystkich od niego odstręczył, nie porywam się uniewinniać go, choćby to można. Tak dalece znienawidziano go, że sam jeden nie śmiał się na ulicę pokazać. Bezwątpienia musiało to wpływać na następne jego dzieła, którym już nie dziwili się Włosi. Sam to widząc, starał się zachwycić ich jeszcze nadzwyczaj silnym kolorytem i najstaranniejszym wykończeniem.

Jeden z naszych przyjaciół, powiedział mi w Rzymie:— A cóż Orestcie, zdaje mi się, żeś ty nad portret swojego ojca nic lepszego nie zrobił? On pomyślał i mezzovoce odpowiedział— I ja tak myślę! Wiadomo, że gdy drugi raz pojechał do Włoch i zawiózł z sobą ten portret, zaszła z nim ciekawa historia.

Orest Adamowicz Kipreński umarł w Rzymie 1/11, Października 1836 roku, we trzy miesiące po ożenieniu jego z tą, której był dobroczyńcą od dzieciństwa.

(Художественная Газета 1840, N. 13.)



[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

IV.

# **ROZMAITOŚCI.**



#### IV.

### ROZMAITOŚCI.

---

*Noworoczniki, Almanaki angielskie* — Dzieła najmniej ważne pod względem artystycznym i literackim, mają jeszcze swoją ważność handlową. *Keepsakes* angielskie zaczynają jednak, coraz mniej starając się o doskonałość sztychów, tracić na odbycie. Ostatnich lat *Annals* angielskie kosztowały wydawcom więcej 100,000 funtów szterlingów, sprzedawano ich 150,000 tomów. Wchodziło za nie około 900,000 funtów; a summa ta tak się dzieliła.

|                                            |               |
|--------------------------------------------|---------------|
| Autorom i redaktorom . . .                 | funtów 6,000. |
| Malarzom i rysownikom . . . . .            | 3,000         |
| Stycharzom . . . . .                       | 12,000        |
| Sztycharzom <i>en taille douce</i> . . . . | 4,000.        |
| Drukarzom . . . . .                        | 3,500         |
| Na papier . . . . .                        | 5,500         |
| Introligatorom . . . . .                   | 9,000.        |
| Na materye i skóry do oprawy . . .         | 4,000.        |
| Na ogłoszenia . . . . .                    | 2,000.        |
| Inne koszta . . . . .                      | 1,000.        |

---

Wszystkiego . 50,000.

Zostawało więc dla przedsiębiorców czystego zysku 850,000 funtów.

W przeszłym jednak roku, z 34 *Keepsakes* wydanych w Londynie, 19 się już nierozprzedało i przedsiębiorcy utracili. Rachunek wyżej przywiedziony wzięliśmy z *Revue Britannique* tegorocznej, czyniony był przed kilką laty.

We Francyi zjawila się nowa Poetessa, panna Antonina Quarré, żyjąca z pracy rąk w Dijon i pomimo pozyskanéj sławy, nierzucająca swoich zatrudnień. W ostatnich poezyach Lamartina *Recueillemens poétiques*, jest jedna jéj przypisana. Poezye Panny Quarré wyszły litografowane w Dijon, zawierają między innymi odpowiedź do P. Lamartine.

W *Théâtre-Français* w Paryżu, przedstawiono w Maju, pierwszy dramat Pani (czy Pana) Sand, pod tytułem *Cosima*. Tłum był wielki, oczekiwano czegoś nadzwyczajnego, sztuka jednak, jak powiadają dla gry aktorów, zimno przyjęta została. Nie wiemy nic jeszcze o dalszych jéj przedstawieniach. Główną myślą *Cosimy* jest walka namiętności z uczuciem obowiązków, które (jak łatwo się domyśleć), przed gwałtownością namiętności, zwyciężone upada. Charakter męża *Cosimy* jest dobrze pomyślany; dość naturalny *Veri* zapomniane-

go, milczącego, prawdziwie przywiązanego kochanka, *Ordonio* ze wszystkich najszcześliwszy a najmniej wart szczęścia nie jest także bez przykła dnym typem.

Nieprzyjaciele Sand'a kilkakroć w czasie przedstawienia sztuki, odzywali się szemranie; zagłuszono ich, lecz zdaje się że i oklasków brakło, które dopiero ozwały się, gdy imię autora ogłoszono w końcu. *Cosima* już została wydrukowaną, z przedmową autora, która ma być ciekawą. Jeszcze do nas nie doszła.

Gallerya Kardynała Fesch, której znaczna część wedle ostatniej jego woli ma być sprzedaną, składa się z 2,000 sztuk, nie licząc innych 3,000 przeznaczonych przez niego dla szkoły w Ajaccio. Powiadają że zbiór cały kardynała, ma być zakupiony dla rezydencji głównej stanów zjednoczonych.

Sławny malarz Rossyjski K. P. Briułów, zaczął wielki obraz *Założenie Pskowa*.

Wynaleziono nowy sposób malowania, (całe nawet nowemi farbami), na marmurze, zasadzony na wsiąkaniu ich w kamień do tego przygotowany.

Farby wszystkie prawie są metaliczne; solucya saletranu srebra przenikająca marmur

dość głęboko, nadaje mu kolor ciemno czerwony, solucya saletrosolanu złota (nitromuriate d'or) kolor fioletowo purpurowy, solucya gryszpanu przenikająca marmur na linię głębokości, daje mu barwę jasno zieloną.

Używają się także koszenilla, gumiguta, auripigment sztuczny; a jako działacz pomocniczy, *wosk biały*. Niektóre farby kładną się gorące, inne zimne, i inne z przymieszaniami terpentyny lub spirytusu. (*Revue Britannique* 1840 *Mars.*)

---

*Opium w Anglii.* Użycie tak szkodliwe opium rozpościła się w Anglii zastrasającym sposobem, mianowicie w prowincjach, gdzie jest najwięcej rzemieślników. Obwiniają nawet niektóre *Towarzystwa Wstrzeмиęliwości*, że opium zastępują wódkę.

W r. 1839 wwieziono do Anglii opium 95,835 funtów, spotrzebowano 31,204 funtów; w roku 1840 wwieziono 196,246, a spotrzebowano 41,671 kto wie czy i Anglia nie będzie zmuszoną jak Chiny zabronić wkrótce zupełnie wprowadzania go do kraju.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

# SPIS

RZECZY ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM.

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

## I. Historja.

- Materyały historyczne.* Reversal listu Szlachcica jednego do drugiego pisany w którym obmawia się że nie przybył na Sejmik w Opatowie pro 16 Mar. 1606 złożony, o którym zdanie swe i discursy różne przydawa z Rpma. . . . . 7.

## II. Literatura.

- I. Rzut oka na literaturę niemiecką . . . . . 24.  
II. Rzut oka na literaturę angielską . . . . . 50.  
III. *Nowości literackie.* . . . . . 76.  
    Nowe dzieła angielskie.  
    Nowe dzieła francuzkie.  
    Nowe dzieła niemieckie.  
    Nowe dzieła polskie.  
IV. Joachim y Anna Dialog z XVI wieku z Rpma. 95.  
    Uwagi o nim . . . . . 123.

## III. Sztuki.

- I. Wystawa sztuk pięknych Paryzka 1840 . . . . 128.  
II. Biografie artystów I. Gajwazowski . . . . 135.  
    — — II. Kipreński . . . . . 242.

## IV. Rozmaitości.

- Noworoczniki angielskie — Panna Quarre — Dramat J. Sand — Gallerya Kardynała Fesch — Nowy obraz Briułowa — Malowanie na marmurze — Opium w Anglii . . . . . 156.

(W przyszłym zeszycie spodziewamy się oprócz innych zajmujących artykułów umieścić kilka ciekawych dawnych dokumentów niewydanych, które nam nadstać obiecano.)



[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)

[www.libtool.com.cn](http://www.libtool.com.cn)